

WIELKIE SERIE SF

# TIMOTHY ZAHN

tom VI cyklu KOBRA

## TAJEMNICA KOBRY

  
AMBER

Timothy Zahn

# Tajemnica Kobry

*Cobra Bargain, part 2*

cykl: Kobra, tom 6

tłumaczenie: Michał Szybisz

# Rozdział 1

Jin nigdy nie była skłonna do pochopnego osądzania ludzi, ale w przypadku Radiga Nardina miała ogromną chęć uczynić wyjątek.

— Arogancki typ, prawda? — mruknęła do Daula, kiedy stali w niewielkiej odległości od miejsca, z którego zarządca nadzorował załadunek metali, krzyżąc przy tym na potęgę.

— Tak — powiedział sztywno młody Sammon. Całą uwagę skupiał na Nardinie, który stał z opuszczonymi rękoma.

Jin oblizała wargi. W powietrzu wyczuwało się rosnące napięcie. Żołądek Jin skurczył się nagle. Cokolwiek się tu nie działo, nie wróżyło niczego dobrego. Odruchowo odsunęła się od Daula na wypadek, gdyby potrzebował pola manewru. Dwaj kierowcy i pomocnicy Nardina stali z boku... Nigdzie żadnego schronienia, jeśli Nardin zechce wszcząć bójkę...

— Przestań! — warknął Daulo.

Jin przeniosła wzrok z powrotem na Nardina. Od niechcienia obrócił się w ich stronę, z ręką gotową do ciosu, wzniesioną ponad jednym ze spoconych robotników Sammonów. Obrzucił spojrzeniem strój Daula, spojrzał mu w twarz.

— Tolerujesz postawy niesubordynacji wśród swoich pracowników, paniczu Sammon?! — zawołał.

— Jeśli taka niesubordynacja zostanie zauważona — powiedział spokojnie Daulo — będzie ukarana. Ale to ja osobiście będę tę karę wymierzał.

Przez chwilę dwaj młodzi mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy. Potem, mruknąwszy coś niezrozumiale pod nosem, Nardin opuścił rękę. Odwrócił się plecami do Daula i odszedł sztywnym krokiem na kilka metrów od obszaru załadunku.

— "Dyskusja" na temat kompetencji? — zastanawiała się Jin.

Najwyraźniej, albo Nardin po prostu lubi irytować ludzi.

— Wszystko w porządku? — zapytała cicho Daula.

Daulo oddychając głęboko powoli się uspokajał.

— Tak. Niektórzy ludzie w tak młodym wieku po prostu nie wiedzą, co robić z władzą.

Jin zerknęła na niego, zastanawiając się, czy zauważył ironię w swoich słowach, zważywszy, że zostały wypowiedziane przez dziewiętnastoletniego dziedzica.

Czy Radig Nardin ma wysoką pozycję w hierarchii Mangus? — zapytała.

— Jego ojciec, Obolo Nardin, zarządza tym ośrodkiem.

— Aha. A więc Mangus jest przedsięwzięciem rodzinnym, tak jak wasza kopalnia?

— Oczywiście. — Daulo był zaskoczony, że w ogóle musiała zadawać takie pytanie.

Po drugiej stronie drogi ładowano na ciężarówkę ostatnie skrzynie.

— Jak często Mangus potrzebuje tych dostaw? — dociekała.

Daulo zastanowił się chwilę.

— Mniej więcej co trzy tygodnie. Dlaczego pytasz? Jin skinęła w kierunku ciężarówki.

— Pomyślałam, że najprostszym sposobem przedostania się do Mangus byłaby przejażdżka w skrzyni.

Daulo syknął w zamyśleniu przez zęby.

— Pod warunkiem że zdążyłabyś wydostać się ze skrzyni, zanim zamkną ją razem z innymi w jakimś magazynie.

— A robią tak?

— Nie wiem, nigdy tam nie byłem. Mangus zawsze przysyła kogoś po odbiór dostaw.

— Czy to normalne?

— Tak, dla Mangus. Chociaż jeśli nie mylisz się w kwestii tego, co oni tam robią, to niewpuszczanie do środka osadników jest uzasadnione.

— Tylko osadników? A ludzie z miasta mogą tam wchodzić?

— Regularnie — skinął głową Daulo. — Co dwa, trzy tygodnie mieszkańcy Mangus przywożą z Azras grupy robotników na okres jednego tygodnia. Do prostych prac przy montażu, jak sądzę.

— Nie rozumiem. — Jin zmarszczyła brwi. — Chcesz powiedzieć, że importują całą siłę roboczą?

— Nie, nie całą. Mają pewną liczbę stałych pracowników, większość z nich to prawdopodobnie członkowie rodziny Nardina. Myślę, że praca przy montażu konieczna jest tylko co jakiś czas, wolą więc nie trzymać niepotrzebnie ludzi.

— To jest nieefektywne. A jeśli część z tych robotników podejmie w międzyczasie inną pracę?

— Nie wiem. Ale tak jak mówiłem, chodzi o prosty montaż. Szkolenie nowicjuszy nie jest trudne.

Jin skinęła głową.

— Czy znasz osobiście kogoś, kto był w takiej brygadzie roboczej?

Daulo potrząsnął głową.

— To praca tylko dla ludzi z miasta, pamiętaj. Wiemy o tym wyłącznie dzięki kontaktom mego ojca z burmistrzem Capparisem z Azras.

— Tak, wspominałeś już o nim. Informuje was o tym, co dzieje się w Azras i innych miastach?

— W pewnym stopniu. Nie za darmo, oczywiście. Cenę bez wątpienia stanowił uprzywilejowany dostęp do rodzinnej kopalni Sammonów.

— Czy inni przywódcy polityczni Azras także mają udział w tym układzie?

— Niektórzy. — Daulo wzruszył ramionami, nieco zakłopotany. — Burmistrz Capparis ma wrogów, jak wszyscy.

— Rozumiem.

Jin spojrzała raz jeszcze na arogancką twarz Nardina. Przed jej oczami pojawił się niepożądany obraz. Zarządca przypominał jej Petera Todora, który na początku szkolenia wyraźnie czekał na moment, kiedy Jin podda się i zrezygnuje. Na moment, w którym będzie mógł napawać się jej porażką.

— Czy istnieje jakiś powód — zapytała ostrożnie — dla którego Mangus lub wrogowie burmistrza Capparisa mogliby nie lubić Miliki bardziej niż innych osad?

Daulo zmarszczył brwi.

— Czemu mieliby nas nie lubić?

Jin zebrała się w sobie.

— Może żądacie za wasze towary więcej, niż im się to wydaje uczciwe?

— Nie zawyżamy cen — powiedział zimno. — Nasza kopalnia produkuje rzadkie i cenne metale. Starannie oczyszczamy rudę. Byłyby tak samo kosztowne, niezależnie od tego, kto by je sprzedawał.

— A co w takim razie z rodziną Yithtrów?

— O co pytasz?

— Oni sprzedają produkty drzewne, prawda? Czy zawyżają ceny?

Daulo skrzywił się.

— Nie, w zasadzie nie — przyznał. — W rzeczywistości przemysł drzewny w ogóle omija Milikę. Rzeka Somilarai, która przecina główny rejon wyrębu na północy, płynie bezpośrednio przez Azras, tak więc większość drewna jest po prostu spławiana do dalszej obróbki na miejscu. Yithtrowie wyspecjalizowali się w egzotycznych produktach drzewnych, takich jak papier z rhelli. Są to rzeczy, których nie potrafią zrobić porządnie inne tartaki zajmujące się obróbką drewna na dużą skalę. W drodze ze statku widziałas prawdopodobnie drzewa rhella, niskie, o czarnych pniach i liściach w kształcie rombów?

Jin potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że patrzyłam raczej na to, co mogło czyhać w ich gęstwinie, niż na same drzewa. Czy to rzadki gatunek?

— Nie tak bardzo, ale papier sporządzany z ich miazgi jest preferowanym materiałem dla spisywania umów prawnych, a to stwarza duży popyt. Widzisz, podczas pisania lub drukowania na świeżym papierze z rhelli na jego powierzchni tworzą się trwałe wgłębienia, tak więc, jeśli pismo zostanie w jakikolwiek sposób zmienione, można to natychmiast wykryć.

— Wygodne — zgodziła się Jin. — A także kosztowne, jak się domyślam.

— Warte swojej ceny. Dlaczego o to wszystko pytasz?

Jin skinęła głową w kierunku Nardina.

— Wygląda na takiego, który tylko czeka na czyjąś klęskę — powiedziała. — Zastanawiałam się, czy odnosi się to do wszystkich osad, czy do Miliki w szczególności.

— Cóż... — zawahał się Daulo. — Muszę powiedzieć, że nawet osady uważają nas za... może nie tyle za renegatów, ale też nie za pełnoprawnych członków społeczności.

— Dlatego, że nie jesteście podłączeni do centralnego, podziemnego systemu komunikacyjnego?

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Skąd...? A, tak, dowiedzieliście się o tym, kiedy poprzednim razem opanowaliście osadę we Wschodnim Ramieniu. Masz rację, to jeden z głównych powodów. I chociaż teraz, poza Wielkim Łukiem pojawiają się inne osady, my byliśmy jednymi z pierwszych.

Zerknął na Jin.

— To wszystko należy do twoich badań na nasz temat?

Jin poczuła gorąco na twarzy.

— Częściowo — przyznała. — Ma to też jednak związek z Mangus.

Milczał przez dłuższą chwilę. Odwróciwszy wzrok od obszaru załadunku, Jin rozejrzała się. Dzień był piękny, z południowego zachodu dochodziły delikatne podmuchy wiatru, łagodząc ciepło słonecznych promieni. Odgłosy aktywności w osadzie zlewały się w przyjemny szum, brzęk łańcuchów i lin docierający z pobliskiego wejścia do kopalni mieszał się z rozmowami robotników.

Kiedy Jin spojrzała w kierunku zachodnim, doznała niemal wstrząsu. Mur wzmacniała dodatkowa metalowa siatka, którą osada musiała zainstalować dla ochrony przed wysoko skaczącymi kolczastymi lampartami... lampartami, które wysłali tu jej rodacy...

Idąc za radą jej własnego dziadka.

Ogarnęło ją poczucie winy. Co by pomyśleli Daulo i Kruin — zastanawiała się ponuro — gdyby wiedzieli o udziale jej bliskich w sprowadzeniu na Qasaman tej plagi? Może właśnie dlatego się tu znalazłam — uświadomiła sobie. — Może to część kary Bożej, jaka spadła na naszą rodzinę.

— Wszystko w porządku? — zapytał Daulo. Otrząsnęła się z tych myśli.

— Oczywiście. Tylko... przypomniał mi się dom. Skinął głową.

— Mój ojciec i ja zastanawialiśmy się wczoraj nad tym, co zrobią twoi rodacy, żeby cię odzyskać.

Po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz.

— Nie będą raczej planować niczego poza symbolicznym pogrzebem. Przekazniki wahadłowca zostały zniszczone w katastrofie, nie mogłam wysłać wiadomości do statku-matki, a na dodatek na podstawie tego, co mogli zobaczyć z orbity, na pewno uznali, że wszyscy zginęli. Tak więc wrócą, będą nas przez jakiś czas opłakiwać, potem zarząd zacznie debatować, co dalej począć. Może za kilka miesięcy spróbują znowu. A może dopiero za kilka lat.

— W tym, co mówisz, można wyczuć gorycz.

Jin mrugnęła powiekami, żeby powstrzymać łzy.

— Nie, to nie gorycz. Tylko... boję się, jak zniesie to mój ojciec. Tak bardzo chciał, żebym była Kobrą...

— Czym?

— Kobrą. Tak naprawdę nazywają się ci, o których mówicie "diabelscy wojownicy". Tak bardzo chciał, żebym kontynuowała rodzinną tradycję... a teraz pewnie się zastanawia, czy nie wysłał mnie tam, dokąd nie chciałam jechać.

— A czy tak było? — zapytał cicho Daulo. Dziwne, ale Jin nie poczuła się urażona tym pytaniem.

— Nie. Bardzo go kocham, Daulo, i mogłam chcieć zostać Kobrą tylko w imię tej miłości. Ale nie... pragnęłam tego równie mocno jak on.

Daulo zachnął się.

— Kobieta-wojownik. To prawie przeciwstawne pojęcia.

— Tylko w waszej historii. Na naszych światach Kobry są raczej cywilnymi stróżami pokoju, a nie wojownikami.

— Niemalże tym, czym dla nas były mojoki — zauważył Daulo.

Jin zastanowiła się nad tym.

— Ciekawa analogia — przyznała.

Usłyszała ni to chichot, ni parsknięcie.

— Pomyśl tylko, jak prężne siły pokojowe moglibyśmy stworzyć, gdyby Kobry i mojoki działały razem!

— Kobry i mojoki? — Potrząsnęła głową. — Nie ma szans. Nieraz przychodziło mi do głowy, że być może właśnie ta myśl najbardziej przerażała naszych przywódców. Myśl, że wasze mojoki mogłyby rozprzestrzenić się na Aventynie, a wtedy mogłoby się okazać, że Kobrami sterują obce umysły.

— Ale jeśli przez to mojoki stałyby się mniej niebezpieczne...

— Mojoki mają własne cele — przypomniała mu Jin. — Wolałabym nie sprawdzać, co mogłyby zrobić wspólnie z Kobrami.

— Chyba masz rację — westchnął Daulo. — Mimo wszystko...

— Paniczu Sammon! — zawołał ktoś z tyłu.



Odwrócili się i Jin zobaczyła kierowcę Daula machającego do nich z wejścia do centrum handlowego kopalni.

— Telefon do pana. Coś ważnego.

Daulo skinął głową i ruszył różnym truchtem. Jin patrzyła, jak zamienia się z kierowcą miejscami przy telefonie, potem odwróciła się, by ponownie przyjrzeć się Nardinowi. Mangus. Mangusta. Ta nazwa sama w sobie zadawała kłam wszystkim wywodom na temat wojny miast z osadami. Ośrodek nazwany "Mangusta" mógł mieć tylko jeden cel, nie mający nic wspólnego z Qasamą. Gdzieś w zakamarkach umysłu odezwało się sumienie. Czy powinna pozwolić, by Daulo i jego ojciec nadal wierzyli, że Mangus jest siedliskiem spiskowców knujących coś przeciwko osadom? Gdyby dowiedzieli się prawdy, mogliby wycofać się z układu, jaki z nią zawarli.

— Jasmine Alventin!

Drgnęła i odwróciła się. Daulo, otworzywszy drzwi samochodu, przywoływał ją machaniem ręki. Kierowca siedział już na przednim siedzeniu. Z bijącym sercem Jin podbiegła do nich.

— Co się stało? — zapytała, wsuwając się na siedzenie z tyłu obok Daula.

— Jeden z naszych ludzi zauważył ciężarówkę Yithtrów wjeżdżającą przez południową bramę — rzucił zdenerwowany Daulo. — Wystawało z niej coś, co przypominało pień, było dokładnie przykryte jakąś tkaniną.

Jin zmarszczyła brwi.

— Jakieś niezwykle drzewo. Pewnie nie chcą, by ktokolwiek je zobaczył?

— Tak też pomyślał nasz zwiadowca. Musi im bardzo zależeć, aby nikt nie mógł się zorientować, co wiozą.

Jin poczuła suchość w ustach. Rakiety?

— To... szaleństwo — wyjąkała. — Skąd mogliby wziąć coś takiego?

Daulo zerknął na kierowcę.

— Cokolwiek to jest, chcę się temu przyjrzeć z bliska. Kierowca zawiózł ich do Małego Pierścienia tak szybko, jak potrafił.

— Najprościej byłoby pojechać promieniem bezpośrednio od południowej bramy — mruknął Daulo. — Ale w tym przypadku... wydaje mi się, że skręcą w Wielki Pierścień i wjadą do części należącej do Yithtrów, a dopiero potem przejadą promieniem do domu. Co o tym myślisz, Walare?

— Brzmi rozsądnie, paniczu Sammon — kiwnął głową kierowca. — Czy mam przejechać tę drogę w odwrotnym kierunku i spróbować ich dogonić?

— Tak.

Umiejętnie przeprowadziwszy samochód przez tłumy pieszych, Walare objechał Wewnętrzny Zieleniec, minął promień prowadzący do południowej bramy i jechał dalej w kierunku wielkiego domu, który należał do rodziny Yithtrów. Tuż przed nim, pod kątem, odchodziła jeszcze jedna droga. Walare skręcił w ten promień. Jin spojrzała na dom, dostrzegła przy każdym z wejść strażników w liberiach...

— Tam — rzucił Daulo, wskazując na małą ciężarówkę, widoczną daleko przed nimi.

Jin uruchomiła wzmacniacze wzroku i przyjrzała się pasażerom. Wszyscy trzej wyglądali na zdenerwowanych, ale żaden nie podejrzewał o nic nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Minutę później oba pojazdy minęły się, a Daulo i Jin obrócili się na swoich miejscach.

Rzeczywiście, z tylnych drzwi ciężarówki wystawało niezgrabnie coś cylindrycznego, mocno owiniętego białą jedwabistą tkaniną.

— Jedź za nimi — rozkazał Daulo. — I cóż, Jasmine Alventin? — zapytał, gdy samochód ostro zawrócił.

Jin zacisnęła usta, starając się określić długość i obwód przedmiotu.

— Nie jest zbyt duża, jeśli jest tym, o czym myślimy — odpowiedziała. — Poza tym zbyt wyraźnie rzuca się w oczy.

— Racja — przyznał Daulo. — Mogli przywieźć ją w jednej ze swych ciężarówek, służących do transportu drewna i wtedy nikt by niczego nie zauważył. A może to rzeczywiście tylko pień drzewa, przywieziony po to, by nas sprowokować?

Jin przygryzła wargę. A nuż uda mi się wypatrzeć jakiś szczegół mimo tej tkaniny...

— Spróbuję coś zrobić — mruknęła. Wystawiła głowę przez okno i uruchomiła wzmacniacze wzroku ustawione na podczerwień.

Obraz promieniowania odbitego był bardzo silny i kontrastowy. Nawet przy zakłóceniach tła, wywołanych ruchem ciężarówki i panującym wokół zamieszanym, nie było żadnej wątpliwości.

— To metal — powiedziała. Daulo ponuro skinął głową.

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy? Yithtrowie weszli w układy z Mangus.

— Albo ukradli raketę. To może spowodować kłopoty na całą osadę.

Daulo syknął przez zęby.

— Kłopoty ze strony agentów starających się odzyskać to, co stracili?

A może jest to zwyczajny odwet? — pomyślała Jin. Ale martwienie tym Daula nie miało sensu.

— Tak — odparła. — Przynajmniej mamy szansę zdobycia cennych informacji bez jeżdżenia po nie aż do Mangus.

Wpatrywał się w nią.

— Chyba nie mówisz poważnie. Nie możemy włamać się do domu Yithtrów.

— Nie sądzę, żeby było to możliwe — stwierdziła sztywno Jin. — Dlatego będę musiała dowiedzieć się wszystkiego teraz.

Powiedział coś niedorzecznego, ale była zbyt zajęta swoimi myślami, by zwrócić uwagę na jego słowa. Istniały setki sposobów zatrzymania pojazdu, ale każdy z nich natychmiast ujawniłby, że Jin jest diabelskim wojownikiem. Tuż obok, wzdłuż drogi rozciągało się jedno z targowisk Miliki, pełne potencjalnych świadków jej ewentualnych poczynań.

Potencjalnych świadków... którzy mogli również posłużyć do odwrócenia uwagi.

— Podjedź bliżej do ciężarówki — rozkazała kierowcy. — Chcę, żebyś wyprzedził ją dokładnie za minutę.

— Paniczu Daulo...? — zapytał Walare.

— Zrób to — potwierdził Daulo. — Jin...?

— Kiedy zaczniemy ją wyprzedzać, przeskoczę i dostanę się do środka — wyjaśniła, przeszukując wzrokiem stragany na targowisku. Gdzieś tam musiało być to, czego szukała...

Tuż obok ulicy, w odległości pięćdziesięciu metrów, dostrzegła grupę sześciu klientów. Prowadzili ożywioną dyskusję, stojąc obok sprzedawcy żywności... czterech z nich miało na ramionach mojoki.

— Podjeżdżaj — rozkazała Walare'emu. — Spotkamy się w domu, Daulo Sammon.

Kątem oka zobaczyła, że zbliżają się do ciężarówki. Włączywszy system celowniczy, naprowadziła go na brzuchy trzech mojków. Wiedziała, że nawet w blasku dnia impuls niskiej mocy wysłany z laserów palcowych wiązałyby się z pewnym ryzykiem. Ale nie mogła zrobić nic innego, pozostało jej tylko modlić się, żeby nikt nie zauważył błysku promieni. Walare podjechał pod sam tył ciężarówki i kiedy stragan z jedzeniem mignął obok nich, Jin oddała trzy szybkie strzały.

Stało się dokładnie to, na co liczyła. Wrzask ptaków przeszył powietrze jak dźwięk potrójnej syreny, tuż po tym rozległy się ludzkie okrzyki. Jin zerknęła na przypalone mojoki, wirujące wściekle w powietrzu, i na ludzi kryjących się przed niespodziewanym atakiem ptaków. Wykorzystując to nagłe zamieszanie, otworzyła drzwi samochodu i opuściła nogi na chodnik. Przez chwilę starała się złapać równowagę, a kiedy jej stopy dotknęły podłoża, zatrzasnęła drzwi i ruszyła do przodu. Doskonale wyczuła moment. Walare był w połowie manewru wyprzedzania i samochód znajdował się tuż za ciężarówką, niewidoczny we wstecznym lusterku. Krótki, trwający dwie sekundy sprint zbliżył Jin do wystającego z pojazdu, tajemniczego przedmiotu. Chwyciła krawędź otwartych drzwi, podciągnęła się i wpadła przez otwór w bezpieczny mrok wnętrza ciężarówki.

Wzdrygnęła się łapiąc oddech. Czas płynął bardzo powoli. Za najwyżej pięć minut ciężarówka dojedzie do domu Yithtrów i jeśli Jin przedtem się z niej nie wydostanie, prawdopodobnie będzie musiała utorować sobie drogę strzałami. Przykucnąwszy obok cylindrycznego przedmiotu, odgarnęła okrywającą go jedwabistą tkaninę i zamarła.

Nie była to zwykła tkanina. Lekka i gęsto pleciona, łączyła się z cylindrem sznurami.

Spadochron.

Leżący pod spodem pojemnik był biały i gładki, gdzieś tam widniały na nim czarne ślady przypalania. Ślady te nie kryły jednak napisu na luźno przymocowanej klapce:

POJEMNIK TRANSPORTOWY TYP 6-KX.

WYŁĄCZNIE DO PRZEWOZU ŁADUNKÓW RZĄDOWYCH.

Boże nad nami! — pomyślała w osłupieniu. A więc Yithtrowie ani nie kupili, ani nie ukradli pocisku. Znaleźli coś zupełnie innego. Pożegnalny prezent od "Southern Cross".

Prezent przeznaczony dla Jin.

## Rozdział 2

Przez dłuższą chwilę nie mogła zebrać myśli. Sam fakt istnienia kapsuły był wystarczająco niebezpieczny, ale jej obecność w rękach Qasaman mogła okazać się tragiczna w skutkach. Kiedy Yithtrowie się zorientują, co znaleźli, i przekażą to władzom...

Miała trzy minuty, żeby pomyśleć, jak temu zapobiec. Zaciskając zęby, wepchnęła palce pod klapkę i podważyła ją.

Zawartość pojemnika nie zaskoczyła Jin: paczkowany suchy prowiant, lekkie koce, apteczki, plecak i pojemnik na wodę... wszystko, czego mógł potrzebować rozbitek, by przeżyć na wrogiej planecie. Wszystko wyraźnie oznakowane w języku angielskim.

Zatarcie napisu na zewnętrznej stronie kapsuły nic by więc nie dało. Chyba że udałoby się zniszczyć całą zawartość...

Po policzku spłynęła jej strużka potu. Badając palcami poszczególne paczki, rozpaczliwie starała się coś wymyślić. Jej lasery nie były przeznaczone do rozpalania tego rodzaju ognia, ale jeśli przysłali paliwo do gotowania...

Nagle palce natrafiły na coś szeleszczącego — poskładany kawałek papieru. Marszcząc brwi wydobyła go i rozłożyła. Wiadomość była krótka:

*Nie możemy do Ciebie dotrzeć. Jeśli przeżyjesz, wrócimy z pomocą najszybciej jak się da. Będziemy nasłuchiwać Twoich sygnałów o świcie, w południe, o zachodzie słońca i o północy czasu lokalnego... Jeśli nie możesz nadawać: Przylecimy cię odnaleźć.*

*Odwagi!*

*Kapitan Rivero Kojá*

Jin mocno przygryzła wargę. "Przylecimy cię odnaleźć". Oczami duszy zobaczyła pełny oddział szturmowy Kobr, który ląduje w Milice, strzela na oślep i stara się ją odszukać... Klnąc w myślach, ze zdwojoną energią zaczęła przeglą-

dać paczki, rozglądając się za nadajnikiem, o którym wspominała notatka Koi. Jednak albo był schowany zbyt głęboko pomiędzy pakunkami z żywnością, albo...

Albo zabrali go robotnicy Yithtrów, którzy znaleźli i otworzyli kapsułę.

Cholera. Być może znajdował się teraz w odległości kilku metrów od niej, w kabinie ciężarówki... ale równie dobrze mógł być gdzieś na orbicie. Przez chwilę wyobraziła sobie, jak rozpruwa kabinę strzałem z przeciwpancerneho lasera, ogłusza pasażerów bronią soniczną i odzyskuje nadajnik...

A potem szuka schronienia w głębi puszczy. Tymczasem rodzina Sammonów staje przed sądem pod zarzutem zdrady.

Ze złością odrzuciła te myśli. Nadajnik przepadł, kropka. Włożyła zgniecioną notatkę Koi do kieszeni, wcisnęła klapkę na miejsce i podeszła do tylnych drzwi, łapiąc równowagę, gdyż ciężarówka właśnie skręcała ostro w prawo. Przez szparę spostrzegła Mały Pierścień.

Oznaczało to, że samochód zjechał z promienia i w każdej chwili może dotrzeć do bramy domu Yithtrów. Jin wyjrzała przez otwór, starając się znaleźć coś, czym mogłaby się posłużyć w celu odwrócenia uwagi przeciwnika. Ale niczego takiego nie zobaczyła. Na zewnątrz było jak zwykle wielu przechodniów, więc jeśli wyskoczy z ciężarówki, z łatwością wtopi się w tłum. Samego skoku natomiast nie da się zakamuflować. Zacisnąwszy zęby, przygotowała się i kiedy ciężarówka gwałtownie zwolniła, zsunęła się i zeskoczyła na chodnik. Przebiegła kilka kroków, po czym zatrzymała się, odwróciła i zaczęła iść szybko drogą, oddalając się od domu Yithtrów.

Nie słyszała żadnych okrzyków, świadczących o tym, że ją dostrzeżono. Ciężarówka zatrzymała się na chwilę, po czym ponownie ruszyła. Warkot silnika zgiął stłumiony zgrzytem zamykającej się bramy. Opanowując drżenie rąk, Jin szła dalej.

W końcu okrężną drogą dotarła do domu Sammonów.

Kruin Sammon położył zmięty kawałek papieru na biurku, po czym spojrzał na Jin.

— A więc... — powiedział. — Przystajesz tu być anonimowo.

— Na to wygląda — sztywno przytaknęła Jin.

— Nie rozumiem dlaczego — zaoponował Daulo, siedzący na swym zwykłym miejscu obok ojca. — Yithtrowie naprawdę nie mogą ci w niczym zaszkodzić, dopóki nie przedstawią Shahnim wiarygodnych dowodów. Czemu

nie mogłabyś po prostu włamać się dziś w nocy do ich domu i zniszczyć lub ukraść kapsuły?

Jin potrząsnęła głową.

— To by nic nie dało. Istnieje prawdopodobieństwo, że do tego czasu otworzą kapsułę i wyjmą to, co w niej jest, nie ma więc gwarancji, że odzyskam całą zawartość pojemnika. A poza tym sam fakt, że uda mi się wejść i wyjść bezpiecznie ze strzeżonego domu, będzie wystarczającym dowodem na to, że nie jestem zwykłym przybyszem z innej planety, ale diabelskim wojownikiem. Nie sądzę, żeby nam teraz zależało na niepotrzebnej panice.

— A więc rodzina Yithtra powiadomi Shahnich, że na naszym terytorium wylądował potajemnie ktoś z obcej planety. — Wzrok Kruina spoczywał niewzruszenie na twarzy Jin. — I za patriotyczną postawę i czujność rodzina Yithtrów zyska nowe źródło prestiżu. Czy tak pomagasz nam osłabić ich pozycję?

Jin zaczął ogarniać gniew.

— Zdaję sobie sprawę, że kierujesz się tym, co jest najważniejsze dla ciebie, Kruinie Sammon — powiedziała najspokojniej, jak potrafiła — ale wydaje mi się, że powinieneś chwilowo zapomnieć o tym, że Yithrowie dostaną pochwały, i skupić swoją uwagę na kłopotach, które mogą spotkać całą Milikę.

— Kłopotach, które mogą spotkać ciebie, chciałaś powiedzieć — odparł Kruin. — My, mieszkańcy Miliki, jesteśmy bez winy, Jasmine Moreau. Zostaliśmy podstępnie skłonieni do udzielenia naszej gościnności chytremu przybyszowi z innej planety.

Jin spojrzała na niego twardo.

— Czyżbyś zrywał naszą umowę? — zapytała cicho.

Potrząsnęła głową.

— Nie, jeśli znajdzie się inne wyjście. Ale jeśli stanie się pewne, że cię złapią, nie pozwolę, by zniszczono przy okazji moją rodzinę. — Zawahał się. — Jeśli tak się stanie... przynajmniej cię ostrzeżę.

Tak by ewentualna większa strzelanina odbyła się daleko poza terytorium Sammonów. Było to jednak tyle, ile mogła w tych warunkach oczekiwać... i prawdopodobnie więcej, niż uzyskałaby gdzie indziej.

— Dziękuję ci za szczerość.

— Ty natomiast nie byłaś z nami szczera — zauważył starszy z Sammonów.

Jin poczuła skurcz w żołądku.

— Co masz na myśli?

— Mówię o twym prawdziwym imieniu — wyjaśnił spokojnie. — I o powiązaniu tej nazwy z Mangus.

Czując w pokoju nagły powiew chłodu, Jin przerzuciła wzrok na Daula. Młodszy mężczyzna patrzył na nią poważnie, jego twarz była równie nieprzenikniona, jak oblicze Kruina.

— Nigdy was nie okłamałam — powiedziała, spoglądając wciąż na Daula. — Żadnego z was.

— Czy ukrywanie prawdy nie jest kłamstwem? — zapytał cicho Daule. — Zrozumiałaś znaczenie słowa "mangusta", jednak nie podzieliłaś się z nami swoją wiedzą.

— Jeśli chciałabym zachować to dla siebie, to po co bym wam mówiła, że nazywają nas Kobrami? — odparła. — Tak naprawdę, to nie myślałam, że to wszystko jest aż tak ważne.

— Nieważne? — obruszył się Kruin. — Mangusta nie jest nazwą miejsca, w którym planuje się wyłącznie opanowanie qasamańskich osad. A jeśli Mangus rzeczywiście powstał do walki z naszym wspólnym wrogiem, to w jaki sposób rodzina Sammonów mogłaby pomóc ci go zniszczyć?

— Nie staram się go zniszczyć...

— Kolejne pół prawdy — odparował Kruin. — Być może ty nie, ale za tobą przyjdą inni.

Jin wzięła głęboki oddech. Spokojnie, dziewczyno — ostrzegła samą siebie. — Skoncentruj się, i bądź rozsądna.

— Powiedziałam wam już, że nie wiem, co zrobię z moim raportem na Aventinie... mówiłam też, że Qasama nie stanowi zagrożenia i może śmiało kontynuować swą ekspansję w kosmos. Ale jeśli Shahni faktycznie dążą do tego, by nas zaatakować, czy myślicie, że zrobią to bez pełnego poparcia całej Qasamy? Lub, innymi słowy, czy nie zażądają od miast i osad równego udziału w dostarczaniu surowców i ludzi... — przerzuciła wzrok na Daula — ...tak jak tego będą wymagały działania wojenne na pełną skalę? Niezależnie od tego, czy będziecie chcieli im pomóc, czy nie?

Kruin siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc na Jin. Zmusiła się, by wytrzymać jego spojrzenie.

Po chwili Kruin poruszył się na poduszkach.



— Ponownie próbujesz wykonać, że Mangus zagraża bezpośrednio nam. Nie masz jednak na to dowodów.

— Jeśli istnieją jakiegokolwiek dowody, można je znaleźć wyłącznie wewnątrz samego Mangus — stwierdziła Jin, czując, jak skurcz, który przez cały czas ścisnął jej żołądek, zaczyna słabnąć.

Pomimo swych obaw Kruin najwyraźniej był na tyle bystry, by wiedzieć, że scenariusz nakreślony przez Jin jest sensowny i nie sposób go zignorować.

— Aby się upewnić, że moje podejrzenia są słuszne, będziemy musieli tam wejść i sami to sprawdzić.

— My? — Kruin uśmiechnął się słabo, z lekką goryczą. — Jakże szybko stajesz się Qasamanką, Jasmine Moreau. Czy myślisz może, iż nie zdajemy sobie sprawy, że w chwili kiedy wejdiesz do Mangus, zaczną liczyć się twoje, nie nasze cele?

Dłonie Jin zacisnęły się w pięści.

— Obrażasz mnie, Kruinie Sammon — warknęła. — Nie igram z ludzkim życiem... ani z życiem moich rodaków, ani z waszym. Jeśli Mangus zagraża komukolwiek, Aventińczykom czy Qasamanom, chcę o tym wiedzieć. Oto mój cel.

Kruin przez chwilę nie odpowiadał. Potem, ku jej zdziwieniu, uklonił się w jej stronę.

— Uważałem cię za wojownika, Jasmine Moreau — powiedział. — Widzę, że się myliłem.

Jin nerwowo zamrugała powiekami.

— Nie rozumiem.

— Wojownicy — wyjaśnił cicho — nie przejmują się losem tych, których zabijają.

Jin oblizwała wargi, przeszył ją zimny dreszcz. Nie chciała Kruina tak urazić... a już z pewnością nie chciała stworzyć wrażenia, że tak naprawdę miała na względzie dobro Miliki. Ostro upomniała się w myślach, że przybyła tu przecież tylko w jednym celu: sprawdzić, czy nie ma zagrożenia dla Światów Kobr. Jeśli jedna grupa Qasaman zamierzała wyrznąć drugą... to nie była to jej sprawa.

A jednak w pewnym sensie była to jej sprawa.

Po raz pierwszy musiała świadomie zaakceptować ten fakt. Żyła z tymi ludźmi, mieszkała u nich, jadła z nimi, przyjmowała ich pomoc i gościnność... nie

mogła tak po prostu odwrócić się od nich i odejść. Kruin miał rację. Nie była wojownikiem.

Co oznaczało, że nie była Kobrą.

Nagle poczuła napływające do oczu łzy. Z trudem zdołała je powstrzymać. To nie miało znaczenia... popsuła już sprawy tak bardzo, że jeszcze jedna porażka nie robiła wielkiej różnicy.

— Nieważne kim jestem, a kim nie — warknęła. — Chodzi tylko o to, czy nadal zamierzacie mi pomóc dotrzeć do Mangus, czy będę musiała radzić sobie sama.

— Już raz dałem ci moje słowo — powiedział zimno Kruin. — Obrażasz mnie, pytając o to ponownie.

— Tak. Cóż, wygląda na to, że mamy dobry dzień do obrażania się — mruknęła Jin zmęczonym głosem.

Opuszczała ją wola walki, pozostawało uczucie skrajnego wyczerpania.

— Daulo mówił mi o brygadach robotników wynajmowanych z Azras. Czy możesz poprosić swego przyjaciela burmistrza, by mnie włączył do jednej z nich?

Kruin zerknął na syna.

— To jest możliwe. Ale załatwienie tego mogłoby potrwać tydzień.

— Nie mamy tyle czasu — westchnęła Jin. — Muszę dostać się do Mangus i wrócić stamtąd w ciągu następnych sześciu dni.

— Dlaczego? — Kruin zmarszczył brwi.

Jin wskazała głową na list od Koi leżący na niskim stole.

— Ta kartka zmienia wszystko. Nie będzie półrocznej debaty na temat tego, czy wysłać tu kolejną misję. Koja wrócił najszybciej, jak potrafił, a grupa ratunkowa będzie w drodze, jak tylko uda się ją zorganizować.

Kruin zacisnął usta.

— Ile zajmie im lot?

— Dokładnie nie wiem. Myślę, że nie dłużej niż tydzień.

Daulo syknął przez zęby.

— Tydzień?

— Niedobrze — stwierdził spokojnie Kruin. — Ale chyba nie jest tak źle. Do Mangus wyruszyła nowa dostawa metali, wkrótce powinni potrzebować dodatkowej siły roboczej.

— Kiedy? — zapytała Jin.

— Myślę, że w ciągu najbliższego tygodnia — powiedział Kruin. — Dziś po południu wyślę wiadomość do burmistrza Capparisa. Zapytam go, czy do którejś z tych grup można by włączyć jednego z moich domowników.

— Zapytaj, proszę, czy mógłby dołączyć dwóch — powiedział cicho Daulo.

Kruin uniósł brew, zerkając na syna.

— Szlachetna propozycja, mój synu, ale nie do końca przemyślana. Z jakiego powodu, poza ciekawością, miałbym pozwolić ci towarzyszyć Jasmine Moreau w tej wyprawie?

— Z tego powodu, że Jin niewiele jeszcze wie o Qasamie — wyjaśnił Daulo. — Mogłaby zdradzić swoje pochodzenie na tysiąc różnych sposobów. Lub, co gorsza, mogłaby nie zauważyć czegoś naprawdę istotnego.

Kruin zerknął na Jin.

— Czy masz odpowiedź?

— Dam sobie radę — powiedziała sztywno Jin. — Dziękuję ci, Daulo, ale nie potrzebuję eskorty.

— Czy jego argumenty są nieważne? — zapytał Kruin.

— Niezupełnie — przyznała. — Ale ryzyko przewyższa korzyści. Twoja rodzina jest tu dobrze znana i prawdopodobnie słyszano o niej w Azras. Nawet przy użyciu zestawu maskującego istnieje niebezpieczeństwo, że Daulo zostanie rozpoznany przez kogoś z robotników lub Radiga Nardina, albo kogoś wewnątrz Mangus. Prawdopodobieństwo jest takie samo jak to, że ja zostanę przyłapaną na jakiejś pomyłce.

Zawahała się. Nie, lepiej tego nie mówić... — pomyślała.

Ale Kruin zauważył to wahanie.

— A wtedy...? — ponaglił.

Jin zacisnęła zęby.

— Jeśli będą kłopoty... Mam większe szansę na to, że wydostanę się sama, niż gdyby był ze mną Daulo.

W sekundę później pożałowała, że w ogóle otworzyła usta. Daulo zeszywniał na swojej poduszce, jego twarz pociemniała.

— Nie potrzebuję opieki kobiety — warknął. — I pojedę z tobą do Mangus.

Nie było już o czym dyskutować. Jin zdała sobie sprawę ze swojej porażki. Logika miała swoje miejsce, ale w konfrontacji z zagrożonym poczuciem męskiej wartości rezultat mógł być tylko jeden.

— W takim razie — westchnęła — będę zaszczycona, mając twoje towarzystwo i opiekę.

Dużo później zdała sobie sprawę, że być może sama była winna temu, że sprawy przybrały niepomyślny obrót... że być może fakt, iż zapomniała o czymś tak charakterystycznym dla Qasamy, jak zbyt rozwinięte męskie ego, oznaczał, że faktycznie wiedziała o Qasamie za mało, by samej brać się za rozwiązanie zagadki Mangus.

Nie była to szczególnie zachęcająca myśl.

## Rozdział 3

— Przejrzałem dziś po południu wszystkie nasze zapisy — odezwał się Daulo, stojący obok Jin — Wygląda na to, że nie jest tak źle, jak mówił ojciec. W ciągu zaledwie dwóch, trzech dni władze Mangus powinny zwrócić się do Azras o zorganizowanie brygady roboczej.

Jin skinęła głową w milczeniu. Szli przez ciemny dziedziniec w kierunku monotonicznie szumiącej fontanny. Dziwne — pomyślała — jak łatwo można poczuć się tu swojsko i wygodnie. Może zbyt wygodnie? Ogarnął ją nagły niepokój. Layn ostrzegał ich przed utratą nieco przesadnej ostrożności, która powinna cechować każdego wojownika na obcym terenie, pamiętała też, że wydawało jej się niewiarygodne, aby ktoś w takiej sytuacji mógł się czuć swobodnie. Teraz sama tak się czuła.

Szybki wyjazd do Azras i Mangus stawał się konieczny.

— Milczysz... — powiedział Daulo. Zacisnęła usta.

— Myślę tylko, jak tu spokojnie — odparła. — W Milice, a szczególnie w twoim domu. Prawie chciałabym tu zostać.

— Nie przejmuj się tym zbyt. Gdybyś pomieszkała tu przez parę miesięcy, szybko przekonałabyś się, że nie jest to rajski ogród. — Zawahał się. — Co zrobią twoi rodacy, jeśli się okaże, że masz rację? Że Mangus jest bazą do ataku na waszą planetę?

Jin wzruszyła ramionami.

— Prawdopodobnie zależy to częściowo od tego, co wy w takim przypadku zrobicie.

Zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli?

— Daj spokój, Daulo, nie udawaj niewinnego. Jeśli Mangus nie stanowi zagrożenia dla Miliki, ty i twój ojciec nie będziecie mieli powodu nadal mi pomagać. Szczerze mówiąc, będziecie mieli wszelkie powody ku temu, by mnie wydać.

Spojrzał na nią groźnie.

— Rodzina Sammonów ma swój honor, Jasmine Moreau odparł. — Przyrzekliśmy cię chronić i dotrzemy słowa. Niezależnie od wszystkiego.

Westchnęła.

— Wiem. Ale... ostrzegano nas, żebyśmy nie byli zbyt ufni.

— Rozumiem. Obawiam się, że będziesz musiała uwierzyć mi na słowo.

— Wiem, ale wcale nie musi mi się to podobać.

W ciemności jego dłoń dotknęła niepewnie jej dłoni. Przywołało to wspomnienie Mandera Suna... Nie cofnęła ręki, z trudem powstrzymując łzy.

— Nie staraliśmy się być waszymi wrogami, Jin Moreau — powiedział cicho Daulo. — Mamy wystarczająco wielu przeciwników tu, na Qasamie. I walczyliśmy już z nimi od dawna. Czyż nie zasłużyliśmy sobie na odpoczynek?

Westchnęła. Obrazy Caeliany mignęły jej przed oczami... pomyślała o ojcu i stryju.

— Tak. Tak jak wszyscy, których znam.

Przez kilka minut spacerowali w milczeniu po dziedzińcu, wsłuchując się w nocne odgłosy Miliki.

— Czy imię Jin coś znaczy? — zapytał nagle Daulo. — Wiem, że Jasmine to nazwa kwiatu ze Starej Ziemi, ale Jin słyszałem tylko jako imię mitycznego ducha.

Poczuła ciepło na policzkach.

— To przezwisko, które nadał mi ojciec, kiedy byłam mała. Mówił, że to skrócona wersja Jasmine. — Oblizła wargi. — Być może miało to znaczyć tylko tyle, ale kiedy miałam osiem lat, znalazłam w miejskiej bibliotece kartę magnetyczną ze starego Dominium Ludzi, na której zebrano kilka tysięcy imion i ich znaczeń. Jin było podane jako starojapońskie imię, znaczące "wspaniała".

— Czyżby? — mruknął Daulo. — Nadanie ci takiego imienia to wielki komplement ze strony ojca.

— Może zbyt wielki — wyznała Jin. — W tym spisie podano, że nadawano je rzadko, ponieważ jego znaczenie stawiało przed dzieckiem wielkie wymagania.

— I od tego czasu starałaś się im sprostać?

Była to myśl, która nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy.

— Nie wiem. Myślę, że to możliwe. Pamiętam, że przez wiele tygodni po tym odkryciu wydawało mi się, że wszyscy patrzyli na mnie z oczekiwaniem, spodziewając się, że zrobię coś nadzwyczajnego.

— I oto znalazłaś się na Qasamie. I wciąż próbujesz sprostać wymaganiom.

— Chyba tak. Przynajmniej staram się, by mój ojciec był ze mnie dumny.

Minęła długa chwila, zanim Daulo znów się odezwał.

— Rozumiem może więcej, niż ci się wydaje. Nasze rodziny nie różnią się tak bardzo, Jin Moreau.

Nagły ruch w jednym z okien ponad nimi zwrócił uwagę Jin, ratując ją przed koniecznością odpowiedzi na to stwierdzenie.

— Ktoś jest w gabinecie twojego ojca — powiedziała, wskazując okno.

Daulo zeszywniał na moment, ale po chwili się uspokoił.

— To jeden z naszych ludzi... posłaniec. Prawdopodobnie przyniósł odpowiedź burmistrza Capparisa na wiadomość, którą ojciec wysłał do niego dziś rano.

— Sprawdźmy to — powiedziała Jin, zmierzając z powrotem ku drzwiom.

Daulo idący obok niej wyraźnie się ociągał.

— Jeśli oczywiście chcesz — dodała pospiesznie.

Dodatkowe napięcie wygasło, męska duma została najwyraźniej zaspokojona.

— Oczywiście. Chodźmy.

Podczas przechadzki z Jin Daulo nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, toteż prowadził ją pustymi korytarzami do gabinetu ojca z mieszaniną zakłopotania i poczucia winy. Większość domowników udała się już do swoich izb, a puste korytarze dźwięczały echem ich kroków. Powinien był odprowadzić dziewczynę do jej pokoi pół godziny temu. Miał nadzieję, że nie widać, jak płoną mu policzki. Ojciec pewnie będzie na mnie zły... — pomyślał. Przez chwilę szukał wymówki, która pozwoliłaby zmienić zdanie i odprowadzić ją na górę, ale argumenty, które przychodziły mu do głowy, nie były specjalnie przekonujące.

Kiedy podeszli do drzwi Kruina Sammona, strażnik uczynił znak szacunku.

— Paniczu Sammon — odezwał się — czym mogę ci służyć?

— Czy posłaniec, który przybył do mego ojca, jest wciąż w gabinecie? — zapytał Daulo.

— Nie, wyszedł przed chwilą. Czy zyczysz sobie z nim rozmawiać?

— Nie. Chcę rozmawiać z ojcem.

Strażnik odwrócił się do interkomu.

— Mistrzu Sammon, Daulo Sammon i Jasmine Alventin przyszli, by się z tobą widzieć. — Usłyszawszy niewyraźną odpowiedź, strażnik skinął głową. — Możecie wejść — powiedział, kiedy zamek w drzwiach się otworzył.

Kruin Sammon siedział przy biurku z rylcem w ręku i dziwnie skupionym wyrazem twarzy.

— O co chodzi, mój synu? — zapytał, kiedy Daulo zamknął drzwi.

— Z dziedzienca widzieliśmy, że przybył posłaniec, mój ojciec — odparł Daulo, odpowiadając na znak szacunku. — Pomyślałem, że może nadeszły wieści z Azras.

Kruin przybrał poważną minę.

— Tak. Burmistrz Capparisi zorganizował mieszkanie dla dwóch osób i obiecuje ułatwić wam wejście do brygady roboczej, kiedy Mangus ogłosi jej tworzenie.

— Dobrze — rzekł Daulo, czując jednak dziwny niepokój. Wyraz twarzy ojca... — Czy coś nie w porządku, mój ojciec?

Kruin oblizał wargi i wziął głęboki oddech.

— Podejdź tu, Daulo — westchnął.

Daulo poczuł pustkę w żołądku. Ścisnąwszy na chwilę dłoń Jin, podszedł do biurka ojca.

— Przeczytaj to — powiedział Kruin, wręczając mu kawałek papieru. Jego wzrok uciekł od spojrzenia Daula. — Zamierzałem dać ci to jutro rano, na godzinę przed świtem. Ale teraz...

Daulo ostrożnie wziął kartkę, serce waliło mu w piersiach. Jeśli coś tak zbiło z tropu jego ojca...

DAULO:

BURMISTRZA CAPPARISA POINFORMOWAŁEM TAKŻE O TYM, ŻE RODZINA YITHTRA ODKRYŁA PRZEDMIOT Z INNEJ PLANETY. ON Z KOLEI POINFORMOWAŁ MNIE, ŻE MOJA WIADOMOŚĆ ZOSTAŁA PRZEKAZANA SHAHNIM, KTÓRZY



WYŚLĄ LUDZI W CELU PRZESŁUCHANIA RODZINY YITHTRÓW NA TEMAT TEGO, DLACZEGO NIE POWIADOMILI ICH O TYM PRZEDMIOCIE OSOBIŚCIE.

TY I JASMINE MOREAU BĘDZIECIE MUSIELI WYJECHAĆ, KIEDY TYLKO OKAŻE SIĘ TO MOŻLIWE... WIDZIAŁO JĄ ZBYT WIELU POSTRONNYCH, BY MOGŁA POZOSTAĆ TU W UKRYCIU. PRZYGOTOWANO DLA WAS SAMOCHÓD Z ZAPASAMI, KTÓRE WYSTARCZĄ WAM W AZRAS NA TYDZIEŃ. NA CZAS OCZEKIWANIA NA ROZPOCZĘCIE W MANGUS NABORU BURMISTRZ CAPPARIS ZAPROPONOWAŁ WAM SKORZYSTANIE Z JEGO DOMU GOŚCINNEGO.

BĄDŹ OSTROŻNY, MÓJ SYNU, I NIE UFAJ JASMINE MOREAU BARDZIEJ NIŻ TO KONIECZNE.

KRUIN SAMMON

Daulo spojrział na ojca.

— Dlaczego? — zapytał, świadomy tego, że serce łomocze mu w piersiach.

— Ponieważ uznałem, że to konieczne — powiedział zwyczajnie Kruin, ale wyraz jego oczu zadawał kłam jego słowom.

— Nie miałeś prawa, mój ojciec. — Daulo usłyszał drzenie we własnym głosie i poczuł na twarzy rumieniec wstydu. "Rodzina Sammonów ma swój honor..." — wypowiedział te słowa do Jin niecałe pół godziny temu. "Przyrzekliśmy cię chronić..." — Zawarliśmy z Jasmine Moreau umowę, której nie zerwała.

— Której ja też nie zerwałem, Daulu Sammon. Wiedziałeś, że w końcu będziecie musieli pojechać do Azras. Po prostu stanie się to szybciej, niż się tego spodziewaliśmy.

— Przysięgłeś jej nie wydać...

— I nie uczyniłem tego! — wrzasnął Kruin. — Mogłem powiedzieć o niej wszystko burmistrzowi Capparisowi, ale nie zrobiłem tego. Mogłem zataić przed wami, że Shahni wyślą śledczych, ale nie zrobiłem tego.

— Zgrabne słowa nie ukryją prawdy — odparował Daulo. — A prawdą jest, że przyrzekłeś chronić ją pod naszym dachem. Teraz wypędzasz Jasmine z domu i pozbawiasz opieki.

— Uważaj, Daulu Sammon — ostrzegł go ojciec. — Twym słowom niebezpiecznie brakuje szacunku.

— Słowa odzwierciedlają moje myśli — odparł Daulo. — Wstyd mi za rodzinę, ojciec.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Nagle Daulo usłyszał tuż za sobą spokojny głos Jin.

— Czy mogę zobaczyć tę kartkę? — zapytała.

Daulo podał ją w milczeniu. A teraz kończy się świat... — przyszło mu do głowy. — Zemsta zdradzonego diabelskiego wojownika. Wspomnienie martwej brzytwołapy z oderwaną głową, brzytwołapy, którą zabiła Jin, wywołało skurcz w gardle...

Wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim Jin opuściła kartkę i spojrzała Kruinowi w oczy.

— Powiedz mi — powiedziała cicho — czy rodzina Yithra długo utrzymałaby fakt posiadania kapsuły w tajemnicy?

— Wątpię — powiedział starszy z Sammonów.

Głos miał spokojny... ale Daulo dostrzegał niepokój w jego oczach.

— Jak tylko wydobędą jej zawartość, sami zaalarmują Shahnich.

— Sądzisz, że zrobią to w ciągu tygodnia?

— Prawdopodobnie prędzej — powiedział Kruin.

Spojrzała na Daula.

— Zgadzasz się?

Przełknął ślinę.

— Tak. W ten sposób zaskarbia sobie przychylność Shahnich. Poza tym będą mogli jako pierwsi obejrzeć wszystko, co mogłoby mieć jakąś wartość.

Obróciła się z powrotem do Kruina.

— Rozumiem — odparła. — Innymi słowy, tak jak powiedziałaś, wcześniej czy później i tak musiałabym opuścić Milikę.

Daulo był zaskoczony jej reakcją.

— Ty... nie rozumiem. Nie jesteś zła?

Popatrzyła na niego... skurczył się w sobie pod wpływem tego spojrzenia.

— Powiedziałam, że i tak byłoby to konieczne — warknęła przez zaciśnięte zęby — i że to rozumiem. Nie mówiłam, że nie jestem zła. Twój ojciec nie miał prawa zrobić czegoś takiego, nie uzgadniając tego przedtem ze mną. Mogliśmy wyjechać dziś po południu i w tej chwili bylibyśmy bezpiecznie ukryci w Azras. Tymczasem, jeśli zaczekamy do świtu, możemy z powodzeniem zostać złapani w

Milice. Będzie nas ścigać wielu ludzi. Wyślą samoloty na poszukiwanie rozbitego wahadłowca, rozstawią blokady na drogach.

Spojrzała na Daula.

— Musimy wyruszyć dziś w nocy. Teraz. — Przyglądała mu się badawczo. — Przynajmniej ja muszę wyruszyć. Ty możesz zostać, jeśli chcesz.

Daulo zacisnął zęby. W normalnych warunkach sugestia, że mógłby cofnąć dane wcześniej słowo, byłaby najwyższą zniewagą. W tej sytuacji była tym, na co zasługiwał.

— Powiedziałem, że pojedę z tobą, Jasmine Moreau, i uczynię to. — Spojrzał na ojca. — Czy zapasy, o których mówiłeś, są już zgromadzone?

— Są w samochodzie. — Kruin zacisnął usta. — Daulo...

— Spróbuję przesłać wieści, kiedy powstanie brygada robocza — przerwał Daulo, niespecjalnie w nastroju do uprzejmości. — Mam nadzieję, że przynajmniej będziesz w stanie odwlec do tego czasu dochodzenie dotyczące tożsamości Jasmine Moreau.

Starszy z Sammonów westchnął.

— Zrobię to — obiecał.

Daulo z goryczą skinął głową. Obietnica ojca... słowo, które zawsze wydawało mu się równie niezmiennie jak prawa natury. W chwili gdy przekonał się, że ojciec potrafi świadomie złamać słowo, poczuł, że traci samego siebie.

I wszystko z powodu tej idącej obok niego kobiety. Kobiety, która nie tylko nie należała do rodziny Sammonów, ale w rzeczywistości była wrogiem jego świata. Chciało mu się płakać... albo nienawidzić.

Zaciskając zęby, wziął głęboki oddech. "Przysięgliśmy cię chronić... i dotrzemy tej umowy. Niezależnie od wszystkiego".

— Chodź, Jin — powiedział głośno. — Idziemy stąd.

## Rozdział 4

Jin wiedziała, że w dzień droga z Miliki do Azras zajmowała mniej więcej godzinę. W nocy, kiedy Daulo musiał jechać trochę ostrożniej, zajęło im to nieco więcej czasu. Około północy przekroczyli rzekę Somilarai i udali się dalej, w kierunku miasta.

— Co teraz? — zapytała Jin, przyglądając się dość nerwowo prawie pustym ulicom. Obawiała się, że ktoś mógłby zwrócić na nich uwagę.

— Pojedziemy do mieszkania, które udostępnił nam burmistrz Capparis — odparł Daulo.

— Wysłał ci klucz, czy będziemy musieli kogoś obudzić?

— Przysłał numer szyfru. Większość tymczasowych mieszkań w Azras ma zamki szyfrowe. W ten sposób, kiedy opuszczą go dotychczasowi mieszkańcy, wystarczy zmienić kombinację cyfr.

Był to taki sam system, jakiego używano na Światach Kobr.

— Aha — powiedziała Jin, czując się trochę głupio. Minęli centrum miasta i jechali dalej do jego wschodniej części. Wkrótce znaleźli się przed dużym budynkiem, bardzo podobnym do domu rodzinnego Sammonów. W odróżnieniu jednak od tamtego, ten został podzielony na mieszkania, które, sądząc po rozmiarach pokoi, nie były większe od kwatery, którą dała jej rodzina Sammonów. Mieszkanie składało się z maleńkiej kuchni, salonu i sypialni.

Jednoosobowej sypialni.

— Nic dziwnego, że ludzie z miasta czują do nas urazę — skomentował Daulo, stawiając walizki w kącie salonu i zaglądając do pozostałych pomieszczeń. — Zwykły robotnik, będący na służbie u mojej rodziny, ma większy dom.

— Jest to na pewno mieszkanie o niskim standardzie — mruknęła Jin. Przychodziły jej do głowy setki sposobów na poruszenie drażliwego tematu, ale nie było sensu owijać w bawełnę. — Widzę, że jest tu tylko jedno łóżko.

Przez długą chwilę Daulo patrzył na nią... nie na jej ciało, tylko prosto w twarz. Nie uszło to uwagi dziewczyny.

— Tak... — powiedział w końcu. — Naprawdę nie powinienem prosić...

— Czy qasamańskie kobiety są tak uległe? — zapytała bez ogródek Jin.

Zacisnął usta.

— Czasami zapominam, jak bardzo się różnisz... Nie. Qasamanki nie są zbyt uległe... są realistkami. Wiedzą, że bez mężczyzn nie wiedzie im się dobrze... a mnie, potężnemu dziedzicowi z pewnością nie chciałyby odmówić.

Po plecach Jin przebiegł dreszcz, otrząsnęła się z obrzydzeniem. Uprzejmość Daula zniknęła na chwilę, ukazując kogoś o wiele mniej atrakcyjnego. Bogaty, potężny, prawdopodobnie rozpieszczony... od dnia urodzin jego życie układało się dokładnie tak, jak chciał. Na Aventynie takie typy wyrastały przeważnie na samolubnych, niedojrzałych ludzi. Na Qasamie, przy powszechnej pogardzie mężczyzn wobec kobiet, mogło to wyglądać jeszcze gorzej.

Odepchnęła od siebie te myśli. Inna kultura — upomniała samą siebie. Założenia i wnioski mogą okazać się niesłuszne. Widziała przecież zdyscyplinowanie, z jakim prowadził rodzinne interesy, coś z tego musiało przeniknąć też do jego życia osobistego.

Niezależnie jednak od tego jak było naprawdę, musiała tu i teraz ustalić podstawowe reguły.

— A więc — odezwała się chłodno — czy to oznacza, że używałeś potęgi twojej rodziny, by wykorzystywać młode kobiety, które nie miały żadnego wyboru?... A może nawet dawałeś im do zrozumienia, że kiedyś się z nimi ożenisz? Przynajmniej brzytwołapy są szczerze wobec swoich ofiar.

Oczy Daula błysnęły gniewem.

— Nic o nas nie wiesz — parsknął. — Nic o nas, a jeszcze mniej o mnie. Nie bawię się kobietami, nie składam też pustych obietnic. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż inni... w przeciwnym wypadku po co miałbym tu być?

— W takim razie nie powinno być problemu — stwierdziła cicho. — Prawda?

Ogień żarzący się w jego oczach zbladł.

— Teraz to ty się mną bawisz — powiedział w końcu. — Ryzykuję dla ciebie mój honor i pozycję, a ty w zamian złościsz mnie i odpychasz wszelkie pozytywne uczucia.

— Czy dlatego zgodziłeś się przyjechać tu ze mną? — odparła. — Skoro już poruszyłeś ten temat, powiedz mi, czy nie pomyślałeś, że gdybym zgodziła się na twoją propozycję, mogłabym w ten sposób tobą manipulować?

Daulo wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem westchnął.

— Być może. Ale czy teraz jest inaczej? Manipulujesz mną poprzez tę aurę tajemniczości, która cię otacza, a która zniknęłaby, gdybyś zaczęła zachowywać się po prostu jak kobieta wobec mężczyzny.

Pokręciła głową.

— Nie manipuluję tobą, Daulo Sammon. Pomagasz mi z racjonalnych, jasno określonych powodów, które już omawialiśmy. Jesteś zbyt inteligentny, by podejmować decyzje, kierując się tylko i wyłącznie emocjami.

Uśmiechnął się z goryczą.

— A więc teraz sprawą honoru będzie dla mnie trzymanie się od ciebie z daleka. Dobrze rozgrywasz swoją grę, Jasmine Moreau.

— To nie jest gra...

— To nie ma znaczenia. Rezultat jest ten sam. — Odwróciwszy się do niej plecami, podszedł zdecydowanym krokiem do bagaży i zaczął w nich szperać.

— Powinnaś się trochę przespać, będziemy musieli wstać wcześniej na poranne nabożeństwo.

Wyciągnąwszy koc, przeszedł do salonu i zaczął ścielić kanapę.

"Nabożeństwo?" — pomyślała. W Milice nigdy nie chodzili na nabożeństwa. Czy właściwe ku temu miejsca istnieją wyłącznie w miastach? Otworzyła już usta, by zapytać... ale przedłużanie rozmowy nie było chyba dobrym pomysłem.

— Rozumiem — powiedziała. — Dobranoc, Daulo. Mruknął coś w odpowiedzi. Zacisnąwszy usta, Jin odwróciła się, weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Przez długą chwilę siedziała na łóżku, zastanawiając się, czy na pewno dobrze to wszystko rozegrała. Czy naprawdę byłoby tak źle, gdyby się zgodziła na jego propozycję...?

Tak, oczywiście, że byłoby źle... dlatego, że zrobiłaby to z niewłaściwych powodów. Być może po to, by uniknąć niepotrzebnych dyskusji lub po to, by odwdziżyć się jego rodzinie za gościnność, czy nawet po to, by wiążąc go ze sobą emocjonalnie, w sposób cyniczny zapewnić sobie jego stałą współpracę.

Oprzysiężenie Kobry dawało jej wystarczającą broń. Nie miała zamiaru włączyć do tego zestawu własnego ciała.

Miała nadzieję, że Daulo też to kiedyś zrozumie.

Daulo obudził ją niedługo po wschodzie słońca. Po umyciu się w ciasnej łazience wyszli z mieszkania na ulicę. Za dnia Azras wyglądało zupełnie inaczej niż w nocy.

Podobnie jak w miastach, które w czasie swojej wizyty na Qasamie widział stryj Joshua, w Azras dolne części budynków pomalowane zostały w dziwne wzory w kolorach puszczy. Malowidła te były tak sugestywne, że wydawały się tętnić życiem. Powyżej budynki lśniły bielą. Najwyraźniej starannie je konserwowano, co stanowiło dowód dumy obywateli lub poważnych zasobów finansowych miasta albo obu tych rzeczy naraz.

Jednak to ludzie przyciągali jej uwagę.

Szli tłumnie... w zasięgu wzroku było może około trzystu osób. Wszyscy szli w tym samym kierunku co ona i Daulo. Wszyscy zdążają na nabożeństwo? — pomyślała.

— Dokąd my właściwie idziemy? — zapytała cicho.

— Do jednej z miejskich sajad. Wszyscy, nawet goście, powinni chodzić w piątek na nabożeństwo.

Sajada. To słowo brzmiało znajomo, po chwili przypomniała sobie, skąd je zna. Podczas ich pierwszej przechadzki po osadzie Daulo pokazał jej sajadę w Milice. Wtedy jednak udawała Qasamankę i bała się zapytać, co to było za miejsce. Ale w takim razie dlaczego nigdy tam nie poszli...? A... oczywiście. Najprawdopodobniej ten rodzaj nabożeństwa odbywał się co tydzień, a swój jedyny piątek na Qasamie spędziła w łóżku, wracając do zdrowia po katastrofie.

To uświadomiło jej natychmiast kolejny problem. Nie miała zielonego pojęcia, dokąd szła ani jak ma się zachowywać, kiedy już będę na miejscu.

— Daulo, ja nic nie wiem o waszych obrzędach — mruknęła.

Zmarszczył brwi.

— Jak to? Nabożeństwo to nabożeństwo.

Istniało na to kilka odpowiedzi, wybrała tę, która, jak miała nadzieję, była najbezpieczniejsza.

— To prawda, ale przybierają one różną formę w zależności od miejsca.

— Myślałem, że dowiedziałaś się wszystkiego od członków wyprawy twojego ojca.

Jin poczuła, że pot występuje jej na czoło. Spacer wśród tłumu Qasaman nie był dobrą okazją do robienia tego rodzaju aluzji, nawet w najbardziej zakamuflowany sposób.

— Gospodarze nie pokazali im wszystkiego — stwierdziła głosem pełnym napięcia. — Czy mógłbyś mówić ciszej?

Rzucił jej krótkie, gniewne spojrzenie i zamilkł.

Nie — pomyślała ponuro. — On mi jeszcze nie darował poprzedniej nocy. Miała tylko nadzieję, że jego zranione ego się zagoi, zanim Daulo zrobi coś niebezpiecznego.

Kilka minut później dotarli do sajady, imponującego biało-złotego budynku, przypominającego ten, który widziała w Milice... i teraz kiedy się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że jest prawie identyczny jak budynki, które oglądała na taśmach nakręconych w czasie poprzedniej misji. Podobieństwo to w połączeniu z komentarzem Daula, że nabożeństwo to nabożeństwo, sugerowało występowanie jednej religii na całej Qasamie. Czyżby religia znajdowała się tutaj pod kontrolą państwa? A może religia rozprzestrzeniona niezależnie? Postanowiła poruszyć ten temat, kiedy tylko Daulo się uspokoi na tyle, by móc z nią normalnie rozmawiać.

— I cóż? — zapytał godzinę później, kiedy opuścili sajadę. — Co o tym myślisz?

— To było niepodobne do niczego, co kiedykolwiek przeżyłam — odpowiedziała szczerze. — To było... bardzo wzruszające.

— Czyli innymi słowy prymitywne?

W jego głosie dało się słyszeć wyzwanie.

— A skądże — zapewniła go. — Być może było to bardziej emocjonalne niż to, do czego przywykłam, ale nabożeństwo, które nie porusza uczuć, jest stratą czasu.

Wyglądało na to, że się nieco odprężył.

— Zgoda — skinął głową.

Jin zauważyła, że ludzi wracających z sajady było nieco mniej niż idących do niej. Zapytała o to Daula.

— Większość z nich została w sajadzie z heyatami — powiedział jej.

Heyatami?



Są to grupy przyjaciół i sąsiadów, którzy spotykają się na dalsze modły — wyjaśnił, rzucając przy tym Jin dziwne spojrzenie. — Czy nie ma podobnego zwyczaju na... tam, gdzie mieszkasz? — poprawił się, spoglądając niepewnie na pieszych, mogących słyszeć jego słowa.

— W każdym razie nie nazywamy ich heyatami — odpowiedziała, zastanawiając się nad tym.

Było jasne, że Qasamanie traktowali obrzędy religijne bardzo poważnie. Jeśli miała pozyskać Daula jako mniej lub bardziej oddanego sprzymierzeńca, musiała znaleźć odpowiedź, która podkreślałaby podobieństwa między aventińskim i qasamańskim obrzędkiem religijnym i jednocześnie minimalizowała różnice.

— Ale powiedziałeś przedtem, nabożeństwo to nabożeństwo — dokończyła. — Inny jest tylko sposób, w jaki się je odprawia, intencje są te same.

— Rozumiem to. Próbuje właśnie poznać ten sposób.

— Ale sposób tak naprawdę się nie liczy... — Urwała, bo coś nagle odwróciło jej uwagę. — Daulo, jak bardzo widoczne jest to, że nie pochodzimy z miasta?

Przeszli jeszcze trzy kroki, zanim odpowiedział.

— Chodzi ci o tych ghallów przed nami?

— Nie znam tego słowa — mruknęła — ale jeśli masz na myśli tych nastolatków opierających się o ścianę, to tak, chodzi mi o nich. Czy mogą poznać po naszym ubiorze, że pochodzimy z osady?

— Prawdopodobnie — powiedział spokojnie Daulo. — Ale nie przejmuj się. Nie zaczepią nas. — Zawahał się. — A nawet jeśli, pozwól mi się tym zająć. Rozumiesz?

— Pewnie — mruknęła Jin.

Jej serce zaczęło bić coraz szybciej. Krostowaci młodzieńcy — naliczyła ich siedmiu — wyraźnie przyglądali się jej i Daulowi.

I wyraźnie odsunęli się od ściany, by zablokować im drogę.

## Rozdział 5

Kropelka potu spłynęła po plecach Jin. Przejdźmy na drugą stronę — chciała powiedzieć, ale dobrze wiedziała, jaka byłaby reakcja Daula. Równie dobrze Jin mogłaby zaproponować, aby uciekli i schronili się w sajadzie.

Żaden z młodzieńców blokujących chodnik nie wyglądał na uzbrojonego. To już było coś.

— Ale jeśli będziesz musiał walczyć — mruknęła — trzymaj się od nich jak najdalej. Rozumiesz?

Daulo zerknął na nią, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, jeden z młodzieńców wyzywająco wystąpił krok do przodu.

— Witaj, hodowco baelkry — powiedział swobodnie, kiedy Jin i Daulo się zatrzymali. — Twoja sajada spaliła się zeszłej nocy, czy co?

— Nie — odparł Daulo lodowatym tonem. — Ale jeśli rozmawiamy o sajadzie, nie jesteście odpowiednio ubrani, by ją odwiedzić.

— Może byliśmy tam wcześniej — mruknął inny młodzieniec z cwany uśmiechem. — Może ty i twoja kobieta byliście wtedy zbyt zajęci farpesowaniem, co?

Jeszcze jedno słowo, którego nie zawierały taśmy z tłumaczeniami dostarczone przez Troftów. Daulo drgnął jak użądłony.

— A któż znałby się lepiej na farpesowaniu niż tacy ghallowie jak wy? — warknął.

Najwyraźniej słyszała obelgę za obelgą, ale żaden ze zbirów nie wydawał się szczególnie poruszony. Wyglądało na to, że byli niemal zadowoleni z reakcji Daula, jakby celowo starali się go rozżłościć.

Może taki mieli właśnie zamiar. Siedmiu na jednego — przy takim układzie bójka nie byłaby dla nich niczym więcej niż zabawą. Niewykluczone, że zabawą z nagrodami, bowiem strój Daula ujawniał też jego pozycję społeczną i finansową. Może nie byłaby nawet konieczna jawna grabież... Może qasamańskie prawo było tak sformułowane, że gdyby sprowokowali Daula, by pierwszy zadał cios, mogliby potem dochodzić odszkodowań. To by tłumaczyło, dlaczego młodzieńcy

nie próbowali ich nawet otoczyć. Będą potem twierdzić, że Daulo nie był zagrożony.

A może istniało coś, co Jin mogła zrobić, by pokrzyżować im szyki.

— ...powinieneś wynieść się już do tej swojej zapadłej osady i zająć się swoimi małymi farpesującymi kobietami, co?

Jin czuła, że stojący obok niej Daulo drży. Cokolwiek znaczyły te rzucane w niezrozumiałym slangu inwektywy, Daulo balansował na krawędzi utraty panowania nad sobą.

Zacisnąwszy zęby, Jin wzięła głęboki oddech. Nadszedł czas...

— W porządku — warknęła, robiąc nagle krok do przodu. — Wystarczy. Zejdźcie nam z drogi.

Szczęki zbirów opadły z zaskoczenia, tak bardzo zbiła ich z tropu. Bić się w siedmiu z jednym mężczyzną to coś zupełnie innego, niż bić się w siedmiu z kobietą. Nawet rozliczenie pieniężne nie wyrównałoby szkód, jakie wyrządziłaby ich reputacji ewentualna przegrana.

— Zamknij się, kobieto — parsknął pierwszy młodzieniec, na jego twarzy pojawiła się niepewność. — Chyba że twój przyjaciel o twarzy facha woli chować się za...

— Powiedziałam, zejdźcie nam z drogi! — wrzasnęła.

Uniosła ramiona i ruszyła do przodu.

Manewr ten zaskoczył przeciwnika całkowicie. Jin uderzyła go ramieniem w żebra, nim zdążył unieść ręce, by ją powstrzymać.

Nie zrobiła mu krzywdy, oczywiście... Nawet bez demonstrowania siły Kobry ryzykowała wystarczająco wiele. Liczyła, że urazi jego dumę. Mrucząc coś niezrozumiałego, złapał ją za ramiona i pchnął w ręce dwóch towarzyszy... w tym momencie pieść Daula wylądowała na jego twarzy.

Cios zachwiały wyrostkiem. Daulo poprawił w splot słoneczny uderzeniem, po którym tamten upadł.

— Zostaw go! — krzyknęła Jin, kiedy dwaj trzymający ją za ramiona rabusie odsunęli się z drogi, robiąc miejsce pozostałym czterem, którzy ruszyli poniezwczasie, by okrążyć Daula. Dłonie na jej ramionach zacisnęły się mocniej. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, Jin dosięgnęła przytrzymujących ją zbirów i przyciskając ich mocno do siebie, unieruchomiła na miejscu.

Jeden załatwiony, dwóch wyłączonych z walki — pomyślała. Daulo i jego przeciwnicy przykucnęli, tak jakby każdy z nich z tej samej pozycji szykował się do walki. Pozostali wciąż krążyli wokół niego, niepewni, czy zaczynać z człowiekiem, który właśnie pokonał ich przywódcę.

I wtedy, prawie jednocześnie ruszyli do przodu.

Daulo znał się na tyle na bójce ulicznej, by nie pozwolić wszystkim czterem dosięgnąć go w tym samym czasie. Zrobił długi krok w lewo, posyłając jednocześnie potężny sierpowy w kierunku młodzieńca, który stał po tamtej stronie. W ten sposób chciał zmusić go do cofnięcia się.

Daulo wydawał się równie zaskoczony jak inni, kiedy cios okazał się celny. Zaskoczenie było tym większe, że młodzieniec upadł i już nie wstał.

Drugi ze zbirów zbliżył się, żeby dać Daulowi kopniaka. Daulo odskoczył, ale nie było to potrzebne. Kopniak chybił o co najmniej dwadzieścia centymetrów. Daulo przysunął się, by zadać kontrę, ale młodzieniec stracił równowagę i runął na chodnik.

Pozostali dwaj mieli dosyć. Cofając się, spojrzeli na siebie i na dwóch towarzyszy unieruchomionych w uścisku Jin, po czym odwrócili się i biegiem ruszyli ulicą.

Daulo obrócił się w stronę Jin i jej strażników.

— I cóż? — zapytał.

Jin zrozumiała, o co mu chodzi. Rozluźniła chwyt, pozostając w pogotowiu na wypadek, gdyby napastnicy spróbowali na koniec zrobić coś głupiego.

Nie spróbowali. Przemknęli bokiem obok Daula i uciekli.

Daulo patrzył za nimi. Potem, odwróciwszy się do Jin, obejrzał ją od góry do dołu.

— Wszystko w porządku? — zapytał w końcu. Skinęła głową.

— Aż tobą?

Miał dziwny wyraz twarzy.

— Hm. Powinniśmy się stąd zabrać, zanim zaczną padać niewygodne pytania.

Jin rozejrzała się. Nikt się do nich nie zbliżał, ale kilku przechodniów przyglądało się im z zaciekawieniem.

— Masz rację.

Przeszli jeszcze jedną przecznicę, zanim Daulo zadał w końcu to pytanie.

— Co im zrobiłaś? — zapytał.

Wzdrygnęła się nieprzyjemnie. Poruszył drażliwy temat...

— Cóż, po pierwsze, unieruchomiłam tych dwóch, którzy trzymali mnie za ręce. A inni... Trafiłam każdego w głowę skupioną wiązką ultradźwięków, zanim zdążyłeś ich uderzyć.

— To pewnie dlatego chciałaś, żebym trzymał się z daleka. Czy to właśnie ultradźwięki ich powaliły?

— Nie, nie chciałam ich mocno trafić. Potrząsnęłam tylko każdym z nich na tyle, by stracił równowagę.

Szła tuż obok Daula i czuła, że cały drży. Oj — pomyślała w napięciu. — Za dużo do zniesienia dla qasamańskiego ego?

— Daulo, wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście — powiedział wyraźnie drżącym głosem. Zastanawiałem się tylko, co powiedzą ich koledzy, kiedy się o tym dowiedzą. Siedmiu, pokonanych przez osadnika i kobietę.

Zmarszczyła brwi... i wtedy zrozumiała, że to drżenie, które czuła, nie było spowodowane wściekłością czy wstydem.

Daulo usiłował powstrzymać śmiech.

Jin milczała, a Daulo przez resztę drogi do ich tymczasowego mieszkania mógł zastanawiać się w spokoju, dlaczego ta cała sprawa wydawała mu się taka śmieszna.

Choć wcale nie powinna, tego był w pełni świadom. Został pokonany przez kobietę, powinien czerwieńić się ze wstydu, a nie trząść ze śmiechu. Nieważne, że była diabelskim wojownikiem i że alternatywnym rozwiązaniem było dać się zbić na kwaśne jabłko.

Nie — powiedział sobie twardo. — Nie tak trzeba o tym myśleć. Lepiej uważać, że to dwóch osadników dołożyło bandzie przyszczatych miejskich ghallów. Lub raczej jeden osadnik i jeden adoptowany osadnik.

Ta myśl go zaskoczyła. Adoptowany osadnik. Czyżby naprawdę zaczynał myśleć o Jin Moreau w tak przyjaznych kategoriach? Nie, to niemożliwe — zapewnił sam siebie. Była tymczasowym sprzymierzeńcem, i tylko ze względów honorowych znajdowała się pod jego ochroną. Za kilka dni przybędą jej wybawcy, odleci na swoją planetę i nigdy więcej jej nie zobaczy.

Zastanowił się, dlaczego ta myśl spowodowała, że przestał się w końcu śmiać.

— Czy dopełniliśmy już na dziś wszystkich formalności? — zapytała Jin, kiedy dotarli do mieszkania. — Chciałabym się przebrać.

— To wszystko, przynajmniej do zachodu słońca — odparł Daulo, wystukując szyfr i otwierając drzwi. — Drugie nabożeństwo jest dobrowolne.

— To dobrze. Nieumiejętność zaprojektowania oficjalnego stroju, równie wygodnego jak ubrania noszone na co dzień, to chyba jedna z podstawowych ludzkich słabości... co to za światełko?

— Wiadomość telefoniczna — wyjaśnił Daulo, marszcząc brwi.

Kto mógł wiedzieć, że tu są? Podszedł do aparatu i nacisnął guzik.

Telefon zapiszczał, a ze specjalnego otworu wysunął się cienki pasek papieru.

— Co to za wiadomość? — zapytała Jin.

— Od burmistrza Capparisa — powiedział Daulo, przeglądając ją szybko. — Mówi, że Mangus zwraca się z prośbą o zebranie brygady roboczej w niedzielę rano, w centrum miasta.

— Na jakiej zasadzie wybierają robotników?

Daulo przejrzał ponownie pasek papieru.

— Wygląda na to, że według potrzeb. Najpierw bezrobotni i biedni, na podstawie danych miejskich...

— Zaraz — przerwała. — Czy nie będą nawet próbowali skontaktować się z robotnikami, których zatrudniali już wcześniej? Z tymi, których już przeszkolili?

— Może już to zrobili.

— No tak.

— Burmistrz Capparis radzi, żebyśmy na targowisku kupili ubranie, jakie noszą ludzie w mieście, na straganach drugiej kategorii.

Jin skinęła głową.

— Dobra myśl. A co z tymi danymi miejskimi? Jak je sfałszujemy?

Daulo wzruszył ramionami.

Burmistrz Capparis już się tym chyba zajął.

— Hm. — Jin podeszła do niego. — Czy mogę zobaczyć tę wiadomość?

Podał jej papier. Przyglądała mu się dłużej, niż się to wydawało konieczne.

— Masz kłopoty z odczytaniem? — zapytał w końcu.

— Nie — odrzekła wolno. — Zastanawiałam się tylko... Jest zaadresowana do ciebie. Na twoje nazwisko.

— To oczywiste. Co z tego?

— Czy nie wydaje ci się dziwne, że ci opryszkowie czekali akurat pomiędzy sajadą a tym domem?

Zmarszczył brwi.

— Nie widzę związku. To ty powiedziałaś, że jesteśmy ubrani jak osadnicy. Oni chcieli się po prostu zabawić.

— Być może. — Swoim irytującym zwyczajem przygryzła wargę. — Ale załóżmy na chwilę, że chodziło o coś więcej. Załóżmy, że ktoś, kto nie chce, by osadnicy weszli wewnątrz Mangus, dowiedział się, że spróbujemy dostać się do jednej z brygad roboczych.

— To niedorzeczne — parsknął Daulo. — Skąd mieliby się dowiedzieć... — przerwał, spoglądając na wiadomość, którą wciąż trzymała w ręku. — Burmistrz Capparis by im nie powiedział — stwierdził dobitnie.

— Nie sugeruję, że to zrobił. — Jin potrząsnęła głową. — Ale ta wiadomość przyszła prawdopodobnie z jego biura. Czy ktoś nie mógł się o niej dowiedzieć, zanim została wysłana, albo później?

Daulo zacisnął zęby. Niestety, nie było to wcale niedorzeczne. Jeśli któryś z wrogów burmistrza zorientował się w ich planach, wsadzenie ich do szpitala było najprostszym sposobem na pokrzyżowanie szyków.

— Myślę, że to możliwe — przyznał. — Ale jeśli chcesz, żebyśmy uciekli, to wybij sobie to z głowy.

— Nie musimy uciekać — powiedziała. — Wystarczy, że się przeniesiemy. Znajdziemy inne miejsce, gdzie nikt, łącznie z burmistrzem Capparisem, nas nie znajdzie.

— I tak musimy pojawić się w centrum — przypomniał.

— Tak. Ale na to niewiele możemy poradzić.

— To po co się teraz ukrywać? — zaoponował. — Daje nam to najwyżej kilka dni.

— Kilka dni może znaczyć bardzo wiele. Miedzy innymi więcej czasu na przygotowanie.

Miała rację, i w głębi duszy wiedział o tym. Ale jego honor ponownie wziął górę nad zdrowym rozsądkiem.

— Nie — potrzęsnał głową. — Nie będę uciekał. Muszę mieć bardziej wiarygodne dowody na to, że jest to konieczne.

Wzięła głęboki oddech. Daulo znów zamierzał się kłócić.

— W takim razie zrywam umowę — oświadczyła twardo.

Zamrugnął powiekami z zaskoczenia.

— Co?

— Powiedziałam, że zrywam umowę. Możesz równie dobrze już teraz ruszyć do Miliki, bo ja jadę do Mangus sama.

— To niedorzeczne. Nie pozwolę zrobić ci czegoś tak... tak... — Ze złością zdał sobie sprawę, że przestaje nad sobą panować. — Poza tym, czym się właściwie mamy martwić? Przy twoich umiejętnościach...

— Moje umiejętności mogą chronić mnie — przerwała mu. — Nie innych ludzi, tylko mnie. I jeśli nie chcesz ze mną współdziałać, nie mogę ryzykować, że coś ci się stanie.

— Dlaczego? — zapytał. — Dlatego, że mój ojciec wezwałby Shahnich?

— Dlatego, że jesteś moim przyjacielem — powiedziała cicho.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, czując, że jego argumenty topnieją i rozplývają się.

— W porządku — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. — Zaproponuję ci kompromis. Jeśli udowodnisz, że zagraża nam bezpośrednie niebezpieczeństwo, zgodzę się na wszystko.

Zawahła się, po czym skinęła głową.

W porządku. A więc... zastanówmy się. Najlepiej byłoby, żebyś zadzwonił do biura burmistrza Capparisa i zostawił mu wiadomość, że się gdzieś przenosimy. Tak naprawdę nigdzie nie będziemy jechać — pospieszyła z wyjaśnieniem — ale jeśli jest tam informator, to przekaże tę wiadomość swoim zbirom. Potem znajdziemy jakieś miejsce na uboczu i zobaczymy, co się będzie działo. Jeśli cokolwiek się wydarzy...

Zacisnął zęby, próbując bezskutecznie znaleźć powód, żeby się nie zgodzić. Potem w milczeniu podszedł do telefonu.



Nie zastał oczywiście burmistrza Capparisa, który prawdopodobnie wciąż siedział z kimś z heyatów w swojej sajadzie. Daulo zostawił wiadomość, odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Jin.

— W porządku. Co teraz?

— Teraz załadujemy wszystko na samochód i odjedziemy, jakbyśmy się stąd wyprowadzali — powiedziała. — I tak musimy kupić jakieś odpowiednie ubrania. Najpierw jednak poszukamy niedaleko stąd jakiegoś miejsca, które mogłoby służyć za kryjówkę.

— To łatwe — mruknął Daulo, podchodząc do rozłożonych ubrań, które wypakował zeszłej nocy. — Poszukamy po prostu mieszkania bez ochraniacza.

— Ochraniacza?

— Tak — odpowiedział. — Tradycyjnego rzeźbionego medalionu, który każda rodzina umieszcza przy drzwiach dla ochrony przeciwko urokom. Nie zauważyłaś ich w Milice?

Z niewielką satysfakcją zauważył, że poczerwieniała ze wstydu.

— Nie, obawiam się, że zupełnie je przeoczyłam — przyznała. — No cóż... w porządku. To ułatwi poszukiwania.

— I co zrobimy, jak już znajdziemy opuszczone mieszkanie?

Uśmiechnęła się krzywo.

— Przy pewnej dozie szczęścia zostanie napadnięte dziś w nocy.

Jin zniknęła za drzwiami w sypialni.

Nie... — stwierdził w duchu Daulo — ...nie chcesz wiedzieć. Przełknąwszy ślinę, pakował się dalej.

## Rozdział 6

— Naprawdę chcesz w tym wyjść na ulicę? — zapytał Daulo.

Stojąc przed największym lustrem, jakie znajdowało się w mieszkaniu, Jin po raz ostatni przyjrzała się sobie, ubranej w szary, nocny kombinezon, po czym odwróciła się w stronę Daula. Siedział na kanapie, palcami kreślił niespokojnie wzory na stoliku stojącym obok niego, i wpatrywał się w nią z ledwo ukrywanym niesmakiem.

— Jeśli razi cię mój strój — powiedziała spokojnie — radzę ci się do niego przyzwyczaić. Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że w Mangus będą najmować do brygady roboczej głównie mężczyzn, więc jeśli mam się tam dostać, muszę być przebrana za mężczyznę.

Mruknął coś pod nosem.

— To wszystko jest niedorzeczne. Nawet jeśli ktoś próbował się do nas dostać, to na jakiej podstawie sądzisz, że nabrał się na tę twoją małą sztuczkę? Załóżmy na początek, że nikt nie zauważył, że to nasz samochód stoi zaparkowany przed tamtym mieszkaniem.

— Mówiłam ci, że jeden z tych zbirów nas obserwował, kiedy odjeżdżaliśmy dziś rano — przypomniała mu, zdejmując z oparcia krzesła maskę i wkładając ją. — Musimy im to trochę utrudnić, Daulo... ludzie patrzą podejrzliwie, kiedy zbyt wiele im się ułatwia, podając wszystko na tacy.

— Będziesz miała za swoje, jeśli okażą się zbyt głupi, by wyczuć te twoje subtelności. Ty będziesz obserwować puste mieszkanie, oni włamią się tutaj.

— Dlatego weźmiesz to — oświadczyła. Wyjęła zza pasa mały przedmiot o cylindrycznym kształcie i podała go Daulowi. — To nadajnik krótkiego zasięgu... jeśli będziesz miał kłopoty, podnieś klapkę i naciśnij guzik. Będę tylko o dwie przecznice stąd, mogę się tu znaleźć, zanim skończycie się nawzajem obrażać.

Westchnął i wziął urządzenie.

— Mam nadzieję, że to wszystko jest tylko wytworem twojej rozgorączkowanej wyobraźni.

— Ja też mam taką nadzieję — przyznała, podnosząc przygotowany plecak i wkładając go na ramiona. — Ale jeśli nie, to dzisiejsza noc jest dla naszych przeciwników idealnym momentem, by uderzyć.

— Chyba tak. Cóż, przynajmniej do rana będziemy mieli pewność.

Prawdopodobnie o wiele prędzej — pomyślała Jin.

— W porządku. Idę. Zatrzaśnij za mną drzwi, i nie bój się zasygnalizować, jeśli usłyszysz coś podejrzanego. Obiecujesz?

Udało mu się uśmiechnąć.

— Pewnie. Uważaj na siebie, Jin Moreau.

— Dobrze. — Włączając wzmacniacze wzroku, uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Nikogo nie dostrzegła. Wsunąwszy się po cichu, zamknęła je za sobą i ruszyła w dół ulicy.

Zaledwie godzinę spędziła w swojej kryjówce w połowie klatki schodowej biegnącej na zewnątrz budynku, kiedy nadeszli. Ci sami — siedmiu zbirów, którzy zaczepili ją i Daula na ulicy tego ranka. Szybko zorientowała się, że nie byli amatorami. Poruszali się cicho po opuszczonej ulicy, kryli się w ciemności. Podeszli z obu stron do pustego mieszkania. Dwóch zatrzymało się przy samochodzie, prawdopodobnie sprawdzając, czy ktoś ich stamtąd nie obserwuje, po czym dołączyło do reszty przy drzwiach wejściowych. Jeden pochylił się nad zamkiem i po kilku sekundach otworzył drzwi. Cała grupa weszła szybkim krokiem do mieszkania.

Prawdopodobnie nie zdążyli się jeszcze zorientować, że mieszkanie jest puste, kiedy Jin ich dogoniła. Żaden nie miał nawet szans krzyknąć, fale ultradźwięków uderzyły ich z bliska, pozbawiając natychmiast przytomności. Padli na ziemię jak kłody i leżeli bez ruchu.

Jin omal do nich nie dołączyła. Przez długą chwilę staniała się, oparta o ścianę, trzymając się za brzuch próbowała łapać równowagę. Layn ostrzegwał ich, jak niebezpieczne może być używanie broni sonicznej w małych pomieszczeniach, ale nie było innego sposobu na ciche unieszkodliwienie zbirów, jeśli nie chciała ich zabić. Pomijając kwestie etyczne, Shahni wiedzieli już, że na Qasamie był ktoś z innej planety, toteż gdyby zostawiła pocięte laserami trupy, zrobiłaby równie mądrze, jakby w sajadzie wstała i ogłosiła, że jest diabelskim wojownikiem.

Pulsowanie w głowie i skurcz żołądka w końcu ustąpiły. Jin zabrała się za związywanie niedoszłych napastników sznurem wydobytym z plecaka. Kiedy skończyła, podeszła do drzwi i wyjrzała na ulicę. Nadal nie było nikogo w zasię-

gu wzroku. Podziękowała w duchu za to, że nocne życie w Azras kończyło się tak wcześnie. Przy odrobinie szczęścia mogłaby zdążyć wrócić do mieszkania i przespać się chociaż kilka godzin.

Myśl o mieszkaniu przypomniała jej o Daulu; o Daulu, który wciąż nie wierzył, że ktoś atakuje ich celowo. Wyciągnęła z pasa sygnalizator, otworzyła nakrywkę... i zawahała się. Oczywiście, mogła przedstawić mu dowody na to, że ci sami opryszkowie zaatakowali po raz kolejny. Ale on, kierowany qasamańskim poczuciem honoru, pomyśli pewnie, że był to zwykły odwet za poprzednią porażkę. Musiała więc wyciągnąć od któregoś z napastników informację, kto zlecił im tę robotę.

Nie było sensu ściągać Daula, dopóki nie uzyska wiarygodnego zeznania. Odłożyła sygnalizator i wróciła do nieprzytomnych młodzieńców. Założyła, że przywódca bandy to ten, który rano rzucił pierwsze wyzwanie... odnalazła go, wzięła na ramiona i zaniósła na drugą stronę ulicy do samochodu.

Byłoby dobrze mieć teraz zapas tych wyszukanych środków farmaceutycznych używanych przy przesłuchaniach w filmach na telwidzie — pomyślała Jin. — Będę jednak musiała posłużyć się bardziej tradycyjnymi metodami. A do tego potrzeba trochę więcej prywatności.

Pukanie do drzwi wyrwało Daula ze snu. Przez sekundę patrzył zdezorientowany na ciemny sufit. Po chwili doszedł do siebie.

— Idę — mruknął, wstając sztywno z krzesła, na którym zasnął.

Jasmine Moreau wraca ze swojej małej zabawy w chowanego... ta głupia kobieta zapomniała szyfru. Jeśli tacy ludzie zostają Kobrami... — pomyślał kwaśno, wygładzając tunikę i podchodząc do drzwi — to nie mamy czym się przejmować.

Pukanie rozległo się po raz trzeci.

— Idę — burknął i otworzył drzwi na oścież.

Stali tam trzech mężczyźni o ponurych, niemal identycznych twarzach. Jeden w średnim wieku, pozostali dwaj o wiele młodszy, ubrani bardzo podobnie według miejskiej mody.

— Czy ty jesteś Daulo Sammon z osady Milika? — zapytał ten w średnim wieku.

— Tak, to ja — powiedział z ociąganiem. — A wy... kim jesteście?

— Czy możemy wejść?

Tak naprawdę nie było to pytanie. Daulo odsunął się i mężczyźni weszli kolejno do pokoju. Ostatni pstryknął kontakt, zapalając światło.

— Kim jesteście...? — zapytał ponownie Daulo mrużąc oczy.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a kiedy wzrok Daula przystosował się do ostrego światła, ujrzał mężczyznę, który wysuwał przed siebie obwieszony złotem brelok wiszący na szyi.

— Jestem Moffren Omnathi reprezentujący Shahnich Qasamy.

Daulo poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

— Jestem zaszczycony — wydusił z siebie, czyniąc znak szacunku. — Czym mogę wam służyć?

Omnathi rozejrzał się po pokoju.

— Twój ojciec, Kruin Sammon, wysłał wczoraj przez burmistrza Capparisa z miasta Azras wiadomość dla Shahnich. Czy znana jest ci treść tej wiadomości?

— Ach, tak... mniej więcej — odparł Daulo, żałując, że nie wie, co ojciec naprawdę przekazał temu człowiekowi, jeśli w ogóle cokolwiek powiedział. — Przekazał mi, iż poinformuje Shahnich o tym, że rodzina Yithtrów odkryła przedmiot z innej planety.

— W rzeczy samej. — Omnathi od niechcenia skinął głową. — Czy członkowie rodziny Yithtrów często znajdują takie przedmioty?

Daulo zmarszczył brwi.

— Nie, oczywiście, że nie.

— A więc to niezwykle wydarzenie?

— Z całą pewnością.

— Wydarzenie, które większość ludzi uznałaby za interesujące i warte obejrzenia?

Daulo starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Wreszcie zorientował się, co knuje Omnathi.

— Przypuszczam, że większość ludzi tak by zrobiła.

— Jednak ty zdecydowałeś się przyjechać zamiast tego do Azras. Dlaczego?

Po plecach Daula spłynęła kropelka potu.

— Miałem tu do wykonania pewne zadanie.

— Coś, co nie mogło poczekać kilka dni?

Jeden z towarzyszy Omnathiego wyszedł z sypialni i podszedł do starszego mężczyzny.

— Tak? — zapytał Omnathi, nie spuszczać z Daula wzroku.

— Nic oprócz jego ubrań — powiedział tamten. — Z pewnością nic, co mogłoby wskazywać na obecność kobiety.

Omnathi skinął głową, Daulo zauważył w jego oczach błysk irytacji.

— Dziękuję — powiedział Omnathi do swego pomocnika. — Rozumiesz teraz, Daulo Sammon, że wiemy, iż nie przyjechałeś do Azras sam. Gdzie jest kobieta, którą tu przywiozłeś?

Dwie przecznice stąd — przemknęło Daulowi przez głowę, a jego żołądek skurczył się na samą myśl o tym, że mogła tu w każdej chwili wejść.

— Nie wiem, gdzie ona jest...

— Dlaczego? — warknął starszy mężczyzna. — Według burmistrza Capparisa twój ojciec poprosił go o załatwienie tobie i komuś jeszcze przyjęcia do jednej z brygad roboczych. Czy to ta kobieta miała być twoim towarzyszem?

— Skądże — powiedział Daulo, udając, że go to rozbawiło, ale jednocześnie poczuł się urażony. — Zamierzałem poprosić brata, by pojechał ze mną do Mangus, ale zmieniłem zdanie, kiedy wyszła ta sprawa z rodziną Yithtra.

Przyglądał się Omnathiemu, wstrzymując oddech, ale wzmianka o Mangus nie wywołała żadnej widocznej reakcji.

— Nie powiedziałeś burmistrzowi Capparisowi o zmianie planów. Byliśmy nieco zdziwieni, że cię tu zastaliśmy, skoro przekazałeś mu, że się wyprowadzasz.

Daulo wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że Mangus mogło założyć podsłuch w biurze burmistrza Capparisa — powiedział, posługując się argumentem Jin, bo nic lepszego nie wpadło mu do głowy. — Pomyślałem też, że jeśli będą śledzić dwoje ludzi zamiast jednego, będę miał większą szansę dotrzeć do celu.

Omnathi zmarszczył czoło.

— To brzmi tak, jakbyś zamierzał atakować uzbrojony obóz. Czego szukasz w Mangus?

Daulo zawahał się.

— Myślę, że to miejsce nie jest tym, na co wygląda — stwierdził.

Omnathi zerknął na jednego ze swych pomocników.

— Tarri?

— Mangus jest prywatnym ośrodkiem produkcyjnym. Znajduje się o pięćdziesiąt kilometrów na wschód od nas — powiedział tamten bez ociągania.

— Wysokiej jakości elektronika, zarówno badania, jak i produkcja. Prowadzony przez rodzinę Obolo Nardina. O ile pamiętam, ostatnia pełna kontrola przeprowadzona przez Shahnich miała miejsce przed dwoma laty. Nie stwierdzono żadnych śladów jakiegokolwiek nietypowej działalności.

Omnathi skinął głową i zwrócił się do Daula.

— Czy masz dowody na to, by podważyć ostatnie zdanie Taniego?

Daulo zebrał się w sobie.

— Odmawiają wpuszczania osadników — powiedział sztywno. — Dla mnie jest to wystarczający powód do podejrzeń.

Omnathiemu drgnęła warga.

— Jakkolwiek może trudno ci to zrozumieć, ale uprzedzenia rodzące się w miastach są często tak samo niedorzeczne jak te, które powstają w osadach — mruknął. — W każdym razie zachowaj lepiej swoją dumę dla ważniejszych spraw... na przykład bezpieczeństwa i obrony swojego świata. Powiedz nam, co wiesz o tej kobiecie.

— Powiedziała, że nazywa się Jasmine Alventin — odparł Daulo, znowu żałując, że nie wie, czego dowiedzieli się od jego ojca. — Znaleźliśmy ją ranną na drodze i przywieźliśmy do naszego domu.

— I...

— Powiedziała, że pochodzi z Sollas i że miała wypadek. To wszystko.

— Nie uznaliście za stosowne dowiedzieć się dalszych szczegółów? — zapytał Omnathi. — Ani nawet sprawdzić, czy jej opowieści są prawdziwe?

— Oczywiście, że tak — powiedział Daulo, usiłując wyglądać na obrażonego. — Wysłaliśmy ludzi, żeby przeszukali drogi i znaleźli jej towarzyszy i samochód.

— Z jakim skutkiem?

— Negatywnym. — Daulo zerknął na pozostałych dwóch mężczyzn, po czym spojrzął na Omnathiego. — A o co chodzi? Czy ona jest jakimś zbiegłym przestępcą, kimś poszukiwanym?

— Jest najeźdźcą z innej planety — powiedział twardo Omnathi.

Daulo spodziewał się, że tamten zignoruje pytanie, więc niespodziewana odpowiedź zaskoczyła go niemal tak bardzo, jak gdyby słyszał to po raz pierwszy.

— Kim? — sapnął. — Ale... to niemożliwe.

— Dlaczego? — warknął Omnathi. — Sam powiedziałeś, że rodzina Yithtrów znalazła przedmiot pochodzący z innej planety. Nie przyszło ci do głowy, że musi gdzieś być ktoś, do kogo ten przedmiot należy?

— Tak, ale... — plątał się Daulo, desperacko zastanawiając się, co powiedzieć. Przyszły mu na myśl słowa, które Jin wypowiedziała tuż przed wyjściem: "Musisz im to trochę utrudnić, Daulo... ludzie patrzą podejrzliwie, kiedy zbyt wiele im się ułatwia, podając wszystko na tacy".

— Przecież to Jasmine Alventin poinformowała nas, że ten przedmiot pochodzi z innej planety — rzekł. — Po co miałyby to robić, gdyby należał do niej?

Omnathi zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli? Co wam powiedziała?

— Kiedy się dowiedziałem, że przywieźli do Miliki jakiś nietypowy ładunek, pojechałem, by to sprawdzić — wyjaśniał Daulo, starając się panować nad sobą. — Jasmine Alventin była wtedy ze mną. Śledziliśmy ciężarówkę, a kiedy zwolniła, Jasmine wysiadła nagle z samochodu, wskoczyła na tył ciężarówki i odkryła, co znajduje się w środku.

Omnathi był wyraźnie zaskoczony.

— Twój ojciec o tym nie wspominał — powiedział. Daulo głęboko odetchnął.

— Bo tak naprawdę... wydaje mi się, że powiedziałem mu, że to ja zajrzałem do ciężarówki.

Omnathi przyglądał mu się bez mrugnięcia okiem.

— Wydaje ci się, że mu powiedziałeś?

Daulo nerwowo oblizał wargi.

— Chyba chciałem... zapisać to odkrycie na swoje konto.

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza. Omnathi i pozostali przyglądali mu się z pogardą.

— Powiedziałeś nam, że nie wiesz, gdzie jest ta kobieta — mruknął w końcu Omnathi. — Dlaczego tego nie wiesz?



— Dlatego, że opuściła mnie tuż przed zachodem słońca — oświadczył Daulo. — Stwierdziła, że spieszy się do domu, pytała też, gdzie można złapać autobus jadący na północ. Zawiozłem ją do strefy oczekiwania w centrum miasta i tam zostawiłem.

— Czyżby... — Omnathi wolnym ruchem przejechał czubkiem języka po górnej wardze, wpatrując się twardo w Daula. — Powiedz mi — odezwał się nagle — czy widziałeś, jak wsiadała do autobusu?

— Hmm... — rozważał Daulo. — Nie. Tak naprawdę, to nie. Ale kiedy odjeżdżałem, szła w kierunku autobusu jadącego do Sollas.

Jeden z pozostałych mężczyzn chrząknął.

— Czy mam kazać zatrzymać autobus? — zapytał.

— Nie — powiedział wolno Omnathi. — Myślę, że to byłaby strata czasu. Nie pojechała tym autobusem. Ani żadnym innym.

Daulo zamrugał powiekami.

— Nie rozumiem...

— Powiedz mi, Daulo Sammon — przerwał mu Omnathi. — Gdzie jest twój samochód?

— Hmm... przed domem, na parkingu.

Omnathi pokręcił głową.

— Nie. Nie ma go nigdzie w obrębie sześciu ulic. Szukaliśmy go.

Daulo zamarł z przerażenia. Zostawili samochód zaparkowany w widocznym miejscu zaledwie dwie przecznice stąd...

— To niemożliwe — jęknął. — Zostawiłem go tuż przed...

— Czy masz kluczyki?

Nie miał, dał je Jin na wypadek, gdyby potrzebowała samochodu podczas swej eskapady.

— Oczywiście — powiedział. — Leżą tam, na stole.

Jeden z mężczyzn podszedł do stołu.

— Nie, nie ma ich tu — stwierdził, przeglądając stertę osobistych drobiazgów Daula.

— Znajdź je — rozkazał Omnathi. — Czy od jej wyjścia opuszczałeś mieszkanie, Daulo Sammon?

— Nie. — Daulo przyglądał się dwóm mężczyznom, którzy zaczęli przeszukiwać pokój. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Mógł powiedzieć, że Jin ukradła mu samochód, ale nie uwierzą w to, dopóki nie wymyśli jakichś wiarygodnych okoliczności tej kradzieży. — Spałem, kiedy przyszliście... — zaczął niepewnie.

— Co to? — przerwał mu jeden z przeszukujących, trzymając w ręku mały czarny przedmiot.

Był to sygnalizator, który dała mu Jin.

— Ja... nie wiem — rzucił przez zaciśnięte usta. — To nie moje.

— Ostrożnie z tym — powiedział ostro Omnathi, podszedł do swego pomocnika i odebrał mu sygnalizator. Oglądał go przez chwilę, po czym powoli podniósł kłapkę.

"Jeśli będziesz miał kłopoty, naciśnij guzik, a zjawię się" — powiedziała Jin...

Ale Omnathi nie zamierzał tego zrobić.

— Interesujące — mruknął. — Wygląda jak nadajnik radiowy... tu jest antena. — Spojrzał znowu na Daula. — Czy powiedziałaś jej, jak obsługiwać zamek szyfrowy w drzwiach do mieszkania?

— Hm... nie bezpośrednio. Ale mogła widzieć, jak je otwierałem.

Omnathi skinął ponuro głową.

— Z pewnością — warknął, waząc w ręku sygnalizator. — Czy chrapiasz podczas snu, Daulo Sammon?

— Hm... naprawdę nie wiem. Być może trochę — mruknął zaskoczony Daulo.

Omnathi chrząknął.

— To chyba nie ma znaczenia. Oddech śpiącego jest łatwy do odróżnienia dla kogoś, kto wie, czego nasłuchiwać.

— Proszę pana... ja...

Omnathi przeszył go gniewnym spojrzeniem.

— Podłożyła ci to — warknął pogardliwie. — Później udała, że wsiada do autobusu, po czym przyjechała tu za tobą i zaczęła, aż zaśniesz. Weszła, zabrała kluczyki i wyszła. Nie wiesz, jak długo spałeś?

Daulo wzruszył ramionami. Czuł się lekko skołowany. Sami tworzyli dla niego alibi.

— Około godziny, może dłużej.

Omnathi mruknął coś pod nosem.

— Godzinę.

Boże w niebiosach! Daulo oblizał wargi.

— Ja... nic z tego nie rozumiem. Dlaczego Jasmine Alventin interesuje się moją rodziną?

— Nie sądzę, aby w ogóle się wami interesowała — westchnął starszy mężczyzna. — Po prostu cię wykorzystuje. Najpierw by dojść do siebie po katastrofie pojazdu kosmicznego, a potem dla odwrócenia uwagi.

— Odwrócenia uwagi?

— Tak. — Omnathi machał ręką na północny zachód. — Kiedy zdała sobie sprawę, że zostanie zidentyfikowana, przejęła inicjatywę, powiedziała twojemu ojcu o kapsule z zapasami znajdującej się w rękach Yithtrów i nakłoniła go do powiadomienia Shahnich, zanim zrobią to tamci. Potem, kiedy nasza uwaga skupiona była na jej statku i waszej osadzie, przekonała cię, żebyś przywiózł ją tu, do Azras. Teraz odwróciła twoją uwagę tym manewrem z autobusem, po czym ukradła ci samochód.

Zawahał się, patrząc uważnie na Daula... a kiedy znów przemówił, w jego głosie dało się wyczuć grozę.

— Niezależnie od tego, jaki jest wasz udział w tej sprawie, rodzina Sammonów przysporzyła Qasamie wroga. Niewykluczone, że zostaniecie za to ukarani.

Daulo przełknął głośno ślinę.

— Ale jednak poinformowaliśmy Shahnich o przedmiocie z innej planety, kiedy tylko się o nim dowiedzieliśmy.

— To może przemawiać na waszą korzyść — skinął głową Omnathi. — Czy tak się stanie, zależy od tego, jak szybko złapiemy Jasmine Alventin. I czego się od niej dowiemy.

Dał znak swoim ludziom i ruszyli w stronę drzwi. Przy wyjściu Omnathi zawahał się na chwilę.

— Powiedz mi, Daulu Sammon, twój ojciec mówił, że ta kobieta zadawała wiele pytań. Czy pytała o coś konkretnego, związanego z naszą kulturą lub techniką?

— Hm... nie, nie przypominam sobie. A dlaczego?

— Przyszło mi do głowy, że penetracja Mangus w rzeczywistości była jej głównym zadaniem od samego początku. Natomiast twój udział w tej sprawie był raczej przypadkowy.

Daulo potrząsnął głową.

— Od dawna chciałem dostać się do Mangus.

— Możliwe. Więc być może pomysł był twój, a ona trafiła na dobry moment.

Przez chwilę Omnathi wpatrywał się w niego w zamyśleniu. — Dobrze. Zaspokaj swą dumę wedle woli, Daulo Sammon, ale nie zapominaj, że twoi prawdziwi wrogowie nie są ani w Mangus, ani nigdzie indziej na Qasamie.

Daulo skłonił się i uczynił znak szacunku.

— Tak, Moffrenie Omnathi.

Wyszli. Przez kilka chwil Daulo stał nieruchomo, potem, poruszając się chwiejnie na miękkich nogach, podszedł do okna i zobaczył tylne światła oddalającego się samochodu. Wysłannik samych Shahnich... a Daulo nakłamał jak najęty.

W interesie wroga Qasamy.

Zaklął, stojąc w pustym pokoju. Bądź przekłeta, Jasmine Moreau — pomyślał wściekły. — I na litość boską, bądź ostrożna. Proszę.

## Rozdział 7

Zbir łapał z trudem powietrze, kiedy opary amoniaku dotarły do jego nosa i przywróciły mu gwałtownie przytomność.

— Radziłabym ci siedzieć cicho — powiedziała Jin starając się naśladować gruby głos, najlepiej jak umiała.

Posłuchał... a jego oczy otworzyły się szeroko, kiedy wreszcie wróciła mu ostrość widzenia. Siedział na brzegu dachu wysokiego budynku, od upadku z dużej wysokości chroniły go tylko dwa cienkie sznury, którymi był przywiązany za nadgarstki i kostki do oddalonego o pięć metrów pękatego komina. Miał prawo się bać. W zasadzie podziwiała jego umiejętność panowania nad sobą i to, że nie wrzeszczał wniebogłosy.

— Zacznijmy może od nazwiska, dobrze? — powiedziała, przykucnąwszy obok niego.

— Hebros Sibbio — zdołał wyksztusić.

Z napięciem wpatrywał się w sznury.

— Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię — rozkazała Jin.

Jego spojrzenie niechętnie przeniosło się na jej zamaskowane oblicze.

— Już lepiej. Teraz powiedz mi, kto kazał wam włamać się dziś w nocy do tego mieszkania?

— Ja... nikt — powiedział, lekko drżącym głosem.

Jin westchnęła teatralnie.

— Może nie w pełni rozumiesz swoją sytuację, Herosie Sibbio — powiedziała zimno. — Twój owłosiony tyłek wisi sporo poza krawędzią dachu. Wystarczy, że przetnę te dwa sznury, a polecisz tłumaczyć to wszystko Bogu, zamiast mnie. Myślisz, że On potraktuje cię łagodniej?

Wzdrygnął się i potrząsnął głową.

— Ja też nie — zgodziła się. — Więc powiedz mi, kto zlecił wam tę robotę.

— Nie wiem — sapnął. — Bóg mi świadkiem, nie wiem. Jakiś mężczyzna... nie znam jego nazwiska... zadzwonił do mnie rano i powiedział, że chce, żebyśmy pobili osadnika, który mieszka na ulicy Kutzko, numer trzysta czterdzieści sześć.

— Mieliście go zabić?

— Nie! My nie zabijamy... nawet osadników. Nie zgodziłbym się na taki układ.

— Mów ciszej. Wiec jaka była umowa? Jaką wam obiecał zapłatę?

Sibbio wzdrygnął się znowu.

— Nie miało być zapłaty. Obiecał tylko, że nie ujawni władzom Azras niektórych naszych innych... przedsięwzięć.

— Przedsięwzięć nielegalnych?

— Tak. I wymienił niektóre z nich... — przerwał, patrząc na nią błagalnie. — To prawda... przysięgam na Boga, że tak było.

A więc szantaż... eliminowało to niestety szansę wykrycia zlecających robotę w momencie zapłaty.

— Czy podał wam nazwisko osadnika albo powiedział, dlaczego macie go pobić?

— Nie.

Przez chwilę na dachu panowała cisza. Jin zastanawiała się, co robić dalej. Jeśli Sibbio mówił prawdę, oznacza to, że jego tajemniczy rozmówca posiada przynajmniej pobieżną znajomość przestępczego świata Azras i jego działalności. Jednocześnie jego znajomość jest dość ograniczona, skoro wybrał do tej brudnej roboty grupę tak oczywistych amatorów.

Chyba że tak właśnie wyglądał cały podziemny świat Azras. Musi pamiętać, by zapytać o to Daula.

W każdym razie dalsze wypytywanie Sibbia do niczego nie prowadziło.

— Obok tamtego komina leży mały nóż — wskazała, wstając. — Możesz się przeturlać albo dotrzeć tam w inny sposób i uwolnić się. Twój przyjaciele są wciąż w mieszkaniu, do którego się włamaliście. Zabierz ich i wynoście się wszyscy z Azras.

Sibbio otworzył usta ze zdziwienia.

— Wynieść się... ale tu jest nasz dom.

— Trudno — powiedziała Jin twardo. — Przez następne kilka dni będzie też moim domem... i jeśli spotkam was raz jeszcze, Hebrosie Sibbio, wybierzesz się na tę przedwczesną wyprawę do Boga, o której mówiliśmy wcześniej. Zrozumiano?

Nerwowo skinął głową. Jin nieszczególnie przypadło do gustu zastraszanie tego chłopca, ale myśl o tym, że mógłby się porozumieć z władzami Mangus, podobała jej się jeszcze mniej.

— To dobrze, że pojąłeś, o co mi chodzi... mam nadzieję, że cię więcej nie zobaczę.

Skradała się po dachu, doszła do klatki schodowej, tej samej którą wniosła Sibbia, i otworzyła drzwi. Jakoś dotrze do tego noża, chyba że przedtem straci równowagę i spadnie. Nie miało dla niej szczególnego znaczenia, co się dalej stanie.

Niemniej jednak poczekała w milczeniu przy otwartych drzwiach, dopóki nie odsunął się na bezpieczną odległość od krawędzi dachu.

Znajdowała się tylko o dwie przecznice od ich mieszkania, które dzielili z Daulem, a przed oczami stawały jej przyjemne wizje miękkiego łóżka, kiedy dostrzegła dwa samochody zaparkowane przed budynkiem.

Natychmiast zgasiła światła i podjechała do krawężnika, włączając jednocześnie funkcje teleskopu i rozjaśniaczy we wzmacniaczach wzroku. Oba samochody były puste, ale... przełączyła na chwilę na podczerwień... opony i drążki kierownicze były jeszcze ciepłe. Patrzyła pod złym kątem, a mimo to wyglądało na to, że w ich mieszkaniu paliło się światło.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Na tyle, na ile poznała życie w osadach i miastach, nocne wizyty nie były na Qasamie czymś powszechnym. Czyżby byli to posłańcy z Miliki, przynoszący wieści od ojca Daula?

A może ktoś z Mangus wynajął dodatkowych opryszków?

Jin zaklęła pod nosem i ruszyła do przodu. Wejście przez frontowe drzwi oczywiście nie wchodziło w rachubę... nawet jeśli niespodziewani goście byli zupełnie niegroźni, nie istniał żaden wiarygodny powód, dla którego ona, kobieta miałyby wychodzić nocą sama. A jeśli Daulo miał kłopoty, nie zamierzała wpaść napastnikom prosto w ręce.

Ale zawsze istnieją mniej bezpośrednie drogi...

Skręciła za najbliższym rogiem i zaparkowała samochód przy następnej przecznicy, w szeregu podobnych pojazdów. Trzymając się zaciemnionych

miejsc i wzmagając czujność, zaczęła wracać w stronę kamienicy. Po kilku minutach dotarła na miejsce po przeciwnej stronie budynku. Konstrukcja nie oferowała zbyt wielu możliwości, ale i tak nie miała czasu na długą wspinaczkę. Rozejrzawszy się po raz ostatni, ugięła kolana i wskoczyła na dach.

Wylądowała prawie bezgłośnie. Słysząc było jedynie szuranie butów o dachówki. Przeszła w poprzek dachu, kucnęła na jego krawędzi i spojrzała na dziedziniec w poszukiwaniu oznak życia. Nie dostrzegła nikogo. Nie zdziwiło jej to. Na podwórze można się było dostać wyłącznie poprzez poszczególne mieszkania, więc wystarczyło sprawdzić, że się tam nie ukryła, nie było powodu szukać dalej. Nieco spokojniejsza, wysunęła się poza krawędź dachu, szukając nieistniejących uchwytów, po czym skoczyła na ziemię.

Już nie tak cicho jak poprzednio. Przez długi czas kucąca w bezruchu, ze wzmacniaczami słuchu nastawionymi na maksimum, oczekując jakiejś reakcji. Ale widocznie obywatele Azras mieli typową dla mieszkańców miast zdolność spania pomimo hałasu, wstała więc i pobiegła w poprzek podwórza na tyły mieszkania.

Przez szklane drzwi dostrzegła rozmyte światło, dochodzące z kuchni lub z pokoju dziennego. Niestety, tylko tyle była w stanie zobaczyć... układ pomieszczeń nie dawał wyraźnego widoku frontowej części mieszkania. Ucho, przyłożone do szyby, nie wychwyciło żadnych dźwięków. Naprzód, w dolinę śmierci, i dalej — pomyślała ponuro, wycelowała w zamek u drzwi i strzeliła z laserów małych palców.

Trzask topiącego się w ułamku sekundy metalu brzmiał w jej uszach jak grom, ale z wewnątrz nie było żadnej reakcji. Uchyliwszy drzwi, Jin wślizgnęła się do pokoju i zamknęła je za sobą. Z salonu doszło ją słabe szuranie butów o dywan.

Zamarła. Nastawiła na maksimum wzmacniacze słuchu i usłyszała dźwięk oddechu... dźwięk pojedynczego oddechu.

A więc goście wyszli? Najwyraźniej... ale nie było sensu ryzykować. Zaciśnęła dłonie, kciuki oparła lekko o przyciski spustowe umieszczone w paznokciach środkowych palców, wyprostowała małe palce w pozycji do strzału i wyszła zza rogu.

Stojący przy oknie Daulo odwrócił się gwałtownie.

— Jin — powiedział, chwytając z trudem powietrze, jakby opuszczały go siły. — Boże nad nami, zaskoczyłaś mnie.



— Przepraszam — powiedziała, rozglądając się szybko. Daulo rzeczywiście był sam. — Pomyślałam, że może masz kłopoty — dodała, opuszczając ręce.

— To prawda — westchnął, podszedł niepewnym krokiem do kanapy i opadł na nią. — Ale ty masz większe. Wiedzą, kim jesteś.

— Kto wie? — zapytała Jin, czując przyspieszone bicie serca. — Ci z Mangus?

— Gorzej. Shahni — syknął przez zęby. — Właśnie złożył mi wizytę niejaki Moffren Omnathi i dwóch jego ludzi. Zidentyfikowali cię jako przybysza z innej planety, którego poszukują. Udało mi się chyba ich przekonać, że ukradłaś mi samochód i pojechałaś na północ w stronę Sollas.

Jin rozważała to wszystko przez chwilę. Wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie, prędzej czy później musiała zostać zidentyfikowana. Ale nie spodziewała się tego tak wcześnie.

— Czy powiedziałeś im, że pracowaliśmy razem?

— Czy wyglądam na głupka? — obruszył się. — Oczywiście, że nie. Zagrałem niewiniątko, udałem, że jesteś nieznajomą, która namówiła mnie, żebym ją przywiózł do Azras, i potem zniknęła. Na szczęście, tak mi się wydaje, znaleźli sygnalizator, który zostawiłaś, i stwierdzili, że używałaś go do nasłuchiwania, czy śpię, żeby zakraść się tu i zabrać kluczyki do samochodu.

Jin przygryzła wargę.

— Teoria równie dobra jak każda inna. Mam tylko nadzieję, że nie wymyślili tego wszystkiego tylko po to, byś pomyślał, że ci uwierzyli.

— Ale przecież poszli, prawda?

— Może. Widziałeś, jak odjeżdżali?

— Tak, widziałem odjeżdżający samochód.

— Jeden samochód? Kiedy podjechałam, stały tu dwa. Daulo mruknął coś pod nosem i wstał.

— Czy mam...?

— Nie, nie wyglądam — powstrzymała go Jin. — Jeśli mnie spostrzegli, kiedy tu wchodziłam, jest już za późno. Jeśli nie, to lepiej, żebyś nie zachowywał się zbyt podejrzliwie.

Daulo wypuścił ze świstem powietrze.

— Wydawało mi się, że zbyt łatwo dają się przekonać. Boże nad nami. Mam nadzieję, że uwierzyli moim słowom z powodu pozycji mojej rodziny.

— Raczej dlatego, że nie byli na tyle pewni, by cię aresztować. Albo zostawili cię w spokoju w nadziei, że doprowadzisz ich do mnie. — Jin zerknęła na zasłonięte okno, zastanawiając się, jakimi urządzeniami do widzenia przez szkło i tkaninę dysponowali Qasamanie. Ale jeśli już to robili, znowu było za późno. — Nie mieli moich zdjęć, prawda?

— Nie pokazywali mi niczego. — Daulo potrząsnął głową. — Chociaż to i tak nie ma znaczenia. Jak zaznaczył mój ojciec, w Milice widziało cię wielu ludzi.

— Na tyle dobrze, by przedstawić śledczym stosowny rysopis?

Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

— Przy użyciu hipnozy? Oczywiście.

Jin zacisnęła zęby. Powinna była zdawać sobie sprawę, że dysponują czymś takim... misja jej ojca wskazywała na skłonność Qasaman do używania środków chemicznych zwiększających zdolności umysłowe.

— Tak, zapomniałam o tym. Cóż, być może zestaw do kamuflażu, który mam w plecaku, okaże się wystarczający.

— Nie zostaniesz chyba w Azras?

— Nie, skoro szukają już twojego samochodu — potrząsnęła głową Jin. — Wyjadę z miasta, postaram się znaleźć jakieś miejsce z daleka od drogi, w którym mogłabym ukryć samochód. Jeśli szczęście mi dopisze, będę mogła tam zostać do niedzieli, dopóki nie utworzy się brygada robocza. Wezmę ze sobą komplet tanich ubrań, które kupiliśmy...

— Chwileczkę — przerwał Daulo. Jego oczy zwęziły się. — Nie będziesz chyba nadal próbować dostać się do Magnus?

— Dlaczego nie? Chyba że powiedziałaś naszemu przyjacielowi Moffrenowi Omnathiemu, że właśnie to planowaliśmy. O mój Boże — przerwała, skojarzywszy nagle to nazwisko.

— Co? — zapytał ostro Daulo.

— Moffren. — Dźwięk tego imienia miał posmak goryczy. — Moff. Człowiek, który podawał się za przewodnika w czasie naszej pierwszej misji rekonesansowej trzydzieści lat temu. Omal nas nie załatwił. — Potrząsnęła głową. — Cóż, to dla ciebie koniec gry, Daulo. Z samego rana załatwisz sobie transport do Miliki i zabierzesz się stąd.

Daulo zmarszczył brwi.

— Dlaczego? Tylko dlatego, że Shahni przysłali waszego dawnego wroga, żeby zadał mi kilka pytań?

— Nie... dlatego, że jeśli w twojej opowieści były jakieś słabe punkty, on je znajdzie — odparła. — A kiedy to zrobi, zacznij działać. I to szybko.

— Uważasz, że ucieczka do Miliki uratuje mnie przed nim?

Jin zebrała się w sobie.

— Oczywiście, że nie. Ale być może opóźni jego działania na tyle, że zdążę dostać się do Mangus.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

— A więc do tego sprowadza się cała sprawa, prawda? — powiedział w końcu. — Do twojej misji.

— Chciałbyś, żebym uciekła i gdzieś się ukryła?

— Chciałabyś, żebym ja to zrobił? — odparł cicho. Chciałabyś, żebym wrócił do mojego ojca i powiedział mu, że zaprzepaściłem być może szansę wykrycia zagrożenia dla naszej rodziny dlatego, że się bałem?

— Ale jeśli cię obserwują i spróbujesz dotrzeć do Mangus...

— A jeśli mnie obserwują i spróbuję uciec do Miliki?

Popatrzyli sobie prosto w oczy.

— Posłuchaj, Daulo — westchnęła w końcu Jin. — Wiem, że na Qasamie kobiety nie mówią takich rzeczy mężczyznom... ale czuję się odpowiedzialna za twoje bezpieczeństwo. Namówiłam w końcu do tego planu ciebie i twego ojca, i jeśli nie będę mogła być przy tobie, to jak cię ochronię?

— Nie obiecywałaś mi żadnej ochrony.

— Tobie nie. Obiecałam to sobie. Ku jej zdziwieniu, uśmiechnął się.

— A ja obiecałem sobie, że ochronię cię przed twoją kulturową niewiedzą, kiedy będziesz w Mangus. Nie mogę tego zrobić z Miliki.

— Ale...

Jin westchnęła. Została pokonana. Po prostu nie miała już czasu na ten temat dyskutować. Im dłużej się ociągała, tym więcej czasu miał Moff na zastawienie sieci wokół Azras, a musiała wyprowadzić samochód Daula z miasta, zanim to nastąpi.

— Zastanów się przynajmniej nad tym wszystkim. Proszę cię.

Daulo wstał z kanapy i podszedł do niej.

— Dobrze — powiedział miękko, biorąc ją za rękę. — Bądź ostrożna, dobrze?

— Będę.

Zawahała się, patrząc mu w oczy. Różnice kulturowe — upomniała samą siebie. Trudno, może to źle zrozumie, ale tym razem nie obchodziło jej to. Potrzeba przytulenia się do kogoś była tak silna, że nie potrafiła nad sobą zapanować. Pochyliła się ku niemu i objęła go mocno.

Nie odsunął się, ale też nie próbował przekształcić tego uścisku w coś więcej. Być może przy zagrażającym im zewsząd niebezpieczeństwie on także potrzebował tej odrobiny czułości.

Przez chwilę obejmowali się mocno.

— Ty też na siebie uważaj, dobrze? — powiedziała. — A jeśli zdecydujesz się zostać... nie szukaj mnie w brygadzie roboczej.

Skinął głową, unosząc rękę, by pogłodzić ją po policzku.

— Rozumiem. Lepiej już idź.

Trzy minuty później siedziała z powrotem w samochodzie, miejskie ubranie, które dał jej Daulo, zwinęła w tobołek i zarzuciła go sobie na plecy. Nikt nie czekał na nią w pobliżu pojazdu, nikt nie wyskoczył z ukrycia ani nie strzelił, kiedy wsiadła i odjechała. Albo ludzie Shahnich nie zorganizowali jeszcze w pełni części operacji dotyczącej Azras, albo Moff zrobił się opieszwały na starość, w co nie bardzo mogła uwierzyć.

Ale na razie wyglądało na to, że zyskała odrobinę spokoju i miała zamiar w pełni to wykorzystać. Kilka kilometrów na południe od Azras... odpowiednia przerwa między drzewami w puszczy... i będzie miała kryjówkę na następne półtora dnia.

Odrobina żelu formującego na twarz, może peruka, trochę przyciemniacza do skóry i w niedzielę rano będzie mogła wejść do Azras, nikt jej nie rozpozna. A potem...

Nie było sensu wybiegać myślami zbyt daleko. Skoro do gry włączył się rząd Qasamy, musiała być gotowa na wszystko... I mieć nadzieję, że dziedzictwo rodziny Moreau nie ogranicza się jedynie do samego nazwiska.

## Rozdział 8

— W ten sposób? — zapytał Toral Abram, wysuwając lewą stopę przed prawą.

— Tak — skinął głową Justin. — Teraz wyprostuj nogi i padnij plecami na podłogę, podciągając jednocześnie kolana do klatki piersiowej.

Młody rekrut usłuchał i w sekundę później obracał się w miejscu, leżąc brzuchem do góry, w niezgrabnej embrionalnej pozycji.

— I to ma być manewr wojskowy? — zapytał kwaśno, kiedy się zatrzymał.

— Zaufaj mi — zapewnił go Justin. — Spróbuj to wykonać, strzelając z przeciwpancerneho lasera, a będziesz wyglądał bardzo po wojskowemu.

— Jeśli w pobliżu pozostanie jeszcze ktoś, kto będzie mógł cię zobaczyć — mruknął któryś Kobra stojący w szeregu pod ścianą.

— O to właśnie chodzi — skinął głową Justin, kiedy w sali rozległ się nerwowy chichot. — Dobra, Toral, wstań z podłogi. Twoja kolej, Dario.

Jakiś Kobra zajął miejsce Abrama na środku sali i stanął w pozycji gotowości.

— Przerzut... sufit — rozkazał Justin.

W sekundę później "Dewdrop" niemal zachwiała się, kiedy Kobra wyskoczył w górę, odbił się stopami od sufitu i wylądował kilka metrów od punktu początkowego.

— Któregoś dnia jeden z was wybije w ten sposób dziurę w pokładzie — odezwał się głos obok Justina.

— Witaj, Wilosha. — Justin skinął głową mężczyźnie w średnim wieku, który niepostrzeżenie wszedł do sali. — Nie możesz się napatrzeć na to przedstawienie, co?

— Widok rozbijania w drzazgi konstrukcji statku zawsze robił na mnie mocne wrażenie — odparował drugi oficer Kal Wilosha. — Czy już dostatecznie przećwiczyliście te bojowe manewry?

— Nie, ale niestety nie mamy czasu, żeby to zrobić porządnie. — Justin podniósł głos. — Nieźle, Dario, dobra robota. Nie zapomnij trzymać rąk uniesionych w czasie lądowania tak, abyś mógł w razie potrzeby strzelać. Spróbuj teraz obrotu na plecach.

— Tak jest, panie instruktorze.

Dario zrobił to odrobinę lepiej niż Abram.

— Jeszcze raz — nakazał Justin. — Pamiętaj, że nano-komputer sam wykona wiele z podstawowych manewrów, jeśli mu na to pozwolisz. Zaczynij tylko, odpręż się i pozwól ciału przejąć kontrolę.

Dario skinął głową i ustawił się, by spróbować ponownie. Znajdujący się obok Justina Wilosha syknął przez zęby.

— Jakiś problem? — zapytał Justin.

— Myślę tylko...

— O czym?

Tym razem Dariowi poszło lepiej.

— O Kobrach.

Wilosha wykonał nieokreślony gest. — Konkretnie o nanokomputerach. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że w zasadzie nikt w Światach Kobr nie wie dokładnie, jak są zaprogramowane?

— Nie zastanawiam się nad tym — odpowiedział Justin. — Akademia kontroluje każdy etap ich produkcji.

— A, tak. Nadzorują zespół zautomatyzowanych powielaczy obwodów... czego to dowodzi? Czy istnieje gdziekolwiek lista lub wydruk wyszczególniający dokładnie, co potrafią nanokomputery?

— Czy martwisz się, że Dominium Ludzi mogło podłożyć "bombę programową"? — zapytał cicho Justin. Zauważył, że rozmowa zaczęła przyciągać uwagę studentów.

— Nie, oczywiście, że nie — potrząsnął głową Wilosha. — Ale nie trzeba mieć koniecznie złych zamiarów, żeby stworzyć coś niebezpiecznego.

Justin patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Gdyby ujawnił prawdę o nim teraz, w sali pełnej Kobr, Wilosha miałby za swoje... ale byłaby to dziecinna zagrywka, a Justin wyrósł już z takich sztuczek.

— Kobry, ogłaszam przerwę! — zawołał. — Spotykamy się za piętnaście minut.

Wyszli jeden po drugim bez pytań i komentarzy. Justin i Wilosha zostali sami.

— Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic złego — odezwał się Wilosha beztrzesko, choć jego twarz zdradzała napięcie i czujność.

— Potrzebowałem tylko chwili spokoju — powiedział Justin i zamierzył się, by uderzyć Wiloszę w twarz.

Gdyby Justin naprawdę zamierzał go trafić, Wilosha nie miałby szans uniknąć ciosu, bowiem uderzenie prowadziły układy wspomagające Kobry. Jego odruchy zadziały jednak najlepiej jak potrafiły i Wilosha nagłym ruchem zasłonił twarz rękoma... Justin miał uruchomione wzmacniacze słuchu i wiedział, czego nasłuchiwać, toteż wychwycił w ramieniu tamtego słaby gwizd wspomaganie.

— O co ci, do diabła, chodzi? — parsknął Wilosha, cofając się szybko o krok w kierunku ściany.

Justin nie ruszył za nim.

— Pokazałem ci tylko, jak łatwo Kobra jest w stanie rozpoznać Jecta. Mimo ograniczeń, jakie twój nanokomputer narzuca wspomaganie, i tak włącza się ono na tyle, że pozwala ci reagować tak szybko, jak to właśnie zrobiłeś.

Wilosha skrzywił się.

— Doprawdy, wspaniały sposób. Już widzę, jak chodzisz ulicami Capitalii i uderzasz każdego, kogo napotkasz. Mogłeś mnie po prostu zapytać.

— O co? I tak wiedziałem, kim jesteś. Chciałem ci udowodnić, że wiem.

— Oczywiście. Prawdopodobnie wytropiłeś mnie, jak tylko wystartowaliśmy?

— Nie. Dopiero kiedy zacząłeś przychodzić na co drugie ćwiczenia wściekły i z zazdrością w oczach. A co ty byś pomyślał na moim miejscu?

— Nie zazdrozczę wam — warknął Wilosha. — Przychodzę na treningi, by mieć na was oko... nic poza tym.

— Ale po co? Czyżbyś się czegoś obawiał?

Wilosha wziął głęboki oddech.

— Nie sądzę, aby był to dobry moment na dyskusję, Moreau. Więc równie dobrze możesz zawołać z powrotem swoją grupę i kontynuować...

Przerwał, kiedy Justin zrobił długi krok w stronę drzwi, zagradzając Jectowi drogę.

— Myślę, że jest to jednak dobry moment na dyskusję, Wilosha — powiedział zimno. — Albo przynajmniej na małą pogawędkę. Chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy, zaczynając od tego, dlaczego, do cholery wy, Jectowie, próbujecie budować własną karierę na psuciu krwi innym.

Przez chwilę Wilosha w milczeniu wpatrywał się w niego gniewnie.

— Jesteś tylko kilka lat ode mnie młodszy — warknął w końcu. — Na pewno czujesz już pierwsze oznaki artretyzmu związanego z syndromem Kobry. To właśnie zrobili z nami wszechwładni decydenci akademii, skazali nas na przedwczesną śmierć. Czy nie uważasz, że to wystarczający powód, by odczuwać gorycz?

— Nie — stanowczo stwierdził Justin. — Przykro mi, ale tak nie jest. Nikt cię nie zmuszał, żebyś się zgłosił do akademii. Wiedziałaś, jakie ryzyko się z tym wiąże i czym przyjdzie za to zapłacić. Życie wymaga pewnych ofiar... od wszystkich. A skoro już mówimy o przedwczesnej śmierci, może przypomnisz sobie te wszystkie Kobry, młodsze od ciebie, które zginęły w walce z kolczastymi lampartami.

Na policzku Wiloshy drgnął mięsień.

— Przykro mi, ale nie walczyliśmy z tymi, którzy zginęli za Aventinę.

— Każdy z nas ryzykował życie — przypomniał mu Justin. — Nie możecie wybierać tych, którzy przeżyli, by okazywać im swą pogardę.

— To nie pogarda — upierał się Wilosha. — To szczerzy i uzasadniony niepokój związany z problemami, które widzimy w całym systemie Kobr.

Justin poczuł skurcz w żołądku.

— Mówisz jak Priesly.

— A zatem gubernator Priesly najlepiej ubiera to w słowa. I co z tego? — odparował Wilosha. — Rzecz polega na tym, że patrząc na coś z boku, można zachować dystans. Wy, Kobry, widzicie tylko prestiż, siłę fizyczną i polityczne prawo podwójnego głosu, my natomiast dostrzegamy elitaryzm i arogancję, której towarzyszy całkowite bezpieczeństwo waszych posiad.

Justin obdarzył go zimnym uśmiechem.

— Całkowite bezpieczeństwo stanowisk, powiadasz? To bardzo interesujące... szczególnie że to właśnie uzyskał od ciebie i innych Jectów Priesly.

Wilosha zamrugał powiekami.

— O czym ty mówisz? Stanowisko gubernatora nie jest dożywotnie.



— Nie miałem na myśli stanowiska gubernatora. Mówiłem o jego pozycji jako przywódcy i głównego orędownika głośnego politycznego ugrupowania. Przemysł to, Wilosha. Aventina nie może tak po prostu pozbyć się Kobr, z powodów, które znasz równie dobrze jak ja.

— Nie chcemy się was pozbyć, tylko zmienić strukturę władzy, aby...

— Przymknij się i słuchaj, dobrze? A więc w porządku, jeśli Kobry będą istnieć zawsze, dlaczego nie miałyby zawsze istnieć organizacja, której jedynym życiowym celem jest zwalczanie Kobr?

Przez chwilę Wilosha wpatrywał się w Justina.

— Sugerujesz — powiedział w końcu — że gubernator Priesly zainicjował cały ten ruch wyłącznie po to, by stworzyć sobie bazę polityczną?

Justin wzruszył ramionami.

— Wiesz więcej ode mnie o wewnętrznej strukturze swojego ugrupowania. Czy Priesly wykorzystuje je właśnie do tych celów? Może byś sobie przypomniał, czy byłeś równie rozgoryczony z powodu odrzucenia cię przez akademię, zanim Priesly przekonał cię, że powinienes.

— Przekręcasz fakty — warknął Wilosha. Nie był jednak zbyt pewny siebie. — Poprzez Priesly'ego zagrożamy waszemu statusowi elity, więc oczywiście staracie się zakwestionować nasze motywy i naszą działalność.

— Niewykluczone — powiedział cicho Justin. — Ale ja nie wysłałem nikogo do biura gubernatora po to, by stworzyć wrażenie, że Jectowie to niebezpieczni maniacy z morderczymi skłonnościami. Zastanów się nad tym, Wilosha. Czy naprawdę chcesz stać po stronie człowieka, który świadomie przekręca prawdę w imię władzy politycznej?

— Ocierasz się niebezpiecznie o oszczerstwo — obruszył się Wilosha. — Chyba że masz jakiś dowód, że ten incydent wyglądał tak, jak twierdzisz. Jakiś dowód poza słowami twojego brata, oczywiście. Justin poczuł obrzydzenie.

— Och, na... — odetchnął, wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby. — Wynoś się stąd, Wilosha. Nie mam czasu na dyskusje z kimś, kto zdecydował już, że pozwoli partii myśleć za niego.

Twarz Wiloshy pociemniała.

— Posłuchaj, Moreau...

— Powiedziałem, wynoś się. Jestem zajęty.

Wilosha chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie spuszczać wzroku z Justina, przeszedł obok niego i opuścił salę. Matowa, metalowa płyta opadła, Justin przez chwilę wpatrywał się w nią. Słuchał, jak jego serce powoli uspokaja się i zastanawiał, czy całe to gadanie na coś się przydało. Nieomal współczuł Wiloshy; ten człowiek był w końcu prawie Kobrą, a silne poczucie lojalności znajdowało się wysoko na liście cech, których akademia poszukiwała u kandydatów.

Z drugiej strony ceniono też inteligencję i uczciwość... i jeśli udało mu się chociaż w niewielkim stopniu pozbawić Wiloszę złudzeń, to może znacznie baczniej przyglądać się poczynaniom Priesly'ego. A jeśli znajdzie wystarczające dowody na to, że Prieslym kieruje wyłącznie żądza władzy...

To mogłoby osłabić pozycję jego wrogów. Ale nie pomoże przywrócić Jin.

Zaciskając zęby, Justin ciężko odetchnął. Ona żyje — powiedział stanowczo do siebie. To samo powtarzał sobie przez ostatnie cztery nie przespane noce. — Żyje i zabierzemy ją stamtąd.

Podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz.

— Kobry! — zawołał donośnie. — Koniec przerwy. Wracać na salę... mamy przed sobą dużo pracy.

## Rozdział 9

Hałaśliwy tłum krążył po centrum Azras, składali się nań głównie młodzi ludzie i zaniedbani starsi mężczyźni. Niektórzy, zwłaszcza młodszy, wyglądali na zniecierpliwionych i zdesperowanych, ale ogólnie panował nastrój znudzenia. Usadowieni przy długim stole urzędnicy miejscy notowali nazwiska wszystkich chętnych do pracy robotników. Wpisywali je do przenośnych terminali komputerowych, porządkując według raportów z poprzednich miejsc pracy, umiejętności i innych stosownych informacji. Daulo stał w długiej kolejce, zbliżając się powoli do stołu walczył z własnym zdenerwowaniem, starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

— Ach... panicz Sammon — usłyszał głos za sobą, a jego serce zamarło na chwilę. Odwrócił się najspokojniej, jak tylko mógł.

— Pozdrawiam, mistrzu Moffrenie Omnathi — skinął ponuro głową, czyniąc znak szacunku, po czym przeniósł wzrok na młodego mężczyznę stojącego u boku Omnathiego. — Ciebie też pozdrawiam, mistrzu...?

— Jestem Miron Akim — odpowiedział tamten. — Jeśli zechcesz, zajmę ci miejsce w kolejce, kiedy będziesz naradzał się z mistrzem Omnathim.

Daulo przełknął głośno ślinę, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Omnathi wziął go za ramię i odciągnął na bok.

— Wybaczysz mi, mam nadzieję, to nietypowe podejście — powiedział cicho Omnathi, prowadząc Daula w stronę względnie pustej części centrum.

— O co chodzi? — zapytał ostro Daulo. Lub raczej chciał zapytać ostro. W jego głosie było więcej poczucia winy niż grozy. — Wydawało mi się, że ustaliliśmy wszystko dwa dni temu.

— Tak, tak się wydawało — spokojnie skinął głową Omnathi. — Ale od tego czasu wiele się wydarzyło i pomyślałem, że może mógłbyś nam pomóc.

— Na przykład? — zapytał Daulo, czując skurcz w żołądku.

Omnathi machnął ręką w kierunku zebranego tłumu.

— Na przykład to całe Mangus. Twoje zdeterminowanie, by się tam dostać, wydało mi się stratą czasu i energii, nawet biorąc pod uwagę upór i dumę przypisywaną często osadnikom.

Daulo zachnął się, ale Omnathi nie zwrócił na to uwagi.

— Tak więc kazałem moim ludziom sprawdzić wszelkie dokumenty dotyczące Mangus. Potwierdziło to nasze przypuszczenia, Mangus nie jest niczym więcej niż prywatnym ośrodkiem badań nad elektroniką.

— I dlatego chcecie, żebym stąd wyjechał i wrócił do domu? — warknął Daulo.

— Skądże. Przyszło mi do głowy, że być może wybór momentu wejścia do Mangus nie był wyłącznie twoją decyzją... i że Jasmine Alventin może wciąż uważać, że uczestnictwo w brygadzie roboczej jest najlepszym sposobem, by się tam dostać.

Daulo poczuł, że robi mu się duszno. Gdzieś z oddali docierał do niego głuchy szmer otaczającego ich tłumu, w skroniach pulsowała krew.

— Zrozum, proszę — powiedział w końcu Omnathi — nie oskarżam cię o nic, oprócz nieświadomej współpracy z wrogiem Qasamy. Jestem nawet skłonny uwierzyć, że zamiary Jasmine Alventine mogły być tak zręcznie zakamuflowane, że uwierzyłeś, iż to wszystko naprawdę było twoim pomysłem. Ale od tej chwili to już nieważne. Teraz wiesz, że jest szpiegiem z innej planety... i spodziewam się, że zachowasz się odpowiednio.

— W porządku — powiedział Daulo. — Groźba została zrozumiana. Więc czego konkretnie ode mnie oczekujecie?

Omnathi rozejrzał się leniwie po zgromadzonych.

— Jeśli jej celem rzeczywiście są dane na temat działalności Mangus, to taki drobiazg jak przeszukanie przez nas planety raczej jej nie powstrzyma. Znajdzie sposób, żeby się dostać do środka... a jeśli to uczyni, chcę mieć na miejscu kogoś, kto ją rozpozna.

— Przypuszczam, że tym kimś mam być ja? — zapytał Daulo.

— Dokładnie — skinął głową Omnathi. — Oczywiście zidentyfikowanie jej to tylko pierwszy krok. Nie miałeś żadnego przeszkolenia w technikach chwywania zbiegów, a na naukę jest trochę za późno. Na szczęście, jak pamiętam, na początku planowałeś zabrać na tę wyprawę swojego brata.

Daulo zerknął na kolejkę za nimi.

— Dlatego jest tu Miron Akim, prawda? Ma wejść tam ze mną?

— I kierować tobą. — Twarz Omnathiego nie drgnęła... ale jego głos stał się nagle lodowaty. — Od tej chwili, Daulo Sammon, podlegasz bezpośrednio Shahnim.

Daulo przełknął głośno ślinę. A więc Jin miała rację... historyjka, którą z takim mozołem spreparował dwa dni temu, dla Moffrena Omnathiego okazała się łatwa do rozpracowania. Shahni wiedzieli wystarczająco wiele... lub przynajmniej podejrzewali. Miron Akim był ich odpowiedzią. Umieszczenie Daula pod władzą Shahnich i pod ich nadzorem...

— Czy podlegam także ich mieczowi? — zapytał. Omnathi popatrzył na niego przeciągle.

— Jeśli pomożesz nam w złapaniu tego aventińskiego szpiega, wszelkie inne zagadnienia dotyczące twojego zaangażowania w tę sprawę zostaną zapomniane. W innym wypadku... jak to określiłeś, miecz będzie czekał. — Zerknął ponad ramieniem Daula. — Powinieneś już wrócić do kolejki. Miron Akim udzieli ci dalszych informacji.

— Zdajesz sobie sprawę, że wszelkie wasze wysiłki to prawdopodobnie strata czasu — powiedział Daulo, próbując raz jeszcze odwieść Shahnich od ich zamiarów; kierowany czymś, czego sam dokładnie nie rozumiał. Może ona nawet nie pojawi się w Mangus?

— W takim razie stracimy czas. Stać nas na to — odparł spokojnie Omnathi. — Żegnaj, Daulo Sammon.

Odwrócił się i zniknął w tłumie. Daulo patrzył za nim przez długą chwilę, zastanawiając się, co dalej robić. Gdyby tak po prostu poszedł w przeciwną stronę i opuścił Azras...

Ale miecz Shahnich wisiał nie tylko nad nim. Wziął głęboki oddech, starając się uspokoić bijące mocno serce, po czym wrócił do kolejki.

Akim czekał.

— Ach... Daulo Sammon — skinął głową. — Rozmowa była przyjemna, jak sądzę?

— O, naturalnie — odpalił poirytowany, wchodząc z powrotem do kolejki obok Akima.

Mężczyzna stojący za nimi mruknął coś pod nosem, ale Akim posłał mu lodowate spojrzenie i tamten zamilkł.

Dziesięć minut później dotarli do stołu, przy którym odbywały się zapisy. Dopiero wtedy Daulo zorientował się, że operację nadzoruje sam burmistrz Capparis.

— Aaa... — uśmiechnął się promiennie do Daula. — Daulo Matrolis i jego brat Perto. Jestem zadowolony, że nie przegapiliście tej okazji.

— Ja także, burmistrzu Capparis — powiedział uprzejmie Daulo, czyniąc znak szacunku.

Nigdy przedtem nie słyszał nazwiska Matrolis, ale szybko zorientował się, o co chodzi. Podobnie jak człowiek siedzący przy komputerze, który zaczął stukać klawiszami, zanim Daulo zdążył powtórzyć swoje nazwisko.

— Dziękuję — rzekł, gdy skończył. — Tam możecie sprawdzić, czy zostaliście przyjęci, czy nie. — Wskazał na inny stół stojący na krańcu centrum, obok półtuzina autobusów.

— Dziękuję — odparł Daulo, czyniąc znak szacunku w kierunku urzędnika i burmistrza.

Akim zrobił to samo, po czym ruszyli przez tłum.

— Daulo i Perto Matrolis, co? — mruknął Akim. — Czy mam rozumieć, że dane dotyczące tych nazwisk wykażą, że jesteśmy wysoko kwalifikowani do tej brygady?

— Gdyby nie miało tak być, cała ta sprawa byłaby stratą czasu, prawda? — odparł cierpko Daulo.

— Zgoda. Ciekawe, że udało ci się zaangażować w to osobiście burmistrza Capparisa.

— Czy tak trudno w to uwierzyć?

Akim wzruszył ramionami.

— W tej części Qasamy być może nie. To pokrzepiające widzieć przywódców miast i osad współpracujących ze sobą. Zazwyczaj skaczecie sobie do gardeł.

— Tak...

Daulo przyjrzał się autobusom, oceniając ich pojemność. Jeśli zapełnią się całkowicie, brygada będzie liczyła około stu pięćdziesięciu ludzi. Dziwne, że urządzają to wszystko co dwa tygodnie — pomyślał. Zatrudnienie robotników na stałe byłoby o wiele prostsze... chociaż może nie mają odpowiedniej ilości pomieszczeń mieszkalnych. Jego wzrok powędrował w okolice stołu...

— Oj...

— O co chodzi? — mruknął Akim.

— Tam... widzisz tamtych mężczyzn przyglądających się zbiórce? — powiedział Daulo, odwracając głowę.

Akim zerknął we wskazanym kierunku.

— To grupa z Mangus — rozpoznał ich. — Kierowcy i kilku wyższych urzędników.

— Jednym z nich jest Radig Nardin, syn dyrektora — mruknął Daulo. — Zna mnie.

Akim zmarszczył brwi.

— Jak dobrze?

— Na tyle, by mnie rozpoznać — wymamrotał Daulo przez zaciśnięte zęby.

— Czy może cię nie wpuścić, jeśli się zorientuje?

Daulo przypomniał sobie ataki Nardina na niego i Jin.

— Myślę, że tak.

— Hmm — rozważał Akim. — Myślę, że mógłbym mu się przedstawić, ale to prawdopodobnie wywołałoby plotki w Mangus, a tego wolałbym uniknąć. Zaczekaj tu, znajdę jednego z naszych ludzi i spróbuję odwrócić uwagę Nardina.

— Dobrze. — Daulo obejrzał się ponownie...

To, co zobaczył, przeszło wszelkie oczekiwania. W środku grupy z Mangus stał drobny mężczyzna, mówiący coś z przejęciem do Nardina. Lub raczej drobna postać w męskim stroju. Stroju, który rozpoznał...

Była to Jin Moreau.

Boże nad nami. Obraz zaczął falować przed oczami Daula. Tam, w samym środku Azras, dookoła pełno ludzi. Gdyby Akim się obejrzał... gdyby ją rozpoznał... oboje by zginęli.

Ale Akima już nie było.

Oblizując wargi, Daulo próbował uspokoić drżenie rąk. Cokolwiek Jin chciała osiągnąć, postępując w tak szalony sposób, miała jeszcze jakąś szansę, gdyby natychmiast stąd uciekła.

I kiedy tak patrzył, rzeczywiście się odwróciła, przeszła na koniec szeregu autobusów w towarzystwie Nardina i jakiegoś mężczyzny i...

Wsiadła do zaparkowanego tam samochodu.

Daulo patrzył, jak pojazd wyjeżdża na ulicę i znika za budynkami otaczającymi centrum miasta. Patrzył wciąż za nim, kiedy wrócił Akim.

— Gotowe — oznajmił. — Który to Radig Nardin?

— Nie ma go — powiedział odruchowo Daulo. — Właśnie odjechał.

— Tak? Cóż, to rozwiązuje problem. Daulo wziął głęboki oddech.

— Chyba tak.



## Rozdział 10

Azras leżało o dwadzieścia kilometrów na północ od miejsca, w którym Jin ukryła samochód Daula... spory kawałek do przebycia nawet dla Kobry. Po drodze będzie miała czas pomartwić się o to, co się dalej wydarzy. Jeżeli oczywiście podczas samego biegu nie spotka jej nic nieoczekiwanego.

Tym razem dobrze obliczyła czas i dotarła do miasta, gdy niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. Niektórzy kupcy na pobliskich bazarach otwierali już swe stragany, wędrowała więc ulicami, udając, że ma coś do załatwienia. Czuła się bezpieczniej niż kiedykolwiek od chwili lądowania na Qasamie. Ubrana w męską odzież charakterystyczną dla niższych klas, przykryła włosy starannie przyciętą peruką, a rysy lekko zmieniła żelem plastycznym. Nikt nie powinien jej rozpoznać, a przede wszystkim ci, którym wydawało się, że mają na wzór dobre zdjęcie.

Tak przynajmniej zakładała... z upływem poranka okazało się, że słusznie. Kupiła śniadanie, które było miłym przysmakiem po całym dniu na awaryjnym suchym prowiancie, i spędziła godzinę wędrując po bazarze, obserwując mieszkańców Azras rozpoczynających nowy dzień.

Zapomniała zapytać Daula, o której godzinie ma się rozpocząć selekcja do brygady roboczej, ale kiedy przeszła obok centrum miasta, stwierdziła, że informacja ta nie była potrzebna. Otwarta przestrzeń, przypominająca park, roiła się od mężczyzn. Większość z nich stała w nierównych, zakręcających kolejkach przed kilkoma stołami. Jin przyglądała się temu przez kilka minut, mierząc czas i oceniając, jak długo potrwa załatwienie wszystkich oczekujących, po czym powędrowała dalej. Bez Daula próba bezpośredniego dostania się do brygady była głupotą, a okazja do zrobienia tego w jakiś mniej formalny sposób pojawi się dopiero wówczas, kiedy robotnicy będą przygotowywali się do wyjazdu.

Wróciła po godzinie. Okazało się, że nabór nie został jeszcze zakończony. Przechodząc przez kłębiący się tłum oczekujących na wyniki selekcji, przeszła przez centrum w stronę szeregu autobusów zaparkowanych wzdłuż ulicy, przeznaczonych prawdopodobnie do przewozu robotników do Mangus. Gdyby udało jej się ukryć na dachu, pod spodem lub wewnątrz któregoś z pojazdów, byłby to najłatwiejszy sposób na dotarcie do celu.

Skupiła całą uwagę na autobusach. Nagle stwierdziła, że idzie wprost na Daula.

Na szczęście zbliżał się już do początku kolejki i był zajęty tylko i wyłącznie tym, co działo się na stojącym przed nim stole. Błogosławiony anioł, który strzeże głupców — pomyślała Jin, omijając Daula szerokim łukiem. W pobliżu ustawiony był kolejny, urzędowo wyglądający stół, wokół którego stała beczynnie grupa mężczyzn. Jin nie miała więc żadnych szans podejść do autobusów dostatecznie blisko. Gdyby przeszła na drugą stronę i spróbowała stamtąd...

Nagle zamarła. Jeden z mężczyzn w grupie śledził czujnym wzrokiem, to co działo się na placu...

Radig Nardin. Prawdopodobnie wypatrywał Daula. Przez krótką chwilę stała bez ruchu, nie zwracając uwagi na kłębiący się wokół niej tłum. Zajęta Moffrenem Omnathim i Shahnimi, niemal zapomniała o tym, że ci z Mangus także usiłują nie dopuścić do tego, by ona i Daulo dostali się do brygady. Ale kierownictwo Mangus najwyraźniej nie zapomniało... Nardin widział Daula w Milice mniej niż cztery dni temu, więc szansa na to, że go nie rozpozna, była znikoma.

Przynajmniej przy założeniu, że będzie mógł dalej spokojnie obserwować robotników...

Przygryzła wargę, myśląc intensywnie, jak mu w tym przeszkodzić. Podejść blisko i ogłuszyć go bronią soniczną w nadziei, że jego towarzysze pomyślą, iż jest chory, i zawiozą szybko do lekarza? Ale żeby spowodować tego rodzaju wstrząs tak, aby inni nie poczuli nawet śladowych efektów, musiałaby stanąć tuż obok Nardina. A może skorzystać z laserów i podpalić któryś z autobusów? To także na nic się nie zda. Przy swojej pozycji, Nardin nie gasiłby ognia własnoręcznie. Prawdopodobnie opóźniłoby to tylko załadunek robotników i nie byłoby żadnej gwarancji, że Nardin nie będzie nadal obserwował tłumy.

Chyba że...

Zacisnęła zęby. To pomysł graniczący z szaleństwem... ale jeśli zadziała, rozwiąże od razu oba problemy.

Po drugiej stronie centrum stał mały budynek przypominający szopę, prawdopodobnie publiczna toaleta. Jin podeszła tam i ustawiła się twarzą do ściany. Odwrócona tyłem do robotników podważyła paznokciami brzeg nałożonego plastycznego żelu i zaczęła go zdzierać. Nie było to przyjemne zajęcie, żel powinien być usuwany wyłącznie przy użyciu specjalnego rozpuszczalnika, więc kiedy skończyła, miała wrażenie, że jej policzki i broda są obdarte ze skóry. Perukę i męski strój musiała pozostawić bez zmian, ale jeśli Nardin obserwował

ją uważnie w czasie swojej wyprawy do kopalni Sammonów, to samo zdjęcie maski powinno wystarczyć.

W Milice dostrzegła wyraźne różnice, jakie dzieliły przedstawicieli poszczególnych klas społecznych, a kiedy podeszła do grupy, w której stał Nardin, szybko okazało się, że mieszkańcy miast podlegali podobnym regułom. Człowiek z niższej klasy, ubrany tak jak Jin, nigdy nie próbowałby tak po prostu podejść do kogoś o pozycji Nardina. Fakt, że zdobyła się na to, wyraźnie zaskoczył mężczyzn stojących w pobliżu Radiga. Była już blisko, kiedy dwóch z nich otrząsnęło się ze zdumienia na tyle, by zagrozić jej drogę.

— Dokąd to się wybierasz? — parsknął jeden z nich.

— Chcę rozmawiać z paniczem Radigiem Nardinem — powiedziała spokojnie. — Mam dla niego wiadomość.

Nardin spojrzał na nią ze złością.

— A odkąd to...?

Słowa zamaryły mu na wargach, kiedy ją rozpoznał. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

— Ty... co...?

— Przynoszę wiadomość dla twego ojca, paniczu Nardin — powiedziała potęgując jego zakłopotanie, i dotykając opuszkami palców do czoła. — Czy mogę podejść?

Nardin zerknął na swych towarzyszy i starał się opanować.

— Możesz. Przepuście ją — rozkazał. Przechodząc, wyczuła ich zażenowanie... widocznie zrozumieli, że była kobietą. Zastanowiła się niejasno, czy transwestytyzm jest na Qasamie przestępstwem, ale szybko przestała o tym myśleć.

— Przynoszę wiadomość od Kruina Sammona z Miliki dla twojego ojca — powtórzyła Jin. — Czy zawieziesz mnie do niego?

Twarz Nardina stała się nieprzeniknioną maską.

— Pamiętam cię — stwierdził. — Byłaś w Milice w towarzystwie najstarszego syna Kruina Sammona. Kim jesteś, że powierza ci wiadomości?

— Nazywam się Asya Elghani, paniczu Nardin.

— A twój związek z rodziną Sammonów?

— Pracuję dla nich — odparła Jin, ostrożnie dobierając słowa. Nie miała pojęcia, czy funkcja, którą zamierzała opisać, w ogóle istniała na Qasamie, ale biorąc pod uwagę rozpowszechnione użycie narkotyków, było to bardzo

prawdopodobne. — Jak powiedziałam, jestem posłańcem do twego ojca, Obolo Nardina.

Nardin uniósł brew, przypatrując się uważnie jej strojowi.

— A czym tak szczególnie się wyróżniasz, że powierza ci ważne wiadomości... Poza tym, że niewielu ludzi uznałoby cię za godną zaufania?

Jin nie zwracała uwagi na docinki.

— Wyróżnia mnie to — powiedziała spokojnie — że jestem w stanie przekazać ustną wiadomość... której treści nie znam.

Nardin zmrużył oczy.

— Wyjaśnij.

Po twarzy Jin przemknął wyraz ledwo hamowanego zniecierpliwienia.

— Wiadomość została mi przekazana, kiedy znajdowałam się w specjalnym narkotycznym transie — powiedziała. — Tylko w obecności twego ojca będę mogła powrócić do tego stanu, aby poznać jej treść.

Nardin przypatrywał jej się przez długą chwilę. Oby się tylko udało — pomyślała Jin.

— Jak ważna jest ta wiadomość? — zapytał. — Czy istotny jest czas jej dostarczenia?

— Tego również nie wiem — odpowiedziała Jin.

Jeden z mężczyzn zbliżył się do Nardina.

— Za waszym pozwoleniem, paniczu Nardin — wymamrotał — czy mogę zauważyć, że już sam moment wysłania tej rzekomej wiadomości jest bardzo podejrzany?

Wzrok Nardina wciąż spoczywał na Jin.

— Być może — mruknął w odpowiedzi. — Jeśli to jednak podstęp, to Sammon zyska jedynie trochę czasu. — Skinął powoli głową. — Dobrze, zawiozę cię do mego ojca.

Jin skłoniła się.

— Jestem do twojej dyspozycji, paniczu Nardin — powiedziała.

Odwrócił się i skierował w stronę szeregu autobusów. Jin poszła za nim. Dołączył do nich jeszcze jeden mężczyzna. Za autokarami stał zaparkowany samochód, drugi mężczyzna wsunął się na miejsce kierowcy, a Nardin i Jin

usiedli z tyłu. Zanim zdążyła zamknąć drzwi, pojazd wyjechał na ulicę i ruszył na wschód.

Jin ostrożnie zaczerpnęła powietrza, po czym równie ostrożnie je wypuściła. Wyglądało na to, że powszechna pogarda wobec kobiet przysłużyła jej się po raz kolejny. Nardin mógłby nawet przełknąć pomysł z "poufną wiadomością" w wykonaniu nieznanego mężczyzny, ale na pewno nie wpuściłby go do samochodu bez dodatkowej ochrony. Ale Jin, jako kobieta, nie stanowiła w jego pojęciu żadnego zagrożenia.

Usadowiwszy się na siedzeniu, obserwowała miejski krajobraz za oknem i zastanawiała się, jak najlepiej wykorzystać ten słaby punkt Qasaman.

# Rozdział 11

Z Azras do Mangus było pięćdziesiąt kilometrów. Jechali drogą wyraźnie nowszą i lepszą niż ta, którą Jin biegła rano. Ani Nardin, ani kierowca nie odezwali się do niej przez całą drogę, nie miała więc nic do roboty oprócz podziwiania widoków i obserwowania ukradkiem obu mężczyzn.

Wyniki tego badania nie były specjalnie imponujące. Nardin jechał z kamienną twarzą, zerkając od czasu do czasu na Jin, ale generalnie obserwował drogę. Kierowca też zachowywał się sztywno i odnosił z dystansem, nawet do Nardina. Nieliczna wymiana zdań pomiędzy nimi była krótka i formalna, nie było w niej nic ze swobodnej zażyłości, która łączyła Daula i jego kierowcę. Ścisła relacja typu pan-sługa — wywnioskowała Jin — bez śladu przyjaźni, czy nawet wzajemnego szacunku. Biorąc pod uwagę wrażenie, jakie wywarł na niej Nardin cztery dni temu, można się było tego spodziewać.

Krajobraz był nieciekawym, ale nie nieprzyjemnym. Równina gdzieś tam porośnięta drzewami. Jin wiedziała, że dalej na wschód zaczyna się znowu gęsta puszcza, która ciągnie się w poprzek Qasamy aż do osad na przeciwległym końcu Urodzajnego Półksiężycy. Ale przynajmniej tych obszarów puszcza nie była w stanie zająć.

Oznaczało to, że gdyby Jin wraz z Daulem musiała opuścić Mangus w pośpiechu, na drodze do Azras spotkałoby o wiele mniej drapieżników. Ale także zdecydowanie mniej potencjalnych kryjówek. Wziąwszy pod uwagę jedno i drugie, wolałaby zaryzykować kontakt z drapieżnikami.

Mangus było widoczne na długo przedtem, zanim do niego dotarli... zdjęcia satelitarne nie oddawały w pełni jego wyglądu. Na tyle, na ile udało jej się wywnioskować na podstawie wysokiego czarnego muru otaczającego ośrodek, miał on kształt romboidalny, co ostro kontrastowało z krągłością Miliki i osad, które odwiedził jej ojciec. Przeciwległe krańce muru wskazywały południowy wschód i północny zachód. Zgodnie z kierunkiem pól magnetycznych planety — stwierdziła Jin, przypomniawszy sobie, że ulice w Azras i innych miastach przebiegały pod podobnym kątem. Migrujące stada qasamańskich bololinów przemieszczały się zgodnie z liniami pola magnetycznego, co budowniczo

musieli brać pod uwagę. Starali się kierować ogromne bestie dookoła ludzkich osiedli lub ułatwiali im przejście na tyle, na ile było to możliwe.

Mur, mimo iż wyglądał niezwykle imponująco, nie mógł się równać z lśniącym baldachimem w kształcie kopuły, rozciągniętym łukowato ponad nim. Na podstawie zdjęć zrobionych przez satelity Światów Kobr niewiele można było wywnioskować. Był metalowy lub pokryty metalem, nie była to lita konstrukcja, ale ściśle pleciona podwójna siatka, której zmienne wzory interferencji blokowały wszelkie sondy skuteczniej, niż mogłaby to uczynić lita konstrukcja. Ponadto baldachim był niemal całkowicie nieprzenikliwy dla każdej długości fal elektromagnetycznych, jakimi mogły operować satelity.

Teraz, oglądając kopułę z ziemi, Jin stwierdziła, że niewiele mogła dodać do tego opisu. Dostrzegła, że siatka została przymocowana do wysokich czarnych słupów, osadzonych w ziemi poza murem, a te z kolei umocniono parami lin cumujących. Nadal pozostawało tajemnicą, co podtrzymuje środek baldachimu, zwłaszcza że delikatnie falował na wietrze, jakby był zrobiony z wiotkiej tkaniny, a nie sztywnego metalu. Przyglądała mu się uważnie przez wąską szczelinę pomiędzy dolną krawędzią konstrukcji a górną częścią muru, kiedy nagle jakiś ruch po lewej stronie odwrócił jej uwagę. Włączyła teleskopy we wzmacniaczach wzroku, by lepiej widzieć.

To był autobus. Identyczny jak te, które czekały, by przewieźć Daula i innych robotników do Mangus... tylko że ten jechał na północ inną drogą. Podobnie jak drugi, jadący za nim. I następny. I następny...

— Jadą do Purmy — przerwał jej rozmyślenia Radig Nardin. Spojrzała na niego, zaskoczona. Wpatrywał się w nią uparcie.

— Rozumiem, paniczu Nardin — odparła, pamiętając, by okazywać należyty szacunek. — Czy mogę spytać, kim oni są?

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się odrobinę.

— Robotnicy pracujący tu w zeszłym tygodniu. Jadą do domu.

Jin zawahała się. Następne pytanie mogło zabrzmieć niezgodnie z qasamańskimi zwyczajami... chociaż i tak wyrobiła już sobie opinię intruza.

— Czy często zatrudniacie ludzi z Purmy?

— Mniej więcej co dwa tygodnie — odpowiedział. — Na przemian z ludźmi Azras.

— Rozumiem. — Jin ostrożnie usadowiła się z powrotem na swoim miejscu, spoglądając raz jeszcze na mur i kopułę ponad nim.

A więc w Mangus było wystarczająco dużo pracy, by zatrudnić pełnoetatową załogę. Dlaczego więc bawili się w to wszystko co tydzień, zamiast po prostu zatrudnić robotników na stałe?

Minęli rząd słupów podtrzymujących konstrukcję, a kiedy dojechali do końca drogi, w murze przed nimi otworzyła się brama. Była to jedyna brama po tej stronie ośrodka, na dodatek wzmocniona niczym drzwi do bankowego skarbcza. Z pewnością dla ochrony przed bololinami.

Kiedy samochód minął wrota i wjechał do Mangus, oczom Jin ukazało się kilka budynków. Dokładnie na wprost stał gmach przypominający biuro, za nim prawdopodobnie dom mieszkalny, z lewej i prawej otaczała go strażnica oraz garaż. Ale Jin dostrzegła to wszystko mimochodem. Jej uwagę przykuł mur, wyrastający zupełnie niespodziewanie po prawej stronie.

Na tyle, na ile mogła stwierdzić, łączył przeciwległe wierzchołki rombu, przecinając Mangus na dwa, mniej więcej równoramienne trójkąty. Pośrodku umieszczona była jedyna brama, wyglądająca na równie mocną jak ta, którą właśnie minęli. Czyżby był to jedyny wjazd do tamtej części? — zastanawiała się, przypomniawszy sobie, że w zachodniej partii zewnętrznego muru też była tylko jedna brama.

Jeśli tak, to wszystko wskazywało na to, że ciemne sekrety Mangus miały dwa oblicza. Żeby tylko Obolo Nardin, ojciec Radiga, miał swoje biuro po tamtej stronie wewnętrznego muru...

Ale nie miało to być takie proste, jak Jin sądziła.

— Do centrum administracyjnego, paniczu Nardin? — zapytał kierowca przez ramię.

— Tak — powiedział Radig, patrząc na Jin. — Dostaniesz... — zmierzył ją wzrokiem — ...bardziej stosowną odzież, zanim zostaniesz przedstawiona memu ojcu.

— Dziękuję, paniczu Nardin — skinęła poważnie głową. Pochyliła się nieco do okna i zauważyła jeszcze jeden czarny słup, stojący na szczycie wewnętrznego muru, sięgający w górę do środka rozpostartego baldachimu. Najwyraźniej stanowił główną podporę. Odchodziły od niego średniej grubości żebra, łączące się z zewnętrznymi słupami i utrzymujące kształt kopuły. Proste, lecz skuteczne.

— Ufam, że zapewnisz mi transport do Azras, kiedy przekażę mą wiadomość? — zapytała Nardina.

Uniósł brew.



— To będzie zależało — powiedział chłodno — od treści tej wiadomości.

Kazali jej długo czekać, o wiele dłużej, niż zajęło Jin przebranie się w strój, który dostała. Zaczęła się w końcu zastanawiać, czy przypadkiem nie obserwowali jej potajemnie. Jeśli tak było, to w którym momencie, jako zabiegany zawodowy posłaniec, powinna zacząć się denerwować tym, że marnują jej cenny czas? W końcu jednak pojawił się ktoś, kto poprowadził ją kilkoma korytarzami do sali tronowej Obolo Nardina.

Nie można tego miejsca nazwać inaczej. Było większe i daleko bardziej wystawnie urządzone niż gabinet Kruina Sammona... większe nawet niż biuro burmistrza dużego miasta, które widziała na taśmach... zostało najwyraźniej zaprojektowane tak, by zastraszać wszystkich, którzy się w nim znaleźli. Na twarzy czuła nieustannie lekki powiew, kiedy prowadzono ją przez labirynt wiszących zasłon do środka gabinetu. Oczami duszy widziała obraz pająka, czekającego w samym środku sieci...

— Jak się nazywasz? — mruknął mężczyzna siedzący na tronie ułożonym z poduszek.

Jin z wysiłkiem odsunęła nieprzyjemny obraz. Jestem Kobrą — napomniała się w myślach. — Nie powinnam bać się pajaków.

— Jestem Asya Elghani, paniczu — powiedziała, czyniąc znak szacunku i przyglądając się nienaturalnie jasnym oczom. Czyżby nadużywał qasamańskich narkotyków? — Czy ty jesteś Obolo Nardin?

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się... a po plecach Jin przebiegł dreszcz.

— To ja — odparł. — Co masz mi do powiedzenia?

Jin wzięła głęboki oddech. Nadeszła właściwa chwila.

Żeby tylko kupił jej występ... Rozluźniając nieco twarz, jak gdyby wchodziła w stan hipnotycznego transu, obniżyła głos o oktawę.

— Mówi Kruin Sammon — zaintonowała. — Wiem, czym zajmujesz się w Mangus, Obolo Nardin, wiem też, co ryzykujesz. Mogę cię zniszczyć... ale mogę też ci pomóc. Potrzebujesz surowców, które ja posiadam, a także siły zachodnich osad, które są w stosunku do mnie lojalne. Proponuję więc przymierze pomiędzy nami i równy podział zysków. Oczekuję twej odpowiedzi.

Jin skupiła wzrok na twarzy Nardina.

— Czy odebrałeś całą wiadomość, mistrzu Nardin? — zapytała normalnym już głosem.

Przyglądał jej się bez zmruczenia oka.

— W rzeczy samej, odebrałem — mruknął.

— Zapłacono mi też za dostarczenie Kruinowi Sammonowi odpowiedzi, na wypadek gdybyś chciał takowej udzielić — kontynuowała, starając się zachować obojętny ton i wyraz twarzy.

Gdzieś głęboko w zakamarkach umysłu odezwały się alarmowe dzwonki. Coś tu było nie w porządku...

— W takim wypadku będę potrzebowała trochę czasu, by się przygotować...

Nagle, bez ostrzeżenia na obraz przed jej oczami nałożyła się czerwona obwódka.

Poczuła przyływ adrenaliny i odruchowo wstrzymała oddech. Wszystko ułożyło się w całość: długie oczekiwanie w przebieralni, uwaga, z jaką przyglądał jej się Obolo

Nardin, powiew powietrza na twarzy... bez wątpienia naładowany środkiem nasennym. Rozważyli, co z nią zrobić, uznali, że przykrywka z wiadomością to nonsens i podjęli odpowiednie kroki.

Jin zwinęła ręce w pięści, wbijając paznokcie w dłonie, usiłowała zwalczyć efekty narkotyku. Może będzie w stanie ogłuszyć Obola bronią soniczną i uciec stąd... ale wiszące zasłony mogły kryć setkę innych mężczyzn, a jej nawet teraz nie wolno ujawnić, kim jest. Ale nie zdoła wstrzymać oddechu w nieskończoność, a i tak prawdopodobnie w jej organizmie znajdowało się wystarczająco wiele narkotyku, by uśpić ją, zanim zdąży uciec dostatecznie daleko. A Obolo wciąż się w nią wpatrywał. Wciąż czekał...

Czekał, aż upadnie? W porządku — zdecydowała nagle.

— Ja... mistrzu Nardin... — zaczęła bełkotliwie, po raz ostatni zaczerpnęła powietrza i osunęła się na podłogę.

Postarała się upaść w taki sposób, by nie być zwrócona twarzą w kierunku, z którego dochodził usypiający powiew. Gdy doszła nieco do siebie po upadku, zdała sobie sprawę, że powiew, który odczuwała teraz z tyłu głowy, został wyłączony. Zza jednej z zasłon dobiegł ją dźwięk kroków, ktoś się koło niej zatrzymał...

— Szybko poszło — usłyszała głos Radiga Nardina. — Nawet jak na kobietę.

— Jest słaba — powiedział pogardliwie Obolo. — Jeśli to wszystko, na co stać naszych wrogów, to nie mamy się specjalnie czego obawiać.

Jin poczuła się tak, jakby ktoś przebijał jej żołądek żelaznym kolcem. Boże nad nami... oni wiedzą, kim jestem! Ale skąd...?

— Może...

Czyjaś ręka pociągnęła ją za ramię, przewracając na plecy.

Nie otwierając oczu, włączyła wzmacniacze wzroku na zerowe powiększenie i najniższe wzmocnienie światła. Radig przyglądał się przez chwilę jej twarzy, po czym wyprostował się i zwrócił w stronę ojca.

— Każę zbadać jej ciało na wypadek, gdyby posiadała jakieś miniaturowe przyrządy. Potem ją zamkniemy.

— Jak uważasz, mój synu, chociaż wątpię, czy to potrzebne.

— W jej odzieży nie znaleziono niczego...

— Zapominasz o katastrofie statku kosmicznego — starszy Nardin przerwał swemu synowi. — Nie ma ze sobą żadnych urządzeń, ponieważ żadne nie ocalały.

— Być może. Czy zdecydowałeś już, co zrobić z Daulo Sammonem?

— Jakże to — nic. Przecież jego ojciec zaproponował nam umowę — powiedział Obolo z ciężką ironią. — Czy nie słyszałeś jego wiadomości?

Radig znów zerknął na Jin.

— Wybacz mi, ojcze, że nie dostrzegam w tej sytuacji niczego zabawnego. Czy odrzucasz możliwość, że rodzina Sammonów zawarła przymierze z tym szpiegiem?

— To nie jest niemożliwe — mruknął Obolo — chociaż mało prawdopodobne.

— Więc pozwól mi się pozbyć Daula — nalegał Radig. — Dopóki tu jest, stanowi dla nas niebezpieczeństwo.

— To prawda. Niestety, usunięcie go w tym momencie spowodowałoby jeszcze większe zagrożenie. Powiedz mi, czy zidentyfikowałeś mężczyznę, który przybył wraz z nim do Mangus?

Radigowi drgnęła warga.

— Jeszcze nie. Ale to prawdopodobnie po prostu ktoś jeszcze z tego gówna bololina zwanego Miliką.

— Prawdopodobnie tu nie wystarczy — powiedział zimno Obolo. — Shahni wiedzą, że ta kobieta jest na Qasamie i wiedzą, że w czasie pobytu w

Milice mieszkała u rodziny Sammonów. Ten człowiek może równie dobrze być agentem Shahnich przydzielonym Daulowi Sammonowi jako ochrona lub więzienny strażnik.

— Ale po co miałyby towarzyszyć Daulowi Sammonowi tutaj?

— Ona tu jest, nieprawdaż? Jeśli ona i nasi wrogowie coś wiedzą lub podejrzewają, nie możemy wykluczyć, że podzieliła się tą wiedzą z Kruinem Sammonem.

— Ale w takim razie pozwolenie agentowi Shahnich...

— Radigu Nardinie — głos Obola zabrzmiał jak trzaśnięcie biczem. — Opanuj swe lęki i zacznij myśleć. Jeśli chodzi o Shahnich, jesteśmy firmą zajmującą się elektroniką, niczym więcej. Jeśli pozostaniemy tak otwarci jak dotąd, nie będą mieli powodu w to wątpić. Jeśli zaś szukając Daula Sammona między robotnikami, żeby go stąd wyrzucić, zrobimy przedstawienie, to czy nie wzbudzimy ciekawości tego agenta?

Radig wziął głęboki oddech.

— To wciąż jest niebezpieczne, mój ojciec.

— Oczywiście, że jest. Bez niebezpieczeństwa nie ma zysków, mój synu. Pamiętaj o tym, jeśli twe nerwy zawiodą ponownie.

— Tak, mój ojciec. — Radig wpatrywał się gniewnie w Jin. — A dla jakich potencjalnych korzyści pozostawiamy ją przy życiu?

Obolo parsknął.

— Uważasz zachowanie kobiety przy życiu za ryzykowne?

— To nie jest zwyczajna kobieta, mój ojciec... to agentka Światów Kobr. To czyni ją niebezpieczną.

Jin zauważyła, że wokół obrazu wciąż unosiła się czerwona obwódka... że gęstniała... a obraz najwyraźniej odpływał...

— Nie! — pomyślała z wściekłością, starając się zwalczyć senność obejmującą jej umysł. — Trzymaj się, Jin. Ale tak trudno było zdobyć się na jakikolwiek ruch. A na podłodze było tak wygodnie...

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, były szorstkie ręce chwytające ją pod ramiona i nogi i unoszące gdzieś daleko...

## Rozdział 12

— ...Ekran umieszczony przed każdym z was pokaże krótkie streszczenie poszczególnych etapów, które opisałem — instruktor zakończył prezentację, wskazując rzędy stołów pełnych sprzętu. — Jeśli będziecie mieli jakieś kłopoty, naciśnijcie klawisz POMOC, jeśli to nie pomoże, naciśnijcie klawisz SYGNAŁ, a ktoś podejdzie do waszego stanowiska pracy. Czy są jakieś pytania? Jeśli nie, to do dzieła, i pamiętajcie, że przyszłość komunikacji na Qasamie może zależeć od was.

Przerzucając wzrok na ekran przytwierdzony do stołu roboczego, Daulo niechętnie wziął do ręki płytę z obwodami i garść elementów. Nie spodziewał się, że dostanie obudowę pocisku i każą mu załadować do niego głowicę... ale montowanie obwodów telefonicznych także nie było tym, co chciałby robić.

— Nie marnują na nas czasu, co? — mruknął.

Zerknął w bok.

— Całkiem nieźle płacą — zauważył.

Akim wzruszył ramionami.

Daulo zacisnął zęby i wetknął pierwszy element w płytę z obwodami. Odkąd wysiedli z autobusu, starał się zaciekawić Akima kwestią, czym jest Mangus, ale jak na razie jego działania nie przynosiły efektów. Akim był na tropie przybysza z innej planety i najwyraźniej nie miał zamiaru zaprzętać sobie głowy innymi sprawami.

— To przynajmniej tłumaczy, dlaczego nie starają się nawet skontaktować z pracującymi tu wcześniej robotnikami — zaczął Daulo z innej beczki. — Jeśli wszystko, co tu robią, jest tak proste, to uczenie nowych grup od podstaw nie stanowi chyba żadnego problemu.

Akim rozejrzał się uważnie po sali i przez chwilę Daulo miał nadzieję, że uda mu się nakłonić go do dyskusji. Ale tamten skinął tylko głową.

— Nie jest specjalnie efektywne, ale z pewnością poprawia nieco sytuację materialną biedoty z Azras — odparł Akim i skupił się z powrotem na płycie z obwodami.

— Tak — mruknął pod nosem Daulo. — Obolo Nardin, szlachetny jak nikt inny.

— Na twoim miejscu — powiedział zimno Akim — spróbowałbym zapomnieć o wiejskich uprzedzeniach i skupiłbym się na zadaniu, które mamy wykonać. Czy widzisz tu kogoś, kto mógłby być kobietą w przebraniu?

Daulo z westchnieniem popatrzył na innych pracowników. Przed oczami pojawił się obraz Jin wsiadającej do samochodu Radiga Nardina.

— Chyba nie widzę.

— Miej oczy otwarte — przestrzegł Akim. — Mogą od czasu do czasu wymieniać robotników w poszczególnych grupach.

Daulo skinął głową i zajął się swoją robotą.

Mniej więcej godzinę później zauważył nagle, że Akim przestał pracować i wpatruje się tępym wzrokiem w przestrzeń.

— Coś nie tak? — zapytał Daulo. Akim obrócił się i spojrzał na niego.

— Coś jest nie w porządku — szepnął ochryple. — Tu jest... — oblizał wargi, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony. — Nic nie czujesz?

Daulo pochylił się blisko niego, walcząc z ogarniającym go nagle uczuciem lęku. Ledwo kontrolowana panika Akima była zaraźliwa.

— Nie rozumiem. A ty co czujesz?

Akim z trudem łapał oddech.

— Zdrada — syknął, a jego dłonie drżały coraz bardziej. — Tu... jest zdrada. Nie czujesz tego?

Daulo rozejrzał się szybko po sali. Na razie nikt niczego nie zauważył, ale to nie mogło potrwać długo.

— Chodź — szepnął, podnosząc się i łapiąc Akima za ramię. — Idziemy stąd.

Akim zrzucił jego rękę.

— Sam sobie poradzę — zachnął się, wstając niepewnie.

— Jak chcesz — powiedział Daulo przez zaciśnięte zęby.

Drzwi, przez które weszli, znajdowały się na drugim końcu sali, drugie, bliższe wyjście spostrzegł w pobliżu podium. Daulo ponownie chwycił ślaniającego się lekko Akima za ramię i pociągnął go w tamtą stronę. Kiedy doszli do drzwi, zatrzymał ich instruktor.

— Dokąd idziecie? — zapytał ostro. — Wyjście jest po tamtej...

— Mój przyjaciel źle się czuje — przerwał Daulo. — Czy jest tu gdzieś toaleta?

Instruktor cofnął się, a Daulo wykorzystując jego wahanie przecisnął się obok. Wyszli na korytarz, którego nie zauważył, kiedy wchodzili do budynku. Daleko, na końcu widniały ciężkie drzwi. W połowie drogi znajdowała się toaleta. Daulo pomógł Akimowi dotrzeć tam i niemalże wepchnął go w fotel, kiedy znaleźli się w wypoczynkowej części łazienki.

Przez długą chwilę milczeli. Akim wziął kilka wolnych, głębokich oddechów, sprawdził, czy nie drżą mu palce, wstał i przejrzał się w lustrze, po czym spojrzał Daulowi w oczy.

— Nie czułeś tego co ja, prawda? — zapytał ostro. — Niczego nie czułeś?

Daulo rozłożył bezradnie ręce.

— Musisz określić to dokładniej — powiedział.

— Chciałbym. — Akim odwrócił się z powrotem do lustra i popatrzył sobie głęboko w oczy. — Poczułem... a niech to diabli, poczułem zdradę. Nie można tego inaczej nazwać. Poczułem zdradę. Niezależnie od tego, czy ma to jakiś sens, czy nie.

Nie miało żadnego sensu, ale było to bez znaczenia. Jakikolwiek był powód dziwnego zachowania Akima, agent został wytracony ze swej obojętności wobec Mangus, reszta należała do Daula, musi kuć żelazo póki gorące.

— Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi — przyznał — ale ufam twoim instynktom.

Akim rzucił mu spojrzenie pełne bólu.

— Niech będą przekłete instynkty — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. — Coś tu jest nie w porządku i zamierzam odkryć, co to takiego.

Ruszył w stronę drzwi.

— Wracasz na salę? — zapytał ostrożnie Daulo. — Biorąc pod uwagę to, co się właśnie stało, nie wiem...

— W pełni już nad sobą panuję — przerwał mu sztywno Akim. — A ty wiesz tylko tyle, że po prostu zaszкодziło mi coś, co zjadłem na śniadanie. Rozumiesz?

Kiedy wyszli z toalety, instruktor przyglądał im się, stojąc tuż obok drzwi do hali montażowej. Przyjął ze zrozumieniem tłumaczenie Akima i odprowadził ich

do stołów roboczych. Powróciwszy do pracy, Daulo wyczuł wszystkie zmysły, starając się najlepiej jak potrafił odebrać opisywane przez Akima uczucie.

Bez rezultatu.

Co gorsza, Akim najwyraźniej też już niczego nie odczuwał. Siedział przy stole z ponurym wyrazem twarzy, i pracował przy swojej płycie z obwodami, bez najmniejszego śladu poprzedniej reakcji.

Co oznaczało, że cokolwiek to było, już minęło... albo w ogóle nie było niczego.

Daulo stwierdził, że to najdziwniejszy zachód słońca, jaki zdarzyło mu się oglądać. Niewidoczne, schowane za murem okalającym Mangus słońce tworzyło przepiękne wielokolorowe wzory na połyskującym baldachimie.

— Ciekawe, czy ta kopuła zabezpiecza przed deszczem — powiedział Daulo spoglądając w górę przez okno pokoju.

— A po cóż innego miałyby tam być? — mruknął Akim z łóżka.

Żeby ludzie Jin nie widzieli, co się kryje w środku — pomyślał Daulo. Ale nie mógł powiedzieć tego Akimowi.

— Wciąż niepokoi cię to, co stało się dzisiejszego popołudnia w hali montażowej? — zapytał zamiast tego, patrząc w dalszym ciągu na baldachim.

— A ty byś się nie niepokoił? — warknął tamten. — Zachowałem się jak głupiec, a potem nie mogłem nawet dojść, dlaczego tak się stało.

Daulo zacisnął usta.

— Może spowodował to jakiś środek chemiczny, którego używają w procesie produkcyjnym — zasugerował. — Coś, co mogło ułatwiać się z płyt z obwodami?

— W takim razie dlaczego nikt inny nie zareagował? Poza tym dlaczego już go nie było, kiedy wróciliśmy na salę? Bo nie było.

Daulo przygryzł wewnętrzną stronę policzka.

— Więc może... to coś przeznaczone było dla mnie, a ty wyczułeś to przez pomyłkę.

— Wracamy do twojej obsesji, że władze Mangus nie chcą wpuszczać osadników? — zachnął się Akim.

— Pasuje do faktów, nieprawdaż? — mruknął Daulo, zwracając się twarzą do Akima. — Może był to strumień gazu wypuszczony po to, żebym się przestraszył i wyjechał z własnej woli?



— Ja nie czułem strachu.

— Być może jesteś odważniejszy niż ja. A kiedy zamiast mnie zareagowałeś ty, mogli się przestraszyć i wyłączyć to coś.

Akim potrząsnął głową.

— To nie ma sensu. Mówisz o czymś, co jest zbyt wyrafinowane jak na miejsce, w którym montuje się telefony.

— A skąd wiesz, że montowaliśmy obwody elektryczne do telefonów? — odparł Daulo.

Akim zmarszczył czoło.

— A co innego mogliśmy robić?

Daulo wziął głęboki oddech.

— Broń. Być może elementy do rakiet.

Spodziewał się przynajmniej niedowierzającego i pogardliwego parsknięcia. Ale Akim po prostu dalej na niego patrzył.

— Na jakiej podstawie tak sądzisz? — zapytał.

Po plecach Daula przebiegł zimny dreszcz. On wie — przyszła mu do głowy przerażająca myśl. — Shahni są w zмовie z Mangus, miasta naprawdę przygotowują się do wojny z osadami. Ale na wycofanie się było już za późno.

— Plotki — powiedział zeszywniałymi wargami. — Fragmenty informacji, składane w całość przez wiele miesięcy.

— A także sugestie aventińskiego szpiega? — dodał bez ogródek Akim.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł Daulo najspokojniej, jak potrafił.

Przez chwilę obaj mężczyźni gniewnie wpatrywali się w siebie.

— Niebezpiecznie ocierasz się o zdradę, Daulu Sammon — rzucił w końcu Akim. — Ty i cała rodzina Sammonów.

— Rodzina Sammonów jest wierna Qasamie — oświadczył Daulo, walcząc z drzeniem w głosie. — Całej Qasamie.

— A ja, jako człowiek z miasta, nie jestem? — Oczy Akima zapłonęły. — Pozwól, że ci coś powiem, Daulo Sammon. Być może uważasz, że kochasz Qasamę, ale lojalność, na jaką cię stać, blednie wobec mojej. My, śledczy Shahnich, jesteśmy nauczeni i ukształtowani w ten sposób, by postępować sprawiedliwie w naszych stosunkach z ludźmi Qasamy. Absolutnie sprawiedliwie. Nie można nas skorumpować ani odwieść od tego, co uważamy za nasz

obowiązek. I do nikogo na naszym świecie nie jesteśmy uprzedzeni. Jeśli masz zapamiętać jedną rzecz z tego, co ci powiedziałem, zapamiętaj właśnie to.

Wstał nagle, a Daulo mimowolnie cofnął się o krok. Ale Akim przeszedł po prostu pomiędzy łózkami i usiadł przy stole.

— A więc uważasz, że montowaliśmy części do raket, tak? — rzucił przez ramię, podnosząc telefon i odwracając go. — Istnieje szybki sposób, aby to sprawdzić.

Daulo podszedł i kucnął obok Akima, podczas gdy ten wyciągnął z kieszeni podręczny zestaw narzędzi i wybrał mały śrubokręt. Daulo zauważył, że spód telefonu przytwierdzało do wyprofilowanej obudowy z żywicy kilkanaście śrubek.

— Po co aż tyle zamocowań? — zapytał, kiedy Akim zabrał się do pracy.

— Kto wie? — mruknął Akim, odkręcając pierwszą śrubkę. — Może nie chcą, żeby ktoś grzebał w aparatach, dopóki nie wymagają napraw.

Akim odkręcał właśnie ostatnią śrubkę, kiedy Daulo poczuł swąd.

— Co to jest? — zapytał, ostrożnie wciągając nosem powietrze. — Jakby coś się paliło.

— Hmm. Rzeczywiście. — Marszcząc brwi, Akim uniósł telefon do nosa. — Oj...

— Zniszczyliśmy go?

— Chyba tak, sądząc po zapachu. Cóż... co się miało uszkodzić, już się chyba uszkodziło. — Usunął śrubę i ostrożnie zdjął dolną część obudowy.

Ukazała się płyta z obwodami... taka sama jak te, nad którymi przez cały dzień pracowali. Wszystkie te same części plus kłębowisko łączących je przewodów, plus...

— A to co takiego? — Wskazał na lekko poczerńnięte elementy. — Nie montowaliśmy tego na naszych płytach.

— Rzeczywiście, nie — zgodził się Akim. Zamyślił się na chwilę i ponownie podniósł płytę do nosa. — Wszystko jedno, co to jest, ale właśnie z nich wydobywa się ten zapach.

Daulo poczuł skurcz w żołądku.

— To znaczy... próbowaliśmy rozebrać telefon i to samo się spaliło?

Akim przysunął płytę bliżej i przyglądał się jej pod różnymi kątami.

— Spójrz — powiedział, unosząc kłębek przewodów i wskazując na coś poniżej. — O tu. Widzisz to?

Daulo próbował przypomnieć sobie, jak nazywa się ten element.

— Kondensator? — zaryzykował.

— Tak. A tu... — Akim wskazał poniżej kondensatora — ...jest to, co wyzwała zgromadzony w nim ładunek do tej części obwodu.

Żołądek Daula skurczył się jeszcze mocniej.

— To... tuż nad jednym z otworów na śruby.

— Hmm — skinął głową Akim. — Widać wyraźnie, że ta śruba nie przytrzymuje wcale telefonu. — Spojrzał na Daula. — To mechanizm autodestrukcyjny.

Daulowi zaschło w gardle i musiał przełknąć ślinę, żeby móc się odezwać.

— Czy jest jakiś sposób na sprawdzenie, do czego mogły służyć te spalone elementy?

— Nie teraz. I na pewno nie w tym aparacie. — Akim przyglądał się jeszcze przez chwilę płycie, po czym włożył ją z powrotem do telefonu i podniósł jedną ze śrub. — Będę musiał się dowiedzieć, gdzie kończą tę część montażu i wejść tam. — Zawahał się, robiąc dziwną minę. — Wiesz... telefony produkowane w Mangus przez ostatnie dwa, trzy lata są najbardziej nowoczesne ze wszystkich na Qasamie. Są bardzo popularne wśród najwyższych urzędników miejskich.

— Shahnich też? — zapytał Daulo.

— Shahnich też — skinął głową Akim. — Sam mam taki na swoim biurku... — Wziął głęboki oddech. — Nie wiem, co my tu mamy, Daulu Sammon, ale cokolwiek to jest, muszę to sprawdzić, i to szybko.

— Czy wezwiesz pomoc?

Akim rzucił mu ironiczne spojrzenie.

— Przez te telefony? — zapytał zjadliwie.

Daulo skrzywił się.

— Racja. Cóż... i tak prawdopodobnie wystarczyłoby szepnąć słówko właściwej osobie, by mnie stąd wyrzucić, więc jeśli chcesz przekazać mi wiadomość, zrobię wszystko, by osobiście dostarczyć ją Moffrenowi Omnathiemu.

— Nawet jeśli Radig Nardin postara się, żebyś nigdy więcej nie próbował dostać się do Mangus? — zapytał Akim.

Daulo oblizał wargi, wspomniawszy zbirów, którzy zaatakowali jego i Jin.

— A jak myślisz, co zrobią z nami, kiedy dowiedzą się, że wiemy o ich telefonach?

Akim odstawił telefon na stół i wstał.

— Jestem przedstawicielem Shahnich — powiedział dobitnie. — Nie odważą się mnie skrzywdzić.

Daulo nie mógł nic na to powiedzieć.

— Czy zamierzasz poszukać tej dodatkowej hali montażowej dzisiejszej nocy? — zapytał.

Akim zawahał się, wyglądając przez okno.

— Robi się późno... ale nie przypominam sobie, żeby mówili coś o tym, że nie wolno nam wieczorami opuszczać kwatery. — Odwrócił się do Daula. — Sądzę, że chcesz iść ze mną?

— Jeśli mogę. Chyba że mi nie ufasz.

Akim popatrzył na niego spokojnie.

— Mówiąc szczerze, nie ufam. Nie sądzę, żebyś był tym niewinnym świadkiem, na jakiego starasz się wyglądać. Dopóki nie zorientuję się, jaką grę prowadzisz, niechętnie będę cię widział za moimi plecami — Parsknął cicho pod nosem. — Lecz jeśli jesteś po przeciwnej stronie, ryzykuję tak samo, zostawiając cię tu. Lepiej mieć cię na oku.

Daulo skrzywił się.

— Czy jest coś, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, by cię przekonać, że nie jestem twoim przeciwnikiem?

— Chyba nie.

— W takim razie będziesz musiał zdecydować sam. Weź pod uwagę, że nie mogę jednocześnie zostać tu i iść z tobą.

Akimowi drgnęła warga.

— To prawda. — Wziął głęboki oddech. — W porządku. Chodź ze mną.

## Rozdział 13

Jin obudziła się nieco zaskoczona faktem, że wciąż jeszcze żyje.

Przez chwilę nasłuchiwała z zamkniętymi oczami. Wszędzie panowała cisza, jeśli nie liczyć dochodzącego z oddali szmeru urządzeń i wymuszonego obiegu powietrza. Nie było żadnych odgłosów oddechu poza jej własnym.

Oznaczało to, że pozostawili ją nie tylko żywą, ale samą.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że znajduje się w małym pokoju, o wymiarach może cztery na trzy metry. Był w nim tylko cienki materac, na którym spała, i nieco grubsza poduszka do siedzenia, leżąca w jednym z rogów. W suficie widniał otwór wentylacyjny, zbyt mały by mogło się przez niego przecisnąć coś większego niż kot. W jednej ze ścian znajdowały się metalowe drzwi.

Wstała ostrożnie. Nie kręciło jej się w głowie, nie czuła też żadnego bólu poza tym, że odrobinę dokuczał jej siniak, którego sobie nabiła uderzając głową o podłogę. Nie wiadomo, jak długo byłam nieprzytomna — pomyślała ponuro, żałując, że nie uruchomiła wcześniej zegara. Podeszła do drzwi, przyłożyła do nich ucho i włączyła wzmacniacze słuchu.

Z zewnątrz doszedł ją słaby szelest tkaniny ocierającej się o ciało, a potem kaszlnięcie.

Przynajmniej ocenili mnie na tyle wysoko, by zamknąć drzwi na klucz — pomyślała, uspokajając się nieco. Chociaż rozumiała, że rzekoma kobieca słabość pracuje na jej korzyść, tak niedbałe traktowanie przez przeciwników mimo wszystko napęłniało ją goryczą.

Kimkolwiek by nie byli.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie ostatnią podsłuchaną rozmowę. Obolo Nardin wiedział o katastrofie wahadłowca, wiedział, że pochodziła z innej planety, a także, że mieszkała w Milice z rodziną Sammonów. Czyżby Shahni ujawnili to publicznie? Czy może w Mangus faktycznie przeprowadzono jakąś operację rządową? Żadne z tych rozwiązań nie było szczególnie atrakcyjne.

A jednak... jeśli narkotyk, którym dmuchnęli jej w twarz, nie pomieszał całkowicie pamięci... czy nie obawiali się otwarcie ryzyka związanego z pobytem wśród nich agenta Shahnich?

To by sugerowało, że rzeczywiście ukrywali coś przed Shahnimi. Ale w takim razie skąd wiedzieli to, co powinni wiedzieć tylko Shahnimi?

Może Mangus było pionkiem w wewnętrznej walce pomiędzy Shahnimi? Może pilnie strzeżona działalność jednej ze stron miała na celu znalezienie sposobu na zwalczenie Światów Kobr?

Światy Kobr. Kobry. Mangus. Mangusta...

Boże nad nami.

Przez długą chwilę Jin stała bez ruchu, sparaliżowana strachem. Boże nad nami. Miała to cały czas przed oczami, a jednak udało jej się tego nie zauważyć. Mangusta...

Potrząsnęła gniewnie głową, wywołując ból w miejscu, gdzie znajdował się guz. Nie było jeszcze za późno, by naprawić błąd... przy założeniu, że wydostanie się z tego pokoju. Zacisnąwszy zęby, przykucnęła i przyjrzała się zamkowi w drzwiach.

Od razu było widać, że ten pokój nie został zaprojektowany do przetrzymywania więźniów. Drzwi zamknięto przez proste usunięcie wewnętrznego mechanizmu zamka i zaspawanie powstałego przy tym otworu metalową płytą.

Odsunęła się od drzwi i rozejrzała uważnie po pokoju. Nie znalazła żadnych ukrytych kamer, natomiast w ścianach mogły znajdować się niewidoczne, podpowierzchniowe mikrofony. Z nimi jednak potrafiła sobie poradzić. Bardziej palącym problemem było znalezienie jakiegoś narzędzia, którym mogłaby odgiąć płytę kryjącą zamek. Zdjąwszy but, eksperymentowała z obcasem. Nie był to przedmiot, którego naprawdę poszukiwała, ale musiał wystarczyć. Biorąc głęboki oddech, jedną ręką wklinowała obcas pod brzeg płyty, po czym uruchomiła laser w małym palcu drugiej ręki.

Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Najwyraźniej ktoś, komu powierzono zabezpieczenie drzwi, nie zamierzał zrobić na tym kariery, więc użył miękkiego metalu, który dał się przyspawać punktowo w ciągu kilku minut. Jeszcze mniej czasu zajęło Jin uwolnienie brzegów płytki i zmiękczenie pozostałej części na tyle, by można ją było podważyć. Najtrudniejsze okazało się czekanie, aż płytka wystygnie, ale drzwi dość dobrze pochłaniały ciepło, więc już po kilku minutach mogła zbliżyć się do nich na tyle, by zajrzeć do otworu.

Wewnątrz drzwi znajdował się prawdziwy labirynt drutów i urządzeń. Był to zamek elektroniczny. Znała tuzin szybkich sposobów na poradzenie sobie z takim mechanizmem, mogła go spalić, używając do tego miotacza energii elektrycznej albo przeciwpancerneho lasera. Niestety, metody te były niezwykle hałaśliwe, a wszczęcie alarmu przez stojącego na zewnątrz strażnika było ostatnią rzeczą, na jaką mogła w tej chwili pozwolić.

Na szczęście istniały bardziej subtelne rozwiązania. Zlokalizowanie solenoidów i zapadkowego rygla mechanizmu okazało się dość łatwe. Wcisnęła do otworu palec i odnalazła zasuwę, która blokowała rygiel, kiedy zamek był zatrzaśnięty. Jednym palcem odepchnęła ją na bok, dwoma innymi poruszyła rygiel, odsuwając go...

Uwolnione nagle drzwi bez żadnego skrzypnięcia poruszyły się lekko do wewnątrz na zawiasach. Prostując się, Jin włożyła z powrotem but i oblizała wargi. To było to. Włączywszy wielokierunkowy sonik, by zakłócić działające ewentualnie mikrofony, chwyciła paznokciami za krawędź drzwi i otworzyła je.

Dwaj strażnicy, stojący tyłem do niej, prawdopodobnie nawet się nie zorientowali, że coś się wydarzyło, kiedy Jin powaliła ich na miejscu impulsem z broni sonicznej. Chwyciła się framugi, w głowie dzwoniło jej echo impulsu, z trudem wysunęła się na korytarz. Popatrzyła wokół siebie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Po świetle wpadającym przez okno w korytarzu zorientowała się, że był już wczesny wieczór. Przespała cały dzień... Zacisnęła zęby i zabrała się za uprzątnięcie nieprzytomnych strażników.

Idąc korytarzem, za następnymi drzwiami znalazła małą, przeznaczoną dla jednej osoby umywalnię. Zaniósła tam strażników i usadowiła ich tak, aby zablokowali drzwi, kiedy je zamknie. Instruktorzy ostrzegali ją wielokrotnie, że okres utraty przytomności wywołanej bronią soniczną jest różny u poszczególnych osób. Nie można więc być dokładnie określić, kiedy strażnicy się obudzą, a Jin nie miała pod ręką niczego, czym mogłaby ich unieruchomić. Zostawała tylko nadzieja, że nie ockną się zbyt szybko.

Następny przystanek... okno w korytarzu. Chociaż słońce znajdowało się już sporo poniżej zachodniego muru Mangus, na baldachimie wciąż błyskały kolorowe tęcze. Widok przez okno upewnił Jin, że wciąż znajdowała się w tym samym budynku, do którego przyprowadzono ją rano.

Co wyraźnie sugerowało, gdzie ma zacząć badania...

Wewnątrz gmachu wciąż kręciła się grupka ludzi, ale przy względnej ciszy i włączonych wzmacniaczach słuchu kroki brzmiały na tyle wyraźnie, że Jin omijała ich z łatwością. Wędrowała kilka minut, parę razy skręciła nie tam, gdzie

należało, ale w końcu dotarła do holu, który prowadził do zdobionych drzwi gabinetu — sali tronowej Obola Nardina.

Kiedy po raz pierwszy przyprowadzono Jin przed oblicze Obola, nie zauważyła przed wejściem strażników. Teraz było podobnie, co sugerowało bardzo dobre zabezpieczenie elektroniczne samych drzwi, ale też strażnicy mogli ukryć się między zasłonami. Właśnie wychylała się zza rogu, kiedy usłyszała odgłos kroków, cofnęła się więc szybko.

Był to Radig Nardin.

Jin przygryzła wargę. Posłaniec, który przyprowadził ją przedtem do Obola, zaanonsował ich przez interkom znajdujący się obok drzwi i dopiero wtedy ktoś z wewnątrz wpuścił ich do środka. Ale wzięwszy pod uwagę qasamańskie obyczaje, nie wydawało się prawdopodobne, aby syn kierownika ośrodka w Mangus musiał stosować podobną procedurę. Powodowana nagłym przecuciem, włączyła teleskopy wzmacniaczy wzroku i wyostrzyła obraz wejścia.

Radig podeszedł do płyty i nacisnął sześć przycisków na klawiaturze, której Jin przedtem nie zauważyła, po czym otworzył drzwi.

Jin znajdowała się o krok od zamykających się drzwi, kiedy uświadomiła sobie, że wkradanie się do gabinetu Obola tuż za Radigiem byłoby niepotrzebnym ryzykiem. Ale nie zrezygnowała. Obolo miał zapewne w biurze taki system komunikacji, aby móc porozumiewać się na dowolną odległość, skoro więc chciał rozmawiać z Radigiem osobiście, być może warto było dowiedzieć się, co miał mu do zakomunikowania.

Podeszła do drzwi nie zauważona i wstukała na klawiaturze taki sam kod jak Radig. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że system mógł być wyczulony na linie papilarne, ale Obolo nie zwracał sobie głowy dodatkowymi udoskonaleniami i zamek otworzył się z cichym szczekiem.

Jin rozsunęła drzwi tylko na tyle, by móc się wślizgnąć do środka, po czym je zamknęła i natychmiast ukryła się za najbliższą zasłoną. Pokój wypełniała mgła. Jin niemalże zakrztusiła się, biorąc pierwszy oddech. Dym ze środków chemicznych — pomyślała, kiedy przypomniła sobie nienaturalnie błyszczące oczy Obola. Był to przypuszczalnie jeden z tych wspianiałych stymulatorów umysłu. Włączyła wzmacniacze słuchu, zsunęła buty i ruszyła ostrożnie śladem Radiga.

Przy drzwiach stało dwóch strażników, ukrytych za kotarami. Zorientowała się, że tam są, bo usłyszała ich oddechy. Z łatwością szła tropem Radiga i kiedy ten się zatrzymał, znajdowała się w odległości jednej zasłony od poduszkowego tronu Obola Nardina. Kucnąwszy za kotarą, wstrzymała oddech.



— Mój synu — powiedział Obolo dziwnie drażniącym głosem... być może był to kolejny objaw działania narkotyków.

— Mój ojciec. — Radig powitał w odpowiedzi starszego Nardina. — Przyniosłem wykaz ostatniej dostawy. Rozładunek już trwa. Transport specjalnych elementów do hali montażowej rozpocznie się, kiedy tylko zapadnie zmrok i wszyscy tymczasowi robotnicy zostaną zamknięci w swych pomieszczeniach.

Rozległ się znajomy szum i szczyknięcie magnetycznego dysku umieszczonego w czytniku... Obolo chrząknął.

— Dobrze. Czy zaczęli już pracować nad drugim systemem komputerowym?

— Nadal go przygotowują — wyjaśnił Radig, — Oceniają, że będzie gotowy za dwa dni.

— Dwa i jedna czwarta — mruknął Obolo. — Za każdym razem źle oceniają czas, który będzie im potrzebny.

— Być może tym razem... — Radig przerwał, kiedy z biurka dobiegł dźwięk gongu.

— Obolo Nardin — powiedział Obolo. Niewyraźna odpowiedź, niedostępna nawet wzmocnionemu słuchowi Jin... — Komenda — warknął gniewnie. — Wyznaczony rejestrator. Ostatnie nagranie,

Padło jeszcze wiele niewyraźnych słów, których Jin nie była w stanie zrozumieć, ale nawet nie widząc obu mężczyzn wyczuła nagłe napięcie po drugiej stronie zasłony.

Radig najwyraźniej też zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś ważnego.

— Co się stało? — zapytał spiętym tonem, kiedy ucichły głosy.

Obolo ze świstem zaczerpnął powietrza.

— Agent Shahnich, który przybył wraz z Daulo Sammonem, odkrył istotę Projektu Mangusta.

— Shahnich...? Czy wiesz na pewno, że on nim jest?

— Gdybym nie wiedział do tej pory, potwierdziłaby to jego ostatnia rozmowa z Daulem Sammonem — głos Obola uspokajał się, pobrzmiewając niemal znudzeniem. — Jego reakcja na środki działające na podświadomość zastosowane dzisiaj rano była w zasadzie jedynym dowodem, jakiego potrzebowałem.

Radig wyraźnie nie nadażał.

— Twierdzisz, że on wie? A skąd?

— Do jego odkrycia przyczynił się Daulo Sammon, który miał jakieś uroje-  
nie, że produkujemy tu rakiety. Podsunął agentowi pomysł rozkręcenia telefonu.  
Być może miałaś rację, powinniśmy byli usunąć stąd tego osadnika na samym  
początku.

— Ale mechanizm autodestrukcyjny...

— ... Oczywiście, zadziałał prawidłowo. Ale nie przypuszczałaś chyba ani  
przez chwilę, że to naprawdę pomogło, prawda? Zniszczone dowody rzeczowe  
są dla takich ludzi równie intrygujące jak dowody niezniszczone. Radig zaklął.

— Powinniśmy jak najszybciej wysłać do ich budynku strażników.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — Powtórzył Radig z niedowierzaniem. — Dlatego, że jeśli  
agent Shahnich przekaze tę informację przełożonym...

— Nie przekaze. — Obolo był niemal lodowato spokojny. — Mangus jest  
zamknięte przez całą noc, kazałem też odciąć wszystkie zewnętrzne połączenia  
telefoniczne z wyjątkiem tego budynku w chwili, kiedy agent zdradził dziś rano  
swoją tożsamość. Ciszej teraz, mój synu, pozwól mi pomyśleć.

Przez chwilę Jin wsłuchiwała się w bicie własnego serca. Stało się, jej najgor-  
sza obawa dotycząca penetracji Mangus sprawdziła się. Daulo znajdował się w  
śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jin z trudem panowała nad sobą; tak bardzo  
chciałaby móc wyskoczyć z ukrycia, przeciąć Obola i Radiga na pół przeciwpan-  
cernym laserem i wydostać stąd siebie i Daula...

— Tak — odezwał się nagle Obolo. — Już wiem. Zbierzesz mały oddział,  
mój synu... czterech ludzi... i zaprowadzisz ich do hali montażowej. Następnym  
krokiem agenta będzie próba odnalezienia kilku nieuszkodzonych specjalnych  
elementów, które mogłyby wywieźć z Mangus.

— Skąd będzie wiedział...

— Dzisiejszego ranka, kiedy zareagował na środki podprogowe i opuścił  
swoje miejsce wraz z osadnikiem, widział drzwi do hali montażowej. Będzie o  
tym pamiętał i tam pójdzie w pierwszej kolejności.

— Rozumiem. Czy mam kazać zabić ich na miejscu podczas próby włama-  
nia?

Dłonie Jin odruchowo przyjęły pozycję bojową: małe palce wyprostowane,  
kciuki spoczywające na paznokciach środkowych palców...

— Skądże — pogardliwie prychnął Obolo. — To sprowadziłoby innych  
Shahnich, którzy chcieliby się dowiedzieć, dlaczego jeden z ich sprawdzonych

agentów zniżył się do zwykłego złodziejstwa. Nie, mój synu, przyprowadź ich tu, żywych i nieuzbrojonych.

— Ale w końcu ich zabijemy, prawda? — niemal błagalnie zapytał Radig. — Wyćwiczony agent Shahnich nie pozwoli...

— Oczywiście, że nie zabijemy — odparł spokojnie Oboło. — Nie uczynimy niczego. Zrobi to za nas szpieg z innej planety.

## Rozdział 14

Drzwi do hali montażowej były zamknięte, ale dziwnie wyglądające narzędzie pochodzące z zestawu Akima rozwiązało problem.

— Dokąd teraz? — szepnął Daulo, kiedy wślizgnęli się do środka.

— Do tego pomieszczenia, które zauważyłem, kiedy... — Akim zacisnął usta.  
— Pamiętasz... na końcu korytarza tam gdzie instruktor nie chciał nas wpuścić?

— Tak — skinął głową Daulo, zerkając przez okno znajdujące się obok drzwi. Wskutek nalegań Akima doszli tu okreśną drogą. Przez ten czas wczesny zmierzch zamienił się w głęboki półmrok. — Co mam zrobić?

Akim minął go i zamknął z powrotem drzwi.

— Dobrze by było, gdybyś został — powiedział, nie całkiem zadowolony z własnej decyzji. — Tymi drzwiami mogą wejść ewentualni goście. Jeśli zobaczysz, że ktoś nadchodzi, zagwizdź.

— Zagwizdać?

— Gwizd niesie się wewnątrz budynku równie dobrze jak krzyk, ale jest mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanie usłyszany na zewnątrz — wyjaśnił krótko Akim. — Bądź uważny — dodał i poszedł.

Daulo nasłuchiwał oddalających się kroków, próbując nie zwracać uwagi na ogarniającą go panikę. A więc Jin się myliła. To nie były rakiety... a może były? Wciąż jeszcze pozostawała odgradzona murem część Mangus, o której nie wspominał nigdy żaden z instruktorów.

Ale w takim razie o co chodziło z tymi telefonami?

Pukanie w okno niecałe dziesięć centymetrów od jego twarzy o mało nie rzuciło go na drugą stronę korytarza. Boże nad nami! — Zachwiał się, starając się odzyskać równowagę... próbował zagwizdać drżącymi ustami...

— Daulo! — szept zza szyby był ledwo uchwytny. Drżąc na całym ciele, Daulo przysunął się z powrotem do okna.

To była Jin.

Z trudem łapiąc oddech, Daulo podszedł do drzwi i otworzył je.

— Jin... Boże nad nami, ale mnie przestraszyłaś...

— Zamknij się i słuchaj — mruknęła. Otarła się o niego, kiedy podchodziła, by wyrzucić przez okno. — Obolo Nardin wie wszystko o tobie i twoim przyjacielu Shahnim. Radig Nardin ma zebrać oddział strażników, który przyjdzie was zabrać.

Daulo poczuł, że szczęka mu opada.

— Tu? Ale skąd wiedzieli, że tu przyjdziemy?

— Obolo to wydedukował. Chyba jedzie na jednym z tych stymulatorów umysłu, za którymi wy, Qasamanie, tak przepadacie. — Jin odwróciła się z powrotem do okna. — Na razie ani śladu po nich... Radigowi pewnie się wydaje, że nie ma pośpiechu. Gdzie twój przyjaciel Shahn?

— Miron Akim poszedł dalej korytarzem. — Wskazał kierunek. — I wcale nie jest moim przyjacielem.

— W każdym razie idź po niego... będzie martwy, jeśli Radig go tam złapie. Jeżeli uda nam się ukryć was gdzieś do momentu, kiedy będziecie mogli opuścić Mangus...

— Poczekaaj chwilę, musimy najpierw porozmawiać. Myślę, że się myliłaś co do tych rakiet. Tu chodzi o coś innego. Oni kombinują coś z telefonami. Syknęła przez zęby.

— To nie zabawa, Daulo. Wydaje mi się, że na całej Qasamie instalują systematycznie telefony z pluskwami.

— Pluskwami?

Daulo zmarszczył brwi.

— Wyposażone w mikrofony. Urządzenia podsłuchowe.

— Boże nad nami — mruknął Daulo,

Akim mówił, że telefony produkowane w Mangus są bardzo popularne wśród najwyższych urzędników miejskich — przypomniał sobie Daulo. — A także wśród Shahnich.

— Ale nawet z mikrofonami, te telefony... Boże nad nami... system telefonów dalekiego zasięgu — dodał.

Jin skinęła ponuro głową.

— Tak, właśnie o to chodzi. Wasz cudowny, niewykrywalny, podziemny falowód został obrócony przeciwko wam. Jest idealny do tego rodzaju rzeczy.

Daulo zacisnął zęby aż do bólu. Miała rację. W zasadzie każdy telefon w Wielkim Łuku był podłączony do falowodu znajdującego się pod powierzchnią planety. Podsluchiwanie rozmów, kopiowanie ich i przesyłanie tych kopii z powrotem do Mangus było dziecinnie łatwe.

A osady, leżące na zachód od Azras, pozostały jedynymi odpornymi na tę inwigilację. Czyżby był to jeden z powodów, dla których tak usilnie starali się nie wpuścić go do Mangus?

— Milika jest w niebezpieczeństwie — wymamrotał.

— Cała Qasama jest w niebezpieczeństwie — odparowała Jin. — Czy tego nie rozumiesz, Daulo? Kiedy ten system będzie gotowy, jeżeli już nie jest, Mangus będzie miało dostęp praktycznie do każdego połączenia i przekazu danych na tej planecie. A ten rodzaj informacji daje nieograniczoną władzę.

Daulo potrząsnął głową, marszcząc czoło w zamyśleniu.

— Ale tylko jeśli będą w stanie wyłować interesujące ich informacje. A im więcej zainstalują mikrofonów, tym więcej będą mieli pracy, by je wyselekcjonować.

Nawet w tym mdłym świetle Daulo zauważył grymas na twarzy Jin.

— Domyślam się, w jaki sposób muszą sobie z tym radzić — powiedziała z ociąganiem. — W tej chwili jednak zagraża nam bardziej bezpośrednio niebezpieczeństwo. Wydaje mi się, że usiłują stworzyć armię, złożoną z tymczasowych robotników. Czy Miron Akim nie zachowywał się dziwnie dziś rano? Obolo Nardin wspominał o tym.

— Tak... powiedział, że czuje zdradę w hali montażowej. Wyszliśmy na kilka minut, a potem czuł się już dobrze.

— Przypuszczalnie dlatego, że to wyłączyli. Słyszałeś kiedyś o środkach podprogowych?

Daulo zacisnął zęby. Zdrada...

— Tak — odetchnął. — Łącząc słaby gaz hipnotyzujący z niesłyszalnym przekazem słownym można podobno wywołać w nastawieniu człowieka drobne zmiany.

— Nie stosujemy niczego takiego na Aventinie, ale teoria jest nam dobrze znana — skinęła głową Jin. — Czy tutaj jest to powszechne?

— Słyszałem tylko, że używa się tego jako ostatecznej metody w przypadku notorycznych przestępców. Podobno nie jest to aż tak bardzo skuteczne.

Nagle kolejny element układanki znalazł swoje miejsce.

— Oczywiście... tymczasowi robotnicy. Dlatego właśnie nieustannie zatrudniają nowych ludzi. Starają się poddać swoim eksperymentom jak najwięcej ludzi z Azras.

— Z Azras i Purmy — mruknęła Jin. — Kiedy wjeżdżaliśmy tu dziś rano, widziałam wypełnione autobusy wracające do Purmy. Zatrudniają siłę roboczą z obu miast na przemian, w nadziei, że żadne z nich nie zauważy, co robią.

— Tak. Myślisz, że znaleźli sposób na wzmocnienie środków podprogowych na tyle, by zmuszały ludzi do zdrady?

— Nie wiem. — Jin potrząsnęła głową. — Mam nadzieję, że próbują tylko wywołać niezadowolenie wśród miejskiej biedoty. Wziąwszy pod uwagę waszą obecną sytuację polityczną, to mogłoby wystarczyć.

Daulo skinął głową, czuł zimno na całym ciele.

— Boże nad nami. Musimy powiedzieć o tym Shahnim

— Nie żartuj... chciałabym zasugerować ci pierwszy krok: zgarnij swojego przyjaciela i zabierajmy się stąd Radig Nardin może zjawić się w każdej chwili, a jeśli nas znajdzie, prawdopodobnie nie będę miała innego wyjścia i będę musiała go zabić. — Ponownie nachyliła się, by spojrzeć przez okno.

Daulo wzdrygnął się. Fakt, że automatycznie uznała, kto zwyciężyłby w takim starciu...

— Dobrze, w porządku, pójdę po...

— Za późno. — Jin wyjrzała przez okno i wysyczała przez zęby jakieś przekleństwo. — Idą.

Głupia — besztła samą siebie w myślach. Tak, te informacje wystarczyłyby Shahnim i Daulo był najodpowiedniejszą osobą, aby im je dostarczyć. Ale mimo wszystko najpierw powinna była wydostać stąd jego i Mirona Akima.

Zaciskając zęby, rozejrzała się po korytarzu. Nie miała pod ręką niczego, czym mogłaby walczyć, niczego, co mogłoby realnie pomóc Daulowi pokonać pięciu uzbrojonych mężczyzn bez zabijania ich. A to Daulo musiał się bić. Gdyby Akim odkrył, że Daulo rozmawiał z Jin, prawdopodobnie postawiłby całą rodzinę Sammonów przed sądem i oskarżył o zdradę.

Jej wzrok spoczął na gniazdku elektrycznym. Chyba że... nie zorientują się, kto z nimi walczy... Ludzie Radiga byli już przy drzwiach.

— W porządku — mruknęła do Daula. — Idź tam, na drugą stronę korytarza i zakryj oczy. Zakryj je starannie.

— A co potem? — zapytał Daulo, zmierzając posłusznie na miejsce, które wskazała, zakrywając oczy przedramieniem.

— Jeśli szczęście nam dopisze, przyciągniesz ich uwagę i nie będą mieli szansy mnie zobaczyć. Nie było mnie tu... rozumiesz? Jeśli ktokolwiek zapyta, powiedz, że poradziłeś sobie z nimi sam. — Wzmacniacze słuchu odbierały już odgłosy kroków na zewnątrz. — Przygotuj się. Już idą.

Przywarła do ściany w rogu tuż za drzwiami, namierzyła na celowniku gniazdko elektryczne i uniosła prawy palec, by przygotować się do oddania strzału...

Drzwi otworzyły się nagle.

— No, no — mruknął ironicznie Radig Nardin, wchodząc bez pośpiechu do korytarza. — Kogo my tu mamy?... Jeden z naszych godnych zaufania pracowników nie może doczekać się jutrzejszej pracy? Opuść tę głupią rękę, Daulo Sammon...

Kiedy ostatni strażnik przekroczył próg, Jin zacisnęła powieki i strzeliła z miotacza energii elektrycznej.

Mimo że miała zamknięte oczy, błysk był silny, oślepiająco jasny. Ktoś sapnął, ktoś inny rzucił przekleństwo... Jin znalazła się pomiędzy ludźmi Radiga.

Pięciu chwilowo całkowicie oślepionych mężczyzn nie miało żadnych szans w walce z przeciwnikiem, który doskonale widział, a jego ciosy wspierały układy wspomagania. Padali jak niezgrabnie poruszające się manekiny treningowe.

Ostami odgłos padającego ciała wciąż brzmiał echem w uszach Jin, kiedy usłyszała westchnienie dochodzące z miejsca, w którym stał Daulo.

— Boże nad nami — sapnął. — Jin... ty...

— Nie, to wszystko twoja zasługa — warknęła. Drzwi wciąż były otwarte; zerknąwszy na zewnątrz, zaczepiła czubkiem stopy o krawędź i zamknęła je. — Nie zapominaj o tym. To mogłoby cię kosztować życie.

Daulo wziął głęboki oddech.

— W porządku. — Przełknął ślinę i odetchnął raz jeszcze. — Lepiej już ruszaj... Miron Akim z pewnością wszystko słyszał.

— Wiem — odparła z wahaniem Jin. Wiele jeszcze miała mu do powiedzenia, ale na razie nie było na to czasu. — Ty i Akim także powinniście uciekać.



Jeżeli uda wam się wydostać z Mangus, zanim zorientują się, że was nie złapali, powinniście być uratowani.

— A co z tobą? Nie pójdziesz z nami?

— Nie martw się. Będę tuż za wami — zapewniła. — Muszę najpierw coś sprawdzić, ale potem wrócę z wami do Azras. Albo za wami... nie chcę, żeby Miron Akim mnie zobaczył.

Daulo zacisnął zęby.

— Dobrze. Powodzenia.

— Powodzenia i pamiętaj, żeby w Azras nie korzystać z telefonów.

Z korytarza dał się słyszeć słaby odgłos kroków.

— Bądź ostrożny — szepnęła.

Otworzyła drzwi, rozejrzała się i wyślizgnęła z pokoju.

Pusto. Przesunęła się za róg, aby nie zobaczyli jej wychodzący Daulo i Akim. Przykucnęła pod ścianą i nieco swobodniej rozejrzała się po okolicy. W pobliżu środka czarnego muru dzielącego Mangus na połowy od czasu do czasu coś się poruszało, podobnie też wokół kompleksu mieszkalnego przytulonego do muru. Poza tym nie działo się nic szczególnego. Włączywszy teleskopy wzmacniaczy wzroku, Jin skupiła uwagę na murze.

Był za wysoki, by mogła na niego wskoczyć... to oceniła od razu. O ponad połowę przewyższał trzypiętrowe budynki stojące w pobliżu. Znajdował się więc przynajmniej o metr poza zasięgiem serwowatorów nóg. Nauczono ją wielu technik wspinaczki, ale wszystkie wymagały istnienia chwytów i stopni powierzchni, po której miałyby się wspinać, a krótkie oględziny muru nie wypadły specjalnie obiecująco. Mogłaby użyć drabiny lub haków, aby sforsować zbrojoną bramę, ale ich nie miała, trzecia możliwość natomiast... Była najprostszym sposobem dostania się do środka i przez długą chwilę Jin poważnie się nad nią zastanawiała. Radig Nardin wspominał o transporcie materiałów. Skoro więc i tak mieli otwierać bramę, wystarczyło przebrać się odpowiednio i wejść.

Pozostał tylko jeden problem. Jej zestaw maskujący znajdował się dwadzieścia kilometrów na południe od Azras, w samochodzie Daula. Poza tym, jeżeli jej podejrzenia były słuszne, Obolo wtajemniczył w całą sprawę jedynie garstkę najbliższych członków rodziny. Każdy obcy, który próbowałby dostać się do środka, zostałby natychmiast schwytany. Jakiś ruch po prawej stronie zwrócił jej uwagę. Daulo i jego towarzysz szli z wymuszoną obojętnością w kierunku bramy,

którą ona i Radig wjechali do Mangus tego ranka. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zakraść się przed nich i przetrzeć szlak.

Ale gdyby ich ucieczka została wykryta, dowody, których potrzebowała Jin, mogłyby w dosłownym tego słowa znaczeniu pójść z dymem. A poza tym Daulo miał teraz nowego obrońcę. Mogła mieć tylko nadzieję, że Shahni wybierali na swoich agentów ludzi kompetentnych.

Biorąc głęboki oddech, pobiegła skulona w poprzek dziedzińca w stronę muru.

## Rozdział 15

Na dziedzińcu kompleksu mieszkalnego trwała cicha krzątanina. Mieszały się głosy kobiet, dzieci i mężczyzn. To na pewno stali robotnicy — pomyślała Jin, skradając się ostrożnie po dachu. — Jeżeli obowiązują tu te same zwyczaje co w Milice, są nimi członkowie rodziny Obola Nardina, godni zaufania, na których można polegać, i być pewnym, że zignorują dziwne odgłosy dochodzące zza górującego nad nimi muru.

Choć przypuszczalnie nie zignorowaliby nietypowych odgłosów dochodzących bezpośrednio znad głów. Wydawało jej się, że nikt niczego nie usłyszał, kiedy wskoczyła na dach, jej sylwetka była widoczna na tle rozciągniętego nad nimi baldachimu i wystarczyłoby, żeby ktoś stojący na dziedzińcu spojrzął w górę... Jin zacisnęła zęby, skuliła się jeszcze bardziej i skupiła na utrzymaniu równowagi.

Dotarła bez przygód do odległego krańca zespołu budynków, ale okazało się, że nie zyskała aż tyle, ile się spodziewała. Jej dalmierz oceniał odległość do szczytu muru na osiem metrów w poziomie i sześć w pionie. Bez rozbiegu, na niepewnej podstawie, mogło być ciężko. Cofnąwszy się o krok, odzyskała równowagę i skoczyła.

Udało się, ze skąpym zapasem kilku centymetrów. Nanokomputer spowodował, że złożyła się jak scyzoryk w pozycji horyzontalnej, tak aby uderzając o gładką ceramiczną powierzchnię, przyjąć wstrząs na nogi. Jej palce wystrzeliły do przodu, mocno chwyciły krawędź i przez kilka chwil Jin wisiała bez ruchu, nasłuchując odgłosów świadczących o tym, że została dostrzeżona. Ale na dziedzińcu panowała cisza. Podciągnęła się do pozycji leżącej, przywarła do muru i spojrzała w dół znad krawędzi.

Okazało się, że miała rację.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Mangus — pomyślała; na wspomnienie własnej głupoty gorycz spowodowała skurcz żołądka. — Mangus. Mangusta. Całkowicie oczywista i naturalna nazwa dla grupy uznającej siebie za qasamańską odpowiedź na zagrożenie ze strony Kobr. Ona i Kruin Sammon —

oboje uchwycili znaczenie tej nazwy, nawet do tego stopnia, że się o nią spierali... i w całym tym zamieszaniu obojgu udało się pominąć jeden mały szczegół.

To, że nikomu na Qasamie nie przysłoby do głowy nazwać takiej grupy Mangusta... ponieważ nikt na Qasamie nie słyszał, żeby nazywano znienawidzonych diabelskich wojowników Kobrami.

Do tej pory.

Statek Troftów stojący w dole był widoczny tylko w połowie. Jego długa szyja zniknęła w budynku naprawczym zbudowanym w stylu Troftów, a widok na dysze głównego napędu, znajdujące się na rufie, zasłaniało przysadziste urządzenie załadunkowe podobne do wieży obłączniczej. Ale Jin widziała wystarczająco wiele, by zauważyć, że brakowało przypominających atramentowe kleksy i promieniste słońca oznaczeń identyfikujących domenę.

Na dole poruszały się jakieś postacie... przeważnie Troftowie, ale także garść ludzi. Jeśli Troftowie nie zadali sobie trudu, by usunąć takie same znaki rozpoznawcze ze swych strojów... Szybkie teleskopowe zbliżenie pokazało, że to zrobili. W takim razie może coś na dziwnie wyglądającym budynku mieszkalnym po drugiej stronie dziedzińca, gdzie stał statek? Spojrzała w tamtym kierunku...

I nagle rozległo się tuż za nią wycie alarmów.

Odruchowo przywarła do muru, klnąc pod nosem, podczas gdy część Mangus, gdzie przebywali ludzie, eksplodowała feerią świateł. Jej wzmacniacze światła wyłączyły się automatycznie na skutek silnego blasku, Zaciskając szczęki, Jin włączyła dla kompensacji wzmacniacze słuchu. Jej przeciwnicy mieli przewagę liczebną, ale jeśli wypatrzy ich, zanim zaczną strzelać, będzie mogła ich wyeliminować, nim zdążą jej poważnie zaszkodzić.

Wyćwiczone reakcje pozwoliły opanować chwilową panikę. Zorientowała się, że reflektory nie były skierowane na nią. W rzeczywistości ustawienie wielu przymocowanych do muru metr niżej lamp pozostawiało ją we względnej ciemności. Uniosła głowę na kilka centymetrów, włączyła teleskopy wzmacniaczy wzroku i penetrowała dziedziniec w poszukiwaniu powodu tego zamieszania.

Nietrudno było go odnaleźć. Sześciu uzbrojonych ludzi prawie wlokło Daula i lekko utykającego Akima. Zbliżali się od strony zewnętrznej bramy.

Jin zacisnęła zęby z wściekłości. Powinam była iść z nimi — pomyślała gorzko. Przez długą chwilę obserwowała całą grupę, zmierzającą do centrum administracyjnego. Przez głowę, niczym tornado, przelatywały jej setki pomysłów na uratowanie ich. Po chwili odetchnęła. Starła się ostudzić nieco

emocje. W porządku, dziewczyno, wystarczy tego. Uspokój się i przemyśl to wszystko.

Daulo i Akim zostali złapani. W porządku. Obolo Nardin dowie się wkrótce, że odkryli jego tajemnicę, co i tak już podejrzewał. Skoro żaden z nich nie uciekł ani w jakikolwiek inny sposób nie naruszył bezpieczeństwa Mangus, Obolo nie będzie miał powodu do paniki. Oznaczało to, że nieuniknione przesłuchanie będzie przypuszczalnie prowadzone względnie bez pośpiechu, a także że statek Troftów nie ucieknie przedwcześnie w przestrzeń po wyładowaniu zaledwie połowy towaru.

Dopóki Obolo nie odkryje, że szpieg z innej planety uciekł.

Niech to diabli — zakłęta w duchu.

Jin przygryzła wargę, starając się wymyślić alternatywne rozwiązanie... ale takowe nie istniało. Nie istniało, jeśli chciała, aby Daulo przeżył następną godzinę. A sam pomysł nie był aż tak szalony, jak mógł się wydawać na pierwszy rzut oka. Obolo był cwany, ale mimo wszystkich swoich chemicznie stymulowanych zdolności umysłowych nie znał jednego kluczowego faktu... i dopóki uważał Jin za zwykłą Aventinkę, ona i Daulo mieli szansę.

Reflektory zalewające dziedziniec były nadal włączone, ale ruch przy bramie zanikał. Więźniowie i ich strażnicy maszerowali drogą w kierunku centrum administracyjnego. Czołgając się, Jin przesunęła się do przodu i zatrzymała pomiędzy dwoma zamontowanymi na murze reflektorami. Miejsce poniżej nie było całkiem ciemne, ale nie znalazłaby niczego lepszego. Rozejrzała się po raz ostatni, zsunęła z muru, zawisła na chwilę na rękach, po czym zeskoczyła.

Sapnęła, kiedy zderzenie z ziemią wywołało kłujący ból w lewym kolanie.

— Niech to diabli! — syknęła pod nosem, przeturlała się niezgrabnie do pozycji siedzącej, chwytając mocno za nogę.

Przez moment bała się, że wyposażenie Kobry zawiodło i jednak zwichnęła czy nawet złamała staw. Ale w końcu ból zaczął ustępować i po chwili wstała ostrożnie i utykając zaczęła przemieszczać się w kierunku centrum administracyjnego.

Nie wymyśliła jeszcze, jak przejdzie tak duży, jasno oświetlony obszar, tak aby nikt jej nie zauważył, ale na szczęście ten problem rozwiązał się sam. Zrobiła zaledwie kilka kroków, zanim światła nagle zgasły, z powrotem pogrążając dziedziniec w ciemnościach. Zabawa skończona, proszę państwa, wszyscy do łóżek — pomyślała, przyspieszając kroku. Usiłowała biec czymś w rodzaju

synkopowanego truchtu. Gdyby tak ta nowo powstała strefa bezpieczeństwa rozciągała się aż do centrum administracyjnego...

O dziwo, tak było.

Co dziwniejsze, rozciągała się też na niższe piętra budynku, w którym znajdowała się jej cela. Chociaż, kiedy się nad tym zastanowiła, stało się jasne, że wstępne przesłuchania odbędą się na górze w sali tronowej Obola. Miała nadzieję, że Daulo nie wspomni o niej w opowieści, którą wymyślą wraz z Akimem.

Obezwładnieni strażnicy wciąż leżeli nieprzytomni w umywalni, gdzie ich zostawiła. Na wszelki wypadek Jin potraktowała każdego z osobna salwą z broni sonicznej, po czym zaniósła ich z powrotem na ich stanowiska. Obejrzawszy pobieżnie drzwi do celi, uniosła palec i wypaliła efektowny, lecz płytki łuk dookoła zamka. Nie za dużo — ostrzegła samą siebie. — Pamiętaj, że twojemu rzekomemu oswobodzicielowi nie udało się zbyt wiele zdziałać. Kiedy Obolo wyśle kogoś, by do niej zajrzał, a w końcu to nastąpi, musi być jakieś prawdopodobne wyjaśnienie, dlaczego strażnicy są nieprzytomni, a Jin nadal pozostaje uwięziona. Do jakiegokolwiek wniosku dojdzie Obolo, powinna móc wykorzystać to na swą korzyść. Taką miała nadzieję.

W minutę później znalazła się z powrotem w swojej celi i zamknęła drzwi za pomocą odsłoniętego mechanizmu. Ponowne umieszczenie metalowej płyty na miejscu było nieco bardziej kłopotliwe, ale po podgrzaniu jej laserami mogła wygładzić ją na tyle, by nie zostały jakiegokolwiek ślady wskazujące na to, że była kiedykolwiek zdjęta.

Potem pozostało już tylko czekać. "Pozwolimy szpiegowi z innej planety zabić ich za nas" — powiedział Obolo swemu synowi. Jin nie miała pojęcia, jak zamierzali tego dokonać, ale jeśli chciał to zrobić, powinien przynajmniej umieścić Jin, Daula i Akima w tym samym pomieszczeniu zanim zostaną zabici. Modliła się, aby jej przypuszczenia się sprawdziły.

— W imieniu Shahnich — zaintonował oficjalnie Akim. — Niniejszym oskarżam was o zdradę Qasamy. Wszyscy obecni są zwolnieni z przysięgi wierności wobec innych i nakazuję im poddać się mej władzy.

Dobre przemówienie — pomyślał Daulo. Wypowiedziane z właściwą kombinacją rozkazującego tonu i słusznego gniewu.

Bez wątplenia zabrzmiałoby to jeszcze lepiej, gdyby on i Akim nie klęczeli ze skutymi z tyłu rękami.

Obolo, usadowiony na poduszkach, ze znużeniem uniósł brew.

— Dobrze, że starasz się zachować swą godność, Mironie Akimie — powiedział chrapliwym głosem. — A więc wypowiedziałeś wymagane słowa. Teraz podaj mi przyczynę, dla której oskarżasz moją rodzinę o zdradę.

Akim skrzywił się.

— Czyli innymi słowy mam powiedzieć, co Shahni wiedzą o twojej zdradzie? Nie bądź głupcem.

Oboło zachichotał, nie był jednak zadowolony.

— Coraz lepiej. Teraz usiłujesz zasiać we mnie ziarno wątpliwości, czy moje plany nie są znane poza murami Mangus. Niestety twe wysiłki są daremne. Zapominasz, że wiem dokładnie, co Shahni o mnie wiedzą... Nie wiedzą nic.

Za nimi powstało jakieś poruszenie. Daulo zaryzykował i odwrócił głowę od Obola Nardina, za co jeden ze strażników uderzył go w twarz. Zdążył jednak zauważyć, że do sali wprowadzono chwiejącego się Radiga.

Daulo skupił się ponownie na Obolu, ale nie widać było, by ten przejął się stanem zdrowia syna.

— I cóż, Radigu Nardinie? — zapytał. — Wysłano cię, abyś ich zatrzymał. Czemu zawiodłeś?

Radig minął obu więźniów, rzucając im jadowite spojrzenia

— Zaskoczyli mnie, mój ojciec. Jeden ze strażników, który był ze mną, może nie przeżyć tej nocy.

— Czyżby? — głos Obola był zimny. — Czy więc nie wystarczyło pięciu przeciwko dwóm?

Radig wytrzymał spojrzenie ojca.

— Nie, mój ojciec. Nie przeciw dwóm, uzbrojonym w przyrządy z innej planety.

Daulo poczuł skurcz w żołądku.

— Wyjaśnij — nakazał Oboło.

Radig skinął jednemu ze swych ludzi, który wysunął się do przodu i uczynił znak szacunku.

— W korytarzu, w którym zaatakowano panicza Nardina, znaleźliśmy przypalone ślady dookoła gniazdka elektrycznego. Gniazdko też było spalone — powiedział. — Najwyraźniej było to źródło tego jasnego błysku, który został przeciwko niemu wykorzystany.

— W rzeczy samej. — Obolo przerzucił wzrok na innego mężczyznę stojącego obok. — Przyrowadź tę kobietę z innej planety.

Tamten skinął głową i wyszedł pospiesznie. Daulo poczuł, że Akim sztywnieje.

— O co chodzi z tą kobietą z innej planety? — zapytał ostrożnie,

— Mamy tego aventińskiego szpiega, którego szukałeś — powiedział spokojnie Obolo. — Jest naszym więźniem od dzisiejszego ranka.

Akim trawił tę informację.

— W takim razie być może czyny, których dokonałeś dzisiejszego wieczoru, mogą jeszcze zostać darowane, Obolu Nardinie — zasugerował powoli. — Shahnim bardzo zależy na odnalezieniu i przesłuchaniu tego szpiega. Jeśli wydasz ją mnie, jestem pewien, że inne problemy pomiędzy tobą a Shahnimi... dadzą się załatwić.

Daulo wstrzymał oddech... ale Obolo tylko się uśmiechnął.

— Zawiodłem się na tobie, Mironie Akimie. Przemawia przez ciebie kłamstwo. Jednakże... — uniósł palec — ...na tyle ci pozwolę, będziesz miał szansę przesłuchać szpiega, zanim go zabijemy.

Akim nie odpowiedział.

— A ty, Daulu Sammon — powiedział Obolo, zwracając oczy na Daula.

Błyszczące oczy, zauważył Daulo, czując ucisk w gardle. Jin miała rację, ten człowiek był pod wpływem stymulatorów umysłu.

— Dlaczego interesuje cię Mangus?

Daulo rozważył wymyślenie jakiegoś kłamstwa, ale ocenił, że na nic to się nie zda.

— Z tych samych powodów, dla których każdy rozsądny Qasamanin interesowałby się siedliskiem zdrady — powiedział gniewnie. — Przybyłem dowiedzieć się, co tu robisz i powstrzymać cię.

Obolo wpatrywał się w niego przez długą chwilę.

— Nie jesteś jeszcze pokonany, prawda, Daulo Sammon? — powiedział w końcu w zamyśleniu. — Twój przyjaciel natomiast tak, chociaż ma jeszcze nadzieję na ratunek. Ale ty nie. Dlaczego? Czyżbyś po prostu nie rozumiał, co jest stawką w tej grze?

Daulo potrząsnął głową w milczeniu.



— Odpowiadaj! — parsknął Radig, podchodząc do niego niebezpiecznie blisko.

— Spokój, mój synu — uspokajał go Obolo. — Daulowi wydaje się, że posiada jakiś sekret. Czymkolwiek to jest. wkrótce odkryjemy prawdę.

Nagle pochylił się do stołu i nacisnął jakiś przycisk.

— Tak?

Z miejsca w którym klęczał, Daulo nie mógł zrozumieć słów Obola, ale wyczuł napięcie w jego głosie. Obolo uśmiechnął się zaciskając usta.,.

— Interesujące, choć nie całkiem niespodziewane. Zaalarmujcie wszystkie strażnice i przeszukajcie cały teren. — Oparł się z powrotem na poduszkach i zerknął na Radiga. — Tak jak mówiłem, mój synu, sekret Daula Sammona należy teraz do nas. Wygląda na to, że ta kobieta nie była jedyną, która ocalała z katastrofy statku kosmicznego.

Ręka Radiga powędrowała do rękojeści pistoletu przypiętego do pasa.

— Uciekła?

— Jej wspólnik nie był na szczęście aż tak kompetentny — powiedział Obolo, przenosząc wzrok z powrotem na Daula. — Lub być może wysłała go z jakimś poleceniem. Czy powiedziała mu przez drzwi, że potrzebujesz pomocy?

— Jeśli sugerujesz, że mógłbym współpracować ze szpiegiem z innej planety... — zaczął Daulo.

— To już nie ma znaczenia — przerwał mu zimno Obolo. — Chyba że dla ciebie, Może uda ci się kupić sobie bezbolesną śmierć, jeśli powiesz nam, gdzie jest ten drugi obcy.

Po plecach Daula przebiegł dreszcz.

— Nie wiem, o czym mówisz — warknął.

Obolo wzruszył ramionami,

— Jak powiedziałem, to w zasadzie nie ma znaczenia.

Przez minutę w sali panowała cisza. Daulo starał się równo oddychać i zachować spokój. Czy Jin mogła go okłamać mówiąc, że tylko ona przeżyła? Nie, nie zrobiłaby czegoś takiego. Cokolwiek się działo, jakiegokolwiek dowody znaleźli ludzie Obola, lub wydawało im się, że znaleźli, Jin panowała nad sytuacją. Życie jego i Akima i być może przyszłość całej Qasamy znajdowała się teraz w jej rękach.

Była to pocieszająca myśl. Co dziwniejsze, nie towarzyszyła jej ani odrobina oburzenia.

Zza zasłony doszedł go dźwięk otwierających się drzwi. Tym razem powstrzymał chęć odwrócenia się w tamtym kierunku. W chwilę później w polu widzenia pojawiła się Jin wraz z eskortą.

Jej wygląd był wstrząsający. Skulona, głowę miała schowaną w ramionach, widać było, że drży, kiedy na wpeł prowadzono, na wpeł wleczono ją w stronę Obola. Sprawiała wrażenie prostej, wiejskiej dziewczyny, przypadkiem wciągniętej w przerażające, całkowicie niezrozumiałe dla niej sprawy. Jak gdyby Jin Moreau, którą poznał, nigdy nie istniała. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wypróbowali na niej jednego ze swych narkotyków.

Zaraz potem mignął mu wyraz jej oczu, kiedy cofnęła się przed Obolem...

Niestety Obolo też to zauważył.

— Twe aktorstwo jest zabawne, ale bezużyteczne, kobieto — powiedział głosem pełnym pogardy. — Znakomicie zdaję sobie sprawę, że nie jesteś bezbronną Qasamanką. Możesz zacząć od powiedzenia mi, kim jesteś.

Jin wyprostowała się powoli, strach opuścił ją całkowicie.

— To nie twoja sprawa — stwierdziła spokojnie — ale nazywam się Jasmine Moreau.

Dauio poczuł, że Akim drgnął.

— Znasz ją? — wymamrotał.

— Znamy jej rodzinę — mruknął w odpowiedzi Akim. — Jest... dość zawzięta.

Daulo spojrział na górujących nad nimi strażników.

— To dobrze — mruknął.

Akim parsknął cicho.

Obolo zerknął na Akima i popatrzył z powrotem na Jin.

— Przypominam sobie nazwisko twojej rodziny z naszej historii.

— Nazwisko to jest równie ważne na Aventinie — odparła Jin. — Co oznacza, że w końcu przyjdą mnie szukać.

— W końcu to bardzo długo. — Oczy Obola zwęziły się nagle. — Gdzie jest twój wspólnik? — warknął.

Jin pozostała niewzruszona.

— Daleko poza twoim zasięgiem — odpowiedziała spokojnie. — W tej chwili jest chyba gdzieś w drodze do Azras.

— Zostawił cię, kobietę, na pewną śmierć? — parsknął Obolo.

— Kobiety umierają równie często jak mężczyźni — odparowała lodowato Jin. — Każda jeden raz. Jestem gotowa na swoją kolej, jeśli zajdzie taka potrzeba. A ty?

Obolo wydawał się zaskoczony, a Dauło starał się ukryć ponury uśmiech. Doświadczenie Obola, jego tajna siatka informacyjna, rozszerzone zdolności umysłowe... nic nie mogło przygotować go na spotkanie kogoś takiego jak Jin Moreau. Przypuszczalnie po raz pierwszy od wielu lat ten człowiek stracił głowę.

Ale szybko się z tego otrząsnął.

— Moja kolej jeszcze nie nadeszła — warknął. — Twoja natomiast zbliża się nieubłaganie. Jeśli twój towarzysz myszkuje po Mangus, złapiemy go szybko. Jeśli natomiast naprawdę uciekł, wróci zbyt późno, by ci pomóc.

Nagle spojrzął z powrotem na Daula i Akima.

— Zabierzcie ich do północnej komnaty — rozkazał strażnikom. — Ją także — powiedział, wskazując na Jin. — Skujcie ich wszystkich razem łańcuchami, niech spędzą wspólnie ostatnie pół godziny. — Jego wargi rozciągnęły się w sardonycznym uśmiechu. — Widzisz, Mironie Akimie, dotrzymałem słowa. Będziesz miał szansę przesłuchać swego więźnia. Zanim ona cię zabije.

## Rozdział 16

Północna komnata okazała się przytulnym zakątkiem w labiryncie zasłon, którym była sala tronowa Obola.

— Niezła płatanina — skomentowała Jin, kiedy Radig nadzorował spinięcie ich trojga za kostki. — Mogę się założyć, że ktoś z głową na karku mógłby niedostrzeżony kryć się tu przez wiele godzin.

Radig rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Próżne nadzieje, kobieto. Twojego towarzysza tu nie ma.

— Jesteś pewien? — zapytała szyderczo.

Im bardziej uda jej się ich zmylić, tym lepiej.

Ale on po prostu zignorował ją i wyszedł wraz z pozostałymi strażnikami. Cóż, warto było chociaż spróbować — pomyślała Jin i zwróciła uwagę na Daula.

Wpatrywał się w nią ze złością i rozgoryczeniem.

— A więc tak — warknął. — Wygląda na to, że Moffren Omnathi miał rację... Naprawdę przybyłaś tu po to, by nas szpiegować. Zaopiekowaliśmy się tobą i opatrzyliśmy ci rany, a ty odwdzieczyłaś się za naszą gościnność kłamstwem.

Tyrada ta była całkowicie niespodziewana i Jin przez sekundę wpatrywała się w niego zmieszana. Ale tylko przez sekundę. Kątem oka dostrzegła, że Akim przyglądał im się z uwagą...

— Przykro mi, Daulu Sammon — powiedziała chłodno i formalnie. — Żałuję, że musiałam wprowadzić twą rodzinę w błąd. Jeśli to pomoże, powiem, że nigdy nie zamierzałam angażować w moją misję ani ciebie, ani nikogo na Qasamie.

— Tą misją było... — wtrącił Akim.

— Myślę, że to nie ma znaczenia, jeśli ci powiem — westchnęła, rozglądając się po otaczających ich wokół zasłonach. Żadnych odgłosów oddechu, w podczerwieni żadnych cieplejszych obszarów o rozmiarach ludzkiego ciała. Oznaczało to, że Obolo polegał na bardziej wyrafinowanych metodach elektro-

nicznego podsłuchiwania tych chwil prywatności, które miłosiernie podarował swym więźniom. Uśmiechając się ponuro do siebie, Jin uruchomiła dookólną broń soniczną. — Moja misja — stwierdziła cicho, zwracając się z powrotem do Akima — jest w zasadzie taka sama jak twoja: powstrzymać Obolo Nardina i Mangus.

— W istocie — powiedział zimno Akim. — A więc jeszcze raz przylatujecie z gwiazd, by ingerować w sprawy, które należą całkowicie do nas.

— Czy nie możemy zapomnieć na chwilę o polityce i skupić się na obecnym problemie? — mruknęła gniewnie Jin. — Czy nie zdajesz sobie sprawy, czym Obolo Nardin zajmuje się naprawdę?

— Zakłada podsłuchy w sieci telekomunikacyjnej Qasamy. — Akim wzruszył ramionami.

Jin wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— I to cię nie martwi?

— Oczywiście, że martwi — powiedział, przypatrując się jej uważnie. — Ale ten plan sam się ogranicza. Owszem, Obolo jest w stanie podsłuchiwać rozmowy Shahnich i z tym z pewnością trzeba będzie sobie poradzić. Ale musisz zrozumieć, że im więcej przekazów skopiuje, tym więcej czasu będzie potrzebował na wyłonienie tych, które są naprawdę istotne. Przy tempie, w jakim produkuje i rozprowadza te telefony, cały jego system załamie się pod własnym ciężarem. Jeżeli już się tak nie stało.

Jin potrząsnęła głową.

— Chciałabym, żeby było to takie proste, ale nie jest. Widzisz, on nie musi sprawdzać wszystkich rozmów i przekazów danych osobiście. Może to robić za pomocą komputerów.

— Komputerów? — Daulo zmarszczył brwi. — W jak sposób?

— To bardzo łatwe. Wystarczy, żeby komputery śledziły każdą rozmowę w poszukiwaniu zaprogramowanych wcześniej słów lub nazw...

— A potem musi osobiście przesłuchać tylko te informacje, które zawierają określone słowa — przerwał Akim. — Doceń nasze doświadczenie, szpiegu, metoda ta jest dobrze znana. Ale zakres działania, o jaki oskarżasz Mangus... — potrząsnęła głową. — Być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak wiele informacji przekazuje się na Qasamie w ciągu jednego dnia. Do tego wszystkiego potrzeba komputerów o wiele bardziej zaawansowanych niż jakiegokolwiek dostępne na Qasamie.

— Wiem — powiedziała cicho Jin. — Ale komputery Obola Nardina nie pochodzą z Qasamy. Pochodzą ze Zgromadzenia Troftów.

Przez chwilę tamci dwaj patrzyli na nią bez słowa. Daulo siedział z rozdzielonymi ustami, Akim był równie oszołomiony. Pierwszy odzyskał głos Daulo.

— To szaleństwo — syknął przez zęby.

— Chciałabym, żeby tak było — odparła Jin. — Niestety, to, co mówię, jest prawdą. W drugiej połowie Mangus stoi teraz zaparkowany statek Troftów.

— Którego nie możesz nam oczywiście chwilowo pokazać — mruknął gniewnie Daulo. — Jakie to wygodne.

Jin zaczerwieniła się.

Daulo przesadzał z tą udawaną wrogością. Później postaram się coś z tym zrobić... — pomyślała.

— A co — przerwał Akim — zyskaliby na takiej umowie Troftowie?

Jin odwróciła się do niego.

— Nie wiem, jak wiele wiecie o Troftach, ale nie tworzą jednolitej struktury, jak sądzicie. Zgromadzenie Troftów jest w zasadzie luźną konfederacją niezależnych domen obejmujących dwa, trzy systemy gwiazdne i pozostają w stałej rywalizacji ekonomicznej i politycznej.

— Jak osady i miasta na Qasamie — mruknął Daulo pod nosem.

Jin zerknęła na niego.

— Tak, coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że jedna z tych domen zdecydowała, że ludzie są większym zagrożeniem, niż jest w rzeczywistości, i próbuje coś na to poradzić.

— Pomagając Obolowi Nardinowi przejąć władzę polityczną? — Akim zmarszczył brwi.

— Jednocząc Qasamę — poprawiła go cicho Jin — A potem chce użyć waszego świata jako maszyny wojennej przeciwko nam.

Oczy Akima zabłyśły.

— Nie potrzebujemy pomocy obcych, by was nienawidzić — warknął. — Ale też nie prowadzimy wojen z rozkazu obcych.

— Jeśli Obolowi Nardinowi się powiedzie, możecie nie mieć w tej sprawie zbyt dużo do powiedzenia. — Jakiś dźwięk zwrócił uwagę Jin. — Ktoś nadchodzi — syknęła, wyłączając broń soniczną.

W sekundę później jedna z zasłon odsunęła się, ukazując Radiga Nardina i grupę mężczyzn. Radig wyglądał na nieco zirytowanego. Prawdopodobnie nie do końca udało im się podsłuchać dyskusję więźniów.

— Szpiegu, załóż to — parsknął Radig rzucając w Jin splątaną męską odzież. Tę samą, którą nosiła dziś rano w Azras jako przebranie.

— A co potem? — zapytała, kiedy jeden ze strażników podszedł, by ją rozkuć.

Zignorował pytanie.

— Ten — wskazał na Akima — pójdzie z nami do hali montażowej. Ciebie natomiast — uśmiechnął się lodowato — utrzymamy przy życiu trochę dłużej. Chociaż prawdopodobnie nie będzie ci się to podobało.

— Co to ma znaczyć? — zapytała ostro Jin.

— Rozbieraj się! — warknął Radig.

— Powiedz mi, co zrobicie z Daulem Sammonem.

Jeden ze strażników podszedł i zamierzył się, by ją uderzyć...

— Nie! — powstrzymał go Radig. — Ma pozostać nietknięta.

Patrzył gniewnie na Jin, kiedy strażnik odsunął się niechętnie.

— Powinnaś być wdzięczna, że mój ojciec nie chce, by twoje ciało nosiło ślady naszej działalności. Gdyby nie to, odłożylibyśmy twoją egzekucję o kilka godzin.

Jin spojrzała mu prosto w oczy.

— Myślę, że okazałoby się to dziwnie niesatysfakcjonujące — powiedziała spokojnie. — Co zrobicie Daulemu Sammonowi?

— Prawdopodobnie będą go przesłuchiwać — odezwał się ponuro Akim, stojący obok niej. — Wciąż szukają twojego towarzysza, pamiętasz?

Jin zerknęła na wyraz twarzy Daula.

— Powiedziałam już, że jest poza waszym zasięgiem.

— Rozbieraj się — powtórzył Radig zimno. — Zanim pozwolę moim ludziom zapomnieć o rozkazach ojca. O wszystkich jego rozkazach.

Przez długą chwilę Jin poważnie się zastanawiała, czy tak nie byłoby lepiej. Ale nie był to czas ani miejsce na tego rodzaju konfrontację. Zdusiwszy złość, przebrała się w drugi strój, starając się nie zwracać uwagi na przyglądających się strażników.

Dziedziniec wydawał się ciemniejszy, ale dopiero pod koniec drogi do hali montażowej Jin zorientowała się, że nie padało na niego żadne światło. Kompleks mieszkalny otaczający dziedziniec pogrążony był w całkowitych ciemnościach. Bez wątplenia moment został wybrany świadomie. Cokolwiek zaplanowali Obolo i jego syn, nie chcieli mieć przy tym świadków.

Napięcie nie trwało długo.

— Pozwól, że wyjaśnię, co się wydarzy — powiedział Radig swobodnym tonem, kiedy dwaj mężczyźni przytrzymujący Jin za ramiona ustawili ją przed wejściem do budynku. — Ty, szpieg i wróg Qasamy, próbowałaś ukraść naszą technologię. Na szczęście dla nas, ten czujny agent Shahnich — wskazał na Akima, który stał unieruchomiony przez dwóch krzepkich strażników kilka metrów przed nią — znalazł się tu, by cię powstrzymać. Na nieszczęście dla niego, ty byłaś uzbrojona. — Skinął na jednego ze strażników Jin i mężczyzna sięgnął ręką w rękawiczce do kabury i wyciągnął standardowy qasamański pistolet pociskowy. — Strzelił do ciebie, ale zanim zginęłaś, udało ci się go zabić. Szkoda.

— A potem włożycie mi pistolet do ręki, by były na nim moje odciski palców? — zapytała zimno Jin, przyglądając się pistoletowi. Będzie musiała zadziałać w momencie, w którym mężczyzna uniesie go do strzału...

— Ach, jeszcze coś, czego nie wiesz o Qasamie — powiedział ironicznie Radig. Skinął na strażnika i ku jej zdziwieniu, mężczyzna z pistoletem wcisnął jej broń do ręki i mocnym chwytem objął jej dłoń swoją. — Nasza nauka jest w tych sprawach dość zaawansowana, najwyraźniej bardziej niż wasza. Tutaj poprzez uważną analizę osadów można udowodnić, że konkretny strzał został oddany z konkretnego pistoletu trzymanego w konkretnej dłoni. Dlatego każde z was będzie musiało oddać te śmiertelne strzały osobiście, Z naszą pomocą, oczywiście.

— Oczywiście — powtórzyła sarkastycznie Jin.

Przed oczami zaczęła się jej ukazywać czerwona mgiełka, i przez moment pomyślała, czy jednak nie zdecydowali się jej uspić. Ale to nie była tego rodzaju mgła... Po chwili zrozumiała, co to było.

To była wściekłość. Zwykła, zimna wściekłość.

Kobra zawsze panuje nad sobą — przeleciała jej w myślach sentencja... ale w tej chwili żaden frazes nie był wart złamanego grosza. Daulo odprowadzany na przesłuchanie milczał przerażony, w przeciwieństwie do Radiga, ustalającego teraz choreografię swego podwójnego morderstwa z wyrazem samozadowolenia.



nia na twarzy... Jin uświadomiła sobie, że do tej pory władze Mangus czerpały wszelkie korzyści ze zdrady, nie ponosząc żadnych kosztów.

Nadszedł czas wprowadzić pewną równowagę.

Do Akima zbliżył się teraz trzeci strażnik i wcisnął mu w rękę pistolet. Akim wyraźnie bronił się przed tym. Świadomie rozluźniając szczęki, Jin włączyła system naprowadzania, namierzając środek czoła każdego ze strażników.

— Przypuszczam, że już czas — powiedziała zimno, zerknąwszy na Radiga i zaraz potem na Akima. — Powiedz mi. Mironie Akimie, jaką karę przewiduje się na Qasamie za usiłowanie morderstwa?

Radig parsknął.

— Nie próbuj nas straszyć, kobieto... — warknął gniewnie, robiąc krok w jej stronę.

— Mironie Akimie?

— To więcej niż zwykłe morderstwo, Jasmine Moreau — odpowiedział Akim ze wzrokiem utkwionym w Radiga. — To morderstwo połączone ze zdradą. Karą jest śmierć.

— Rozumiem — skinęła głową. — Ufam więc, że nie zdenerwujesz się zbyt, jeśli będę musiała zabić kilku z nich?

Jeden ze strażników mruknął coś pogardliwie, ale Radig nawet się nie uśmiechnął. Podeszedł do niej, chwycił lufę pistoletu i wymierzył dokładnie w Akima.

— Jeśli czekasz na ratunek ze strony towarzysza z twojej planety, poczekaj na niego w piekle — parsknął z oczami błyszczącymi nienawiścią. — Mam nawet nadzieję, że się nam przygląda. Niech patrzy, jak umierasz.

Jin popatrzyła mu prosto w oczy, oswobodziła prawą rękę i uderzyła go pistoletem w twarz.

Radig bezgłośnie upadł na plecy. Strażnik trzymający lewe ramię Jin rzucił jakieś przekleństwo, ale zdążył tylko wzmocnić swój chwyt na jej ramieniu. Wykonała pół obrotu w jego kierunku i uderzyła go pistoletem w głowę. Chwyt rozluźnił się nagle. Wtedy strażnik, stojący po jej prawej stronie, zacisnął jej ręce na ramionach. Odwróciła się do niego, zamierzając się pistoletem w jego twarz. W tym samym momencie druga ręka wystrzeliła do góry i omiotła ogniem grupę otaczającą Akima...

Kątem oka dostrzegła potrójny błysk światła, kiedy jej nanokomputer wystrzelił z palcowego lasera. Odwróciła się akurat w momencie, w którym trzech strażnicy padli bezwładnie na ziemię.

Akim stał nieruchomo pośród tej rzezi. W dłoni wciąż ścisnął pistolet, którym miał ją zabić. Nie mierzył zbyt dokładnie...

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie.

— To już koniec, Mironie Akimie — powiedziała cicho, mgielka wściekłości opadła. Dłoń Akima trzymająca pistolet drżała teraz wyraźnie. — Radziłabym zabrać się stąd. zanim zaczną szukać tych ludzi.

Ręka opadła powoli, po czym Akim pochylił się i położył pistolet na ziemi, obserwując Jin przez cały czas. Drgnął lekko, kiedy podeszła do niego, ale się cofnął.

— Wszystko w porządku — zapewniła go cicho. — Tak jak powiedziałam wcześniej, jesteśmy po tej samej stronie.

Obliznął wargi i odzyskał wreszcie głos.

— Diabelski wojownik — powiedział. Wzdrygnął się nagle. — Diabelski wojownik. Teraz wszystko jasne. Boże w niebiosach. — Oddychał ciężko. — Po tej samej stronie, powiadasz, Jasmine Moreau? — Starął się odzyskać równowagę.

— Tak... niezależnie od tego czy w to wierzysz, czy nie. — Zaryzykowała i rozejrzała się po dziedzińcu. Nie próbował jej zaatakować. — Chociażby dlatego, że Obolo chce zabić nas oboje. Więc jak będzie?... Chcesz połączyć siły, czy wolałbyś sam radzić sobie z prywatną armią Obola?

Akim ponownie obliznął wargi, zerkając na trzech martwych mężczyzn leżących u jego stóp.

— Nie mam wielkiego wyboru — stwierdził, patrząc jej prosto w oczy. — Dobrze więc. Jasmine Moreau: w imieniu Shahnich Qasamy przyjmuję twą pomoc, a w zamian ofiarowuję ci moją. Czy masz pomysł na wydostanie nas z Mangus?

Jin odetchnęła z ulgą.

— Coś w tym rodzaju. Ale najpierw będziemy musieli wrócić do centrum administracyjnego. Przynajmniej ja muszę.

Skinął głową ze zbyt dużym, jak na jej gust, zrozumieniem.

— Aby uratować Daula Sammona? Zacisnęła zęby.

— Jego rodzina uratowała mi życie na długo przedtem, zanim dowiedzieli się, kim jestem. Nieważne, co sądzi o mnie teraz Daulo Sammon, jestem im winna jego życie.

Akim obejrzał się na centrum administracyjne.

— Jak zamierzasz go stamtąd wydostać? Jeszcze większym pokazem siły ogniowej?

— Mam nadzieję, że nie — skrzywiła się Jin, odnajdując wzrokiem nieruchome ciało Radiga. — Liczyłam na to, że namówię Radiga Nardina, aby powiedział mi, dokąd go zabrali. Niestety, wygląda na to, że przez jakiś czas nie będzie się nadawał do pogawędki.

— Powinien być na najniższym poziomie — powiedział Akim w zamyśleniu. — Prawdopodobnie w narożnym pokoju, hermetycznym, o ile to możliwe.

Jin zmarszczyła brwi.

— Skąd wiesz? Wzruszył ramionami.

— Historyczne precedensy, a także właściwości narkotyków używanych w tego rodzaju przesłuchaniach. Nawiasem mówiąc stwierdzono, że te narkotyki mają bardzo nieprzyjemne działanie. Im szybciej wydostaniemy stamtąd Daula, tym lepiej.

Jin przygryzła wargę.

— Wiem. Niestety, musimy przedtem coś zrobić.

— Co takiego?

— Musimy przygotować sobie drogę ucieczki. Chodźmy, Akimie.

## Rozdział 17

Przebycie jeszcze raz tej samej drogi nie było najtrudniejszym zadaniem. Wskakiwanie z ziemi na dach zespołu mieszkalnego, a z niego na szczyt muru, czołganie się po nim, ryzykowne wychylenie się, aby sprawdzić, co się dzieje wokół, przecięcie kabli elektrycznych łączących reflektory i splecenie z nich na oczekaniu liny było niczym w porównaniu z nurtującym Jin cały czas pytaniem, czy Akim będzie jeszcze czekał na dole, kiedy wreszcie skończy tę robotę.

Czekał jednak. Wciągając go ostrożnie na górę pomyślała, że najwyraźniej agenci Shahnich nie byli takimi fanatykami, za jakich ich uważała. Prawdziwy fanatyk prawdopodobnie wolałby zginąć, niż zadawać się z kimś, kogo uważał za wroga Qasamy.

Wciągnęła go na szczyt muru rozciągniętego na wznak, z rozłożonymi rękoma i nogami, w bezpiecznej, choć nie całkiem wygodnej pozycji. Przez długą chwilę przypatrywał się w milczeniu statkowi Troftów, stojącemu poniżej.

— Niech Bóg przeklnie Obola Nardina i jego rodzinę — parsknął w końcu.  
— A więc jednak mówiłaś prawdę.

— Mów ciszej, proszę. Wiesz coś na temat statków Troftów oprócz tego, jak wyglądają?

Potrząsnęła głową.

— Ja też nie. To może stanowić problem,, dlatego, że tam właśnie ukryjemy się na następny dzień lub dwa.

Nie spadł z muru, nie krzyknął nawet z zaskoczenia, spojrzął tylko na nią z kamienną twarzą.

— Co zrobimy?

Westchnęła.

— Mnie też się to zbytnio nie podoba, ale nie mamy wyboru.

Machnęła ręką w stronę centrum administracyjnego.

— Kiedy tylko dowiedzą się, że uciekliśmy, przewrócą swoją część Mangus do góry nogami, by nas odnaleźć. A skoro już teraz przeczesują teren otaczający

ośrodek w poszukiwaniu mojego rzekomego współnika, wyjście na zewnątrz nie byłoby wcale bezpieczniejsze. Co nam pozostaje?

— Jeśli odkryją nas tutaj, będziemy musieli walczyć z Troftami — zauważył uszczypliwie Akim. — Czy będziesz tak samo skutecznym wojownikiem przeciwko nim jak przeciwko ludziom Obola Nardina?

Jin parsknęła, przed oczami stanął jej obraz ojca walczącego z robotami w Sali Niebezpieczeństw Centrum MacDonalda.

— Zostaliśmy zaprojektowani do walki z Troftami, Mironie Akimie — powiedziała ponuro.

— Rozumiem. — Akim syknął przez zęby w zamyśleniu. — Przypuszczam więc, że to naprawdę nasza jedyna szansa. W porządku, jestem gotowy.

— Tak, ale ja nie jestem. Pamiętaj, że muszę najpierw wrócić i uwolnić Daula Sammona.

— Myślałem, że zmieniłaś zdanie. — Akim wyraźnie zebrał się w sobie. — W porządku. Powiedz, co mam robić.

Niezbyt podobał mu się ten pomysł, co było widać po wyrazie jego twarzy, kiedy udzielała wyjaśnień. Ale nie marnował czasu na dyskusje. W przeciwieństwie do Daula Akimowi niespecjalnie przeszkadzał fakt, że słuchał rozkazów kobiety. Być może miał doświadczenie z kobietami-agentkami Shahnich. Być może był po prostu mądrzejszy i nie pozwalał dumie wchodzić w drogę, kiedy chodziło o życie.

W chwilę później Jin poruszała się cicho w ciemność, w kierunku centrum administracyjnego, a Akim wciągał kabel z powrotem na górę. Jin wiedziała, że nie będzie musiała martwić się, że agent zniknie, zanim ona powróci.

Tym razem uderzyła w mur nieco mocniej, wywołując ponownie ból w kolanie. Wisiała przez chwilę na palcach, czekając z zaciśniętymi zębami, aż ból ustąpi.

— Wszystko w porządku? — zapytał cicho Akim siedzący pół metra przed nią.

— Tak. — Podciągnęła się, przeturlała na brzuch, zwracając się twarzą do Akima i wzięła od niego koniec kabla. — Uszkodziłam kolano w czasie katastrofy. Jeszcze nie wróciło całkiem do normy. A u ciebie?

— W porządku. Jakież kłopoty?

— W zasadzie nie — odpowiedziała Jin, starając się uspokoić oddech.

Nie licząc nawet ostatniego skoku z dachu zespołu mieszkalnego na mur, już sam bieg od celi przesłuchań z Daulem przewieszonym przez ramię jak worek zmęczył ją bardziej, niż powinien. Był to zły znak, informujący, że jest w złej formie i nie wykorzystuje całej mocy wspomagania.

— Miałaś rację co do tego, że był na najniższym poziomie — powiedziała, zaczynając wciągać Daula. — Obolo postawił przed właściwymi drzwiami parę strażników, tak żebyśmy mogła trafić.

— Zabiłaś ich?

Policzek Jin drgnął.

— Musiałam. Jeden rozpoznał mnie, zanim się dostatecznie zbliżyłam.

Akim chrząknął.

— Są współwinni zdrady. Nie zapominaj o tym.

Jin przetłknęła ślinę.

— Tak. W każdym razie znalazłam Daula Sammona przywiązanego do krzesła. Do jego ramion dołączono jakieś rurki, a dookoła niego wił się dym z kadzielnicy umieszczonej pod brodą...

— Czy był sam?

— Nie, ale udało mi się oszołomić przesłuchującego. Nie zabiłam go. No, już jest. Ja wezmę cały ciężar, a ty ochraniaj głowę.

Wciągnęli bezwładne ciało Daula na szczyt muru.

— Nie wiesz przypadkiem, czym mogli go potraktować? — zapytała, starając się ukryć niepokój w głosie, kiedy Akim przyglądał się uważnie rozluźnionej twarzy Daula. Wyglądał tak spokojnie...

Akim wolno potrząsnął głową.

— Istnieje zbyt wiele możliwości. — Ujął nadgarstek Daula. — Praca serca jest powolna, ale równa. Powinien to po prostu odespać.

— Mam nadzieję, że masz rację.

Nastawiwszy wzmacniacze wzroku na wyższą moc, Jin rozejrzała się szybko po części Mangus należącej do Troftów.

— Zauważyłeś tam jakiś ruch, kiedy mnie nie było?

— Nie. Po drugiej stronie też nie.

Jin skinęła głową.

— Trudno uwierzyć, że nie zauważono jeszcze naszej ucieczki, myślę jednak, że powinniśmy być wdzięczni za te drobne udogodnienia.

Akim parsknął cicho.

— Być może Obolo Nardin spodziewał się, iż jego syn nie posłucha rozkazu, że masz pozostać nietknięta.

— Wesoły jesteś — mruknęła Jin, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. — Cóż, nie ma sensu tego odkładać. Uważaj na jego głowę, a ja przerzucę go na tę stronę, dobrze?

W minutę później Daulo znalazł się na dole, na wpeł leżąc, na wpeł opierając się o podstawę muru.

— Twoja kolej — powiedziała do Akima. — Nie wejdź tylko na niego.

— Nie wejdę. A ty jak zejdziesz?

— Będę musiała zeskoczyć — powiedziała, starając nie myśleć o tym, co wydarzyło się, kiedy ostatnim razem próbowała tej sztuczki. — Nie martw się. Poradzę sobie.

Akim patrzył na nią uważnie.

— Ten ostatni skok z dachu budynku mieszkalnego ledwo ci się udał.

— Jestem po prostu trochę zmęczona. Posłuchaj, tracimy czas.

Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem zacisnął usta i skinął głową. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i owinął ją wokół kabla, po czym chwycił go w tym miejscu. Sturlał się z muru i zsunął na ziemię, kontrolując sytuację jak żołnierz. Pomachał jej ręką, po czym klęknął i zaczął odwiązywać kable, aby uwolnić Daula.

Czas na mnie — pomyślała Jin. Rzuciła swój koniec kabla, który upadł obok Akima, opuściła się i zawisła, trzymając się palcami krawędzi muru. Ugięła lekko kolana, zacisnęła zęby i puściła krawędź. Ziemia jakby podskoczyła jej na spotkanie...

Przygryzła mocno wargi, kiedy lewe kolano przeszył rwący ból.

— Jasmine Moreau! — syknął Akim, kucając obok niej.

— Nic mi nie jest — mruknęła. Mruganiem powiek rozproszyła łzy bólu, położyła się na plecach i ścisnęła mocno kolano. — Daj mi minutę.

W rzeczywistości minęły raczej trzy minuty, zanim mogła stanąć na nogi.

— W porządku — odetchnęła. Gdyby świadomie pozwoliła wspomaganemu utrzymać ją w pionie... — Już wszystko dobrze.

— Ja będę niósł Daula Sammona — zakomunikował Akim tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Może być — zgodziła się Jin i krzywiąc się z bólu wróciła do pozycji siedzącej. — Pozwolę ci też nieść kabel, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ale najpierw musimy zastanowić się, jak dostać się na statek.

Akim spojrzał w tamtym kierunku.

— Czy mają jakieś systemy zabezpieczeń?

— Niewątpliwie. — Jin włączyła teleskopy i wzmacniacze wzroku, po czym obejrzała powoli wieżę rozładunkową przylegającą do rufy statku. — Tam, w wejściu, widzę coś, co przypomina podwójne czujniki dźwiękowego wykrywacza ruchu — powiedziała do Akima. — A także... zaraz, niech się przyjrzę... tak, jest też laserowe pole podczerwieni, pokrywające rampę załadunkową i piętnastometrowy pas ziemi przed nią.

— A co z tym? — zapytał Akim wskazując na budynek naprawczy, w którym schowany był dziób statku.

— Prawdopodobnie ma podobne zabezpieczenia — Jin popatrzyła wzdłuż muru rozciągającego się za nimi. — Wykrywacze ruchu i kamery nadzorujące umieszczone są nad bramą, prowadzącą do drugiej połowy Mangus. Rozsądnie umiejscowione przed intruzami.

— Czy możesz je pokonać?

— Mogę je zniszczyć, oczywiście. Ale przy okazji uruchomię dziesiątki alarmów.

— W takim razie co możesz zrobić?

Jin przygryzła wargę.

— Wygląda na to, że naszą jedyną szansą jest podejście do statku z boku. Jeśli uda mi się do niego dostać, prawdopodobnie znajdę przejście w miejscu, w którym wieża rozładunkowa łączy się ze statkiem.

Akim rozważył to.

— To wydaje się dziecinnie proste. Oczywiście dla diabelskiego wojownika.

— Rzeczywiście, zabezpieczenia te nie były tworzone z myślą o diabelskich wojownikach — powiedziała sucho Jin. — Z drugiej jednak strony, Troftowie nie byli tacy głupi. Nie możesz tego zobaczyć, ale w odległości trzydziestu



metrów dookoła statku, na wysokości kilku centymetrów nad ziemią rozciąga się krzyżująca się sieć laserowych promieni podczerwonych.

— Widzisz ją wystarczająco wyraźnie?

— Nieważne, czy ją widzę. Problem polega na tym, że układ tych promieni zmienia się co kilka sekund.

Ku jej zdziwieniu Akim zachichotał.

— Co cię tak śmieszy? — mruknęła Jin.

— Twoi Troftowie — powiedział, a chichot zmienił się w drwiące parsknięcie. — Miło wiedzieć, że nie są ani wszechwiedzący, ani nawet zbyt sprytni. Ten system laserowy jest qasamańskiego pochodzenia.

— Co?

Jin zmarszczyła brwi.

— Tak jest. Być może Obolo Nardin udostępnił im go celowo, by lepiej kontrolować umowę.

— Czy ten system ma jakąś słabą stronę? — zapytała Jin, a serce zaczęło jej bić odrobinę szybciej.

— Tak. — Akim wskazał na statek. — Jak zauważyłaś, układy promieni zmieniają się losowo, ale w każdym takim systemie istnieje od trzech do sześciu przestrzeni o powierzchni metra, których lasery nigdy nie dotykają,

— Naprawdę? — Jin spojrzała z powrotem na statek. — Czy to nie jest częściowo sprzeczne z samym założeniem?

— Jest ku temu powód — powiedział cierpko Akim. — Pozwala to użytkownikom systemu umieścić w wolnych przestrzeniach kamery nadzorujące lub zdalnie sterowaną broń. A przerwy te są z reguły umiejscowione na tyle daleko od obrzeża, że pozostają bezużyteczne dla przeciętnego intruza... ale ty oczywiście nie jesteś przeciętnym intruzem.

— Racja. — Jin wstała.

Poczuła przeszywający ból w kolanie, ale starała się nie zwracać na niego uwagi. — W porządku. Zaczekaj tu. aż zobaczysz, że macham do ciebie ze szczytu wieży załadunkowej. Nie ruszaj się do tego czasu, rozumiesz?... nie chcę, żebyś przez pomyłkę wszedł w zasięg tych wykrywaczy, dopóki nie znajdę sposobu, żeby je unieszkodliwić.

— Zrozumiano... — Akim zawahał się. — Powodzenia, Jasmine Moreau.

Akim miał rację, rzeczywiście istniały przerwy w systemie. Jin spędziła kilka minut, w napięciu obserwując z otwartej przestrzeni lasery wykonujące swoje zadanie, zanim odnalazła wszystkie cztery punkty. Tworzyły meandry biegnące do samego statku. W normalnych warunkach odległości pomiędzy nimi byłyby dla niej dziecinną igraszka, ale przy obecnym stanie kolana nie będzie to takie łatwe.

Nie miała jednak wyboru. Zaciśnęła zęby i skoczyła.

Akim powiedział, że przerwy będą mniej więcej metrowe, ale Jin wydawały się o wiele mniejsze. Mimo wszystko były męczące. Zatrzymywała się w każdym punkcie tylko na tak długo, by odzyskać równowagę i przygotować się do kolejnego odbicia. Skakała przez laserowe pole niczym pijany kangur. Przedostatni sus zbliżył ją na odległość trzech metrów od kadłuba statku, ostatni przeniósł ją na szczyt masywnego, wysuniętego do przodu skrzydła.

Przez długą chwilę siedziała skulona, patrząc i nasłuchując. Czekwała, aż ustanie ból kolana. Potem wstała i skierowała się ku ranę. Idąc po skrzydle, minęła poczerniałą krawędź dyszy napędu prawej burty i doszła do przedniego końca wieży załadunkowej.

Wieża, podobnie jak statek, została zbudowana przez Troftów. Wyraźnie zaprojektowano ją w taki sposób, by ściśle do niego pasowała. Było to jednak pojęcie względne i kiedy Jin zbliżyła się do wieży, zauważyła, że w odległości pół metra od pokrywy wejścia część metalowa przechodzi w elastyczny, gumokauczukowy tunel. Gumokauczuk był tani, elastyczny, odporny na warunki atmosferyczne, ale nie na ogień laserowy. Jin wycięła w miękkim materiale otwór wielkości człowieka i w sekundę później znalazła się wewnątrz wieży.

Wewnątrz wieży... na progu statku Troftów.

Uświadomiła sobie nagle wagę tego faktu. Wchodząc na statek przez podobną do przedsionka śluzę, czuła suchość w ustach. Jestem wewnątrz statku Troftów — pomyślała. Zatrzymała się w środku długiego, obcego korytarza, po plecach przebiegł jej dreszcz. Statek Troftów... z Troftami na pokładzie?

Poczuła ucisk w żołądku i wstrzymała oddech, włączając wzmacniacze słuchu na pełną moc. Ale na statku było cicho jak w grobie. Wszyscy zeszli z pokładu? — zastanawiała się. Wydawało się to dziwne... ale z drugiej strony, jeśli życie na pokładzie statku Troftów było w czymkolwiek podobne do tego, czego doświadczyła w drodze na Qasamę, to załoga statku raczej nie nocowałaby tu z własnej woli. A jeśli na pokładzie znajduje się tylko dwóch lub trzech oficerów dyżurnych, to prawdopodobnie siedzą w centrum dowodzenia.

W każdym razie była to dobra teoria i na razie musiała wystarczyć. Wróciwszy do służby, wyszła z powrotem na wieżę załadunkową.

Obawiała się, że sterowanie systemem wykrywającym ruch zostało przeniesione do centrum dowodzenia, ale okazało się, że Troftowie bardziej cenili wygodę niż dodatkowe bezpieczeństwo. Długie godziny spędzone na lekcjach mowy handlowej Troftów opłaciły się właśnie teraz. Przyjrząwszy się oznaczeniom na przełącznikach, domyśliła się, jak może działać system, i wyłączyła go.

Kiedy wyszła na zimne nocne powietrze, Akim stał pod murem z Daulem przewieszonym przez ramię. Pomachała mu, a on ruszył w jej stronę szybkim truchtem i w minutę później dotarł do rampy.

— Droga wolna? — mruknął, zbliżywszy się.

— Tak mi się wydaje — odpowiedziała szeptem. — Chodź... nie chcę, żeby system zabezpieczeń był wyłączony dłużej niż to konieczne.

Po chwili znalazł się obok niej.

— Dokąd teraz? — sapnął.

Nie dał sobie odebrać Daula.

— Myślę, że naprzód, przynajmniej kawałek — stwierdziła. — Musimy znaleźć pusty magazyn albo miejsce, w którym nikt nam nie będzie przeszkadzać.

— W porządku — skinął głową. — A kiedy usiądziemy i będziemy mieli czas porozmawiać, opowiedz mi, po co dokładnie przybyłaś na Qasamę — dodał obserwując ją uważnie,

## Rozdział 18

Na szczęście konieczność zatarcia śladów odłożyła tę konfrontację o kilka minut. Włączenie z powrotem systemu zabezpieczeń było kwestią pięciu sekund, próba załatania dziury w gumokauczuku zajęła Jin nieco więcej czasu i była mniej skuteczna. Udało jej się zgrzać brzegi laserami, ale pozostały błyszczące zacieki, wyraźnie widoczne na matowym tworzywie. Usiłowała zdrapać błyszczące fragmenty paznokciami, co pomogło trochę, ale efekt nie był zadawalający, więc w końcu zaprzestała wysiłków. Jak zauważył Akim, każdy, wchodzący do środka przez tunel, będzie raczej skupiał uwagę na podłodze, niż przyglądał się ścianom.

Kiedy ruszyli centralnym korytarzem, na statku wciąż panowała cisza. Jin miała nadzieję, że ukryją się w jakimś pustym magazynie, gdzie mieliby zapewniona prywatność, ale szybko okazało się, że należy zmienić plan. Większość pomieszczeń, na które się po drodze natknęli, była zamknięta, a nieliczne otwarte wypełniono skrzyniami przytwierdzonymi do ścian i podłóg. Przy którymś z przystanków Akim zauważył, że mimo skrzyń wystarczy tam miejsca dla ich trojga. Jin uznała jednak, że Troftowie przyszliby tu prawdopodobnie rano dokończyć rozładunek.

Szli więc dalej. Wreszcie, w przedniej części, w głównej sekcji transportowo-inżynierskiej, tuż przed długim przewężeniem statku znaleźli otwartą pompownię, w której przynajmniej dwie osoby mogły położyć się wygodnie.

— To powinno na razie wystarczyć — zdecydowała Jin, rozejrzawszy się po raz ostatni po pustych korytarzach, zanim zamknęła za nimi drzwi. — Pomogę ci przy Daulu.

— Trzymam go — powiedział Akim, sadzając bezwładnego młodzieńca pod jedną ze ścian. — Czy jest tu jakieś światło, które moglibyśmy włączyć?

Poświata przenikająca z korytarza była wystarczająca. Jin przy pomocy wzmacniaczy wzroku odnalazła włącznik i zapaliła światło.

— Nie powinniśmy włączać go na długo — ostrzegła Akima.

— Rozumiem — skinął głową Akim, rozglądając się pośpiesznie.

— Widzisz coś, co mogłoby posłużyć za poduszkę? — zapytała Jin i opuściła się ostrożnie na podłogę obok Daula.

Akim potrząsnął głową.

— Wystarczą mu buty.

Zdjął Daulowi buty i pochylił się nad nim niezgrabnie.

— Ja to zrobię — zaproponowała Jin, wyciągając rękę.

— Poradzę sobie — powiedział cierpko Akim, odpychając ją.

Stracił przy tym równowagę i musiał podeprzeć się jedną ręką, by nie upaść.

— Mironie Akimie...

— Powiedziałem, że sobie poradzę — warknął.

— W porządku — mruknęła w odpowiedzi Jin, wpadając nagle w złość.

Akim wpatrywał się w nią gniewnie, wsuwając buty pod głowę Daula.

— Radzę ci okazywać więcej szacunku, szpiegu — powiedział, cofając się i siadając po przeciwnej stronie pomieszczenia.

— Darzę szacunkiem tych, którzy na niego zasłużyli — odparła Jin.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, wokół panowała zupełna cisza. Potem Jin wzięła głęboki oddech i westchnęła.

— Posłuchaj... Przepraszam cię, Mironie Akimie. Wiem, że moja osobowość nie odpowiada twoim normom, ale w tej chwili jestem po prostu zbyt zmęczona, by starać się podporządkować qasamańskim obyczajom.

Z twarzy Akima powoli zniknął gniew.

— Nasze światy były wrogami, nawet zanim pojawiły się brzytwołapy, prawda? — spytał cicho. — Nasze kultury po prostu zbyt różnią się, byśmy mogli kiedykolwiek się zrozumieć.

Jin zamknęła na chwilę oczy.

— Wolabym, aby nasze społeczeństwa nie były aż tak sztywne. Nie musimy być wrogami tylko dlatego, że nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

— Ale jesteśmy wrogami — ponuro powiedział Akim. — Nasi przywódcy wyrazili to słowami, wasi przywódcy wyrazili to w czynach. — Zawahał się. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego uratowałaś mi życie.

Jin spojrzała na niego.

— Dlatego, że ty nie jesteś Shahnimi z ich słowami sprzed trzydziestu lat, a ja nie jestem radą Aventiny z jej czynami sprzed trzydziestu lat. Ty i ja stoimy teraz w obliczu zagrożenia dla Qasamy, które oboje chcemy powstrzymać. Nie jesteśmy wrogami. Dlaczego nie miałabym uratować ci życia?

— To fałszywy argument. Reprezentujemy naszych przywódców i tylko tyle. Jeśli oni toczą wojnę, my też ją toczy my.

Jin przygryzła wargę.

— W porządku więc. Jeśli jestem zagrożeniem dla Qasamy, to dlaczego nie wezwałeś ludzi Obola Nardina, kiedy poszłam ratować Daula Sammona?

Akima wyraźnie zaskoczyło to pytanie.

— Dlatego, że zabiliby mnie razem z tobą. oczywiście.

— Tak? A czy nie chcesz umrzeć dla dobra swojego świata? Bo ja tak.

— Ale wtedy... — Akim zamilkł.

— Ale wtedy co? — ponagliła go Jin. — Wtedy zagrożenie, jakie stanowi Mangus, pozostałoby nadal tajemnicą?

Akim skrzywił się.

— Jesteś bardziej wyrafinowana, niż myślałem — powiedział. — Walczysz ze mną moimi własnymi słowami.

— Nie próbuję z tobą walczyć. — Zmęczona Jin potrząsnęła głową. — Ani słownie, ani w żaden inny sposób. Po prostu staram ci się pokazać, że robisz dokładnie to, co powinienes: oceniłeś potencjalne zagrożenia dla Qasamy, stwierdziłeś, które z nich jest najbardziej bezpośrednio, i zwalczasz je każdą bronią, jaką dysponujesz. — Uśmiechnęła się kwaśno. — W tej chwili jedną z nich jestem ja.

Uśmiechnął się niemalże wbrew woli.

— A ja jedną z twoich? — odparował.

Wzruszyła ramionami.

— Sama nie powstrzymałabym Obola Nardina, nawet gdybym chciała. Poza tym to jeden z waszych ludzi. Poradzenie sobie z nim powinno być waszą sprawą.

— Prawda. — Akim rozejrzał się po otaczających ich metalowych ścianach. — Chociaż poradzenie sobie z nim z tego miejsca może być trudne.

— Nie martw się, wydostaniemy się stąd — zapewniła go Jin. — Pamiętaj, Obolo Nardin bazuje na środkach stymulujących umysł, co oznacza, że podejdziesz do zagadnienia logicznie. Jeśli nie ma nas w jego połowie Mangus, a bardzo szybko będzie w stanie to potwierdzić, wtedy uzna, że wydostaliśmy się w jakiś sposób. Do Azras jest dobre pięćdziesiąt kilometrów, a my jesteśmy pieszo, więc wie, że nie ma możliwości, abyśmy dotarli tam przed jutrzejszym południem, dzisiejszym, chciałam powiedzieć W takim razie musimy albo skontaktować się z Shahnimi przez telefon...

— O tym wiedziałby natychmiast.

— Słusznie. A skoro wie, że odkryliśmy jego manipulacje, domyślił się, że będziemy musieli spróbować innych metod.

Nadeszła kolej na kluczowe pytanie. Jin zebrała się w sobie, próbując zachować swobodny ton.

— Czy na Qasamie są w użyciu jakieś systemy radiowe? Mam na myśli duże, nie takie małe, krótkiego zasięgu, jakich rodzina Sammonów używa w kopalni.

Wstrzymała oddech, ale Akim nie dał po sobie nic poznać, nawet jeśli zauważył w jej głosie czy wyrazie twarzy coś dziwnego.

— Bojowe helikoptery Sky Jo mają radia — powiedział zamyślony. — Ale najbliższe są w Sollas.

Serce Jin zamarło na chwilę.

— Nie ma żadnych w Milice? — zapytała ostrożnie. — Myślałam, że kiedy dowiedzieliście się o kapsule z zapasami, wasi ludzie przylecieli helikopterem.

— Tak było, ale te Sky Jo zostały potem wysłane do puszczy, by pilnować wraku twego statku kosmicznego.

Jin odetchnęła.

— Rozumiem. I oczywiście Obolo wie o tym wszystkim — mruknęła, wracając do swego toku myślenia. — Wie więc, że będziemy musieli iść aż do Sollas, żeby zebrać oddziały, by na niego uderzyć. Jak długo jedzie się tam samochodem?

— Kilka godzin. A potem potrzeba będzie jeszcze czasu, by zebrać oddział i wrócić z nim do Mangus. Szczególnie że nie możemy używać telefonów. Tak, widzę teraz, dokąd zmierzasz. Myślisz, że Obolo poczuje się na tyle pewnie, że nie wpadnie w panikę i nie zacznie niszczyć dowodów swej zdrady?

— Przynajmniej nie przez następne pół dnia. Zastanów się, za dużo straci, jeśli rzuci wszystko i ucieknie wtedy, kiedy nie jest to absolutnie konieczne. Nie

wspominając o tym, że jeśli teraz się wycofa, straci szansę, by nas odnaleźć, zanim zaczniemy mówić. Wątpię, czy pozwoli sobie na to, jeżeli nie wisi nad nim konkretne niebezpieczeństwo. — Wzruszyła ramionami. — Jeśli natomiast minie jeden dzień, a on nas nie dogoni, wtedy prawdopodobnie zacznie się martwić. Ale wtedy grupy pościgowe albo wrócą do domu, albo rozproszą się zbytnio, by nam przeszkadzać. Miejmy nadzieję, że Daulo będzie już na nogach.

Akim spojrzał na Daula.

— Nie podoba mi się świadomość, że ukrywam się tutaj, podczas gdy Obolo może swobodnie działać — przyznał szczerze. — Szkody, jakie może wyrządzić Qasamie... ale nie widzę dla nas innego wyjścia.

— Cóż, jeśli przyjdzie ci coś do głowy, proszę cię, nie wahaj się podzielić tym ze mną — powiedziała Jin. — Być może jestem lepiej od ciebie wyszkolona w sprawach wojskowych, ale ty znasz planetę lepiej, niż ja ją kiedykolwiek poznam.

Skrzywił się.

— Znam być może większą jej część. Ale na pewno nie całą. Powiedz, jak twoi rodacy odkryli zdradę Obolo Nardina?

Jin parsknęła cicho.

— Nie odkryli. Wiedzieli, że w Mangus dzieje się coś złego, ale doszli do niemalże sprzecznych wniosków.

Opisała mu awarie satelitów i teorię testów raketowych, którą opracowało Centrum Nadzoru Qasamy.

— Interesujące — powiedział Akim, kiedy skończyła. — Mam nadzieję, iż nie sugerujesz, że Troftowie dali Obolowi również zaawansowaną broń?

— Nie, nie sądzę, by zrobili coś takiego. Oni nigdy nie dają niczego za darmo, a z pewnością nie ludzkiej społeczności, która wciąż uznawana jest przez nich za zagrożenie. Na pewno bardzo uważnie kontrolują, co dostaje Nardin, i na tej liście nie znajdzie się żadna technologia, która mogłaby im w jakikolwiek sposób zagrozić.

— Stąd takie zabezpieczenie statku — skinął głową Akim. W jego głosie brzmiała nuta rozczarowania. — Tak, myślę, że byliby ostrożni z takimi sprawami. Rozumiem więc, że to nie Obolo Nardin psuł wasze satelity?

— Nie, to Troftowie się nimi bawili. Z bliskiej odległości to trywialna sprawa. Prawdopodobnie podkradali się pod te, które chcieli wyłączyć, i umieszczali na ich orbicie zdalnie sterowane satelity gończe. W ten sposób mogli planować wyłączenia, kryjąc zarówno starty, jak i lądowania, nie pozostawiając jedno-



cześć żadnych dowodów manipulacji, kiedy nasze statki przylatywały odbierać nagrania.

— Tak, wasze statki. Dziwne. Przez tyle lat obserwowaliśmy, jak przylatują, Jasmine Moreau. Na początku spodziewaliśmy się ataku za każdym razem, kiedy zauważaliśmy jeden z nich, i zastanawialiśmy się, czy akurat ten przywiezie na powierzchnię wojowników. Potem odkryliśmy satelity i zaczęliśmy korelować ruchy statków w stosunku do nich i zrozumieliśmy, co naprawdę robicie. Ale wciąż obserwowaliśmy... a dwa tygodnie temu, kiedy nadeszła w końcu ta długo oczekiwana inwazja, nie zauważyliśmy jej. — Zerknął na nią. — Wierzę, że dostrzegasz ironię tego wszystkiego.

Jin wzdrygnęła się.

— Wyzbyłam się ironii, kiedy zginęli moi towarzysze. Na jego twarzy malowało się współczucie.

— Nie zestrzeliliśmy waszego statku kosmicznego, Jasmine Moreau — powiedział cicho.

— Wiem.

— Troftowie? Skinęła głową.

— Lubisz ironię, Mironie Akimie? To posłuchaj. Biorąc pod uwagę fakt, że nie powrócili, by zbadać sprawę, myślę, że nie wiedzą nawet, kogo i dlaczego zestrzelili.

Zmarszczył brwi.

— Zaatakowali, nie wiedząc, co atakują?

— To prawdopodobnie były jakieś automatyczne samonaprowadzające rakiety patrolujące przestrzeń powietrzną, zaprogramowane, by trafiać we wszystko, co przelatuje zbyt blisko Mangus. Musieliśmy przybyć akurat w tym samym czasie, kiedy startował lub lądował jeden z ich statków. Z pewnością nie ostrzeliwaliby całego terenu bez przerwy.

— Niekontrolowana broń — warknął Akim. — Niewątpliwie uważają siebie za cywilizowanych.

Jin skinęła głową.

— Są rzeczy, których Troftowie nie zrobią... ale niektóre, które robią, są dość obrzydliwe. Będziemy musieli pomanipulować przy sterowaniu raketami, zanim zejdziemy ze statku, inaczej helikoptery, które wyślecie, zostaną zestrzelone, zanim miną Purmę.

— Może zrobimy to teraz?

Jin zerknęła na rozluźnioną twarz Daula.

— Nie. Na mostku prawdopodobnie są Troftowie na służbie, a w tej chwili nie możemy ryzykować. Spróbujemy jutrzejszej nocy, kiedy Daulo Sammon wróci do siebie, a ty i ja prześpiemy się trochę.

Akim stłumił ziewnięcie.

— W porządku. Czy ktoś z nas powinien zostać na warcie?

Jin potrząsnęła głową.

— Połóż się po prostu pod drzwiami, jeśli możesz. Jeżeli zostaniemy ostrzeżeni w momencie, w którym ktoś będzie próbował wejść, poradzę sobie z tym.

— A co z tobą? — zapytał Akim, rozciągając się na podłodze wzdłuż drzwi.  
— Nie ma tu tyle miejsca, żebyśmy wszyscy mogli się położyć.

— Nie przejmuj się mną — ziewnęła Jin. — Kiedy byłam mała, bardzo często sypiałam na siedząco. Powinam sobie przypomnieć tę technikę.

— Cóż... w porządku. — Sięgnąwszy do stóp, Akim zdjął buty i wsunął je sobie pod głowę, po czym rozciągnął się na plecach pod drzwiami. — Ale gdybyś nie mogła spać, daj mi znać, to zamienimy się w ciągu nocy miejscami.

— Dobrze — obiecała Jin. — Dziękuję ci, Mironie Akimie. Dobranoc.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

— Dobranoc, Jasmine Moreau.

Jin wyciągnęła rękę i zgasiła światło. W pomieszczeniu zapadła cisza i przez długą chwilę Jin siedziała w ciemności. Czuła się zupełnie wyczerpana. Minęły dwa tygodnie od początku "inwazji" Jin, jak określił to Akim. Od dwóch tygodni jest rozbitkiem na tej planecie.

I z niemal wstrząsającą gwałtownością uświadomiła sobie koniec tego wszystkiego.

Wysiłkiem woli włączyła wzmacniacze wzroku i popatrzyła na Akima. Miał zamknięte oczy, jego ciało było bezwładne, a oddech powolny i równomierny. Spał snem sprawiedliwego. I czemu nie? — pomyślała niemalże z urazą, W końcu postarała się przekonać go, że poza snem nie mają nic do roboty przez następne pół dnia lub nawet dłużej. To było oko cyklonu, chwila spokoju przed wyruszeniem w długą i z pewnością niebezpieczną drogę do Azras, by ogłosić alarm.

Z tym, że przy pewnej dozie szczęścia nic z tego nie będzie.

Dwa tygodnie. Osiem dni dla "Southern Cross", sześć dni dla "Dewdrop". Czternaście awentiańskich dni to... Przez chwilę próbowała przeliczyć to na qasamańskie dni, ale jej umysł nie czuł się na siłach, by tego dokonać, więc poddała się. Ale było to niemal to samo. Okresy obrotu obu planet nie różniły się więcej niż o około godzinę.

Oznaczało to, że grupa ratunkowa mogła znaleźć się tu w zasadzie w każdej chwili.

"Będziemy nasłuchiwać twoich sygnałów o świcie, w południe, o zachodzie słońca i o północy" — pisał kapitan Koją w wiadomości przesłanej w kapsule z zapasami. — "Jeśli nie możesz nadawać, przylecimy cię odnaleźć".

Jak długo będą czekać, zanim wylądują i rozpoczną poszukiwania na szeroką skalę? Nie dłużej niż dzień, to pewne. Szczególnie kiedy stwierdzą, że miejsce katastrofy wahadłowca jest strzeżone przez wojskowe helikoptery. Dwanaście godzin na orbicie, nie dłużej, i będą lądować.

A gdy to zrobią...

Jin wzdrygnęła się. "Nie jesteśmy wrogami" — powiedziała Akimowi. I rzeczywiście tak myślała. Niezależnie od tego, czy mu się to podobało, czy nie, byli sprzymierzeńcami w tej walce o oderwanie brudnych rąk Obola Nardina od Qasamy. Ale lądująca grupa raczej nie spojrzy na te sprawy od tej strony.

Oznaczało to, że musiała się z nimi skontaktować, zanim wylądują. Prawdopodobnie w ciągu jutrzejszego dnia. Zanim Daulo i Akim będą mogli bezpiecznie opuścić to miejsce.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Co zrobią — zastanawiała się niepewnie — kiedy ich opuści jutrzejszego wieczoru i ucieknie z Mangus sama? Czy zrozumieją, że nie był to przemyślany z zimną krwią plan, by zostawić ich w potrzasku po to, by jej nie przeszkadzali? Czy uwierzą, kiedy powie im jeszcze raz, że wciąż jest to dla nich najbezpieczniejsze miejsce oczekiwania na wsparcie?

I czy którykolwiek z nich zrozumie, jeśli będzie musiała zabić, by dostać się do radia w jednym z helikopterów na miejscu katastrofy?

Prawdopodobnie nie. Ale ostatecznie nie miało to wielkiego znaczenia. Musiała to zrobić, czy to rozumieli, czy nie. W równym stopniu dla bezpieczeństwa Qasamy, jak i jej własnego.

Z westchnieniem wyłączyła wzmacniacze wzroku i spróbowała zanurzyć się w otaczających ją ciemnościach.

W końcu jej się to udało.

## Rozdział 19

Obudziła się nagle i przez chwilę siedziała w ciemności z sercem łomoczącym w piersiach, jej zamglony umysł starał się ustalić, co wytrąciło ją z głębokiego snu. Usłyszała jakiś dziwny hałas i zerwała się na równe nogi, tłumiąc jęk, kiedy ból przeszył jej zeszywniałe stawy i mięśnie.

— Co się stało? — syknął Akim.

— Kłopoty — powiedziała ponuro Jin, włączając wzmacniacze wzroku.

Akim siedział już, przecierał ręką oczy i sięgał po buty. Daulo spał wciąż w najlepsze.

— Ten głęboki pomruk brzmi jak próba silników przed lotem.

Oczy Akima rozszerzyły się.

— Co? — zapytał ostro, wkładając szybko buty i zrywając się z miejsca.

— Próba silników przed lotem — powtórzyła, kucnąwszy obok Daula i potrząsając go za ramię. — No już, obudź się, Daulo Sammon.

— Która jest godzina? — zapytał Akim, chwytając Jin boleśnie za ramię.

— Spokojnie — mruknęła gniewnie, strząsając jego rękę i włączając obwód zegarowy nanokomputera.

Odczyt zaskoczył ją: przebywali na statku zaledwie siedem godzin.

— Jest dopiero późny ranek — powiedziała.

— Późny ranek! Przecież mówiłaś...

Daulo sapnął nagle.

— Kto to? — powiedział chrapliwie.

— Ćśśś! — ostrzegła go Jin. — Spokojnie... to Jasmine Moreau i Miron Akim. Jak się czujesz?

Zawahał się, przełykając głośno ślinę.

— Dziwnie. Boże nad nami, to były złe sny.

— Niektóre z nich nie były chyba snami — zauważyła Jin. — Czujesz się na siłach, by podróżować?

Zaciskając zęby Daulo uniósł się do pozycji siedzącej, jego twarz wykrzywił na moment bolesny skurcz.

— Trochę kręci mi się w głowie, ale to wszystko. Chyba dam sobie radę, jeśli nie będziemy musieli iść za daleko i za szybko. Gdzie jesteście?

— Na statku Troftów. — Jin zwróciła się do Akima, zauważyła z ulgą, że odzyskała równowagę. — Zrobię krótki rekonesans na zewnątrz — powiedziała do niego. — Postaram się sprawdzić, co się dzieje.

— Pójdę z tobą — powiedział Akim.

— Chyba lepiej, gdybyś został tu z...

— Powiedziałem, że pójdę z tobą.

Jin skrzywiła się, ale skinęła głową.

— W porządku. Daulo, zostań tu i rozruszaj mięśnie. Za kilka minut wrócimy.

Korytarz znajdujący się tuż za drzwiami był pusty, chociaż odgłosy aktywności dochodzące ze wszystkich stron wskazywały, że był to prawdopodobnie tylko przejściowy stan.

— Dokąd? — syknął jej do ucha Akim, kiedy wyszła.

— Tędy — szepnęła w odpowiedzi, kierując się z powrotem w stronę centralnego korytarza statku. Rozglądając się na boki, ruszyła do przodu szybkim truchtem. — Musimy znaleźć pomieszczenie z monitorem pełnego zasięgu — powiedziała, kiedy dogonił ją i wyrównał tempo. — Większość z nich będzie w szyi i centrum dowodzenia.

— Jesteś pewna? — parsknął gniewnie. — Byłaś tak samo pewna, że Obolo nie zacznie działać do jutra.

Zerknęła do tyłu na jego spiętą, wrogą twarz.

— Więc może przeceniłam opanowanie Obola Nardina — warknęła. — Albo Troftowie doszli do wniosku, że szansa na to, że zostaniemy złapani, jest niewielka. Zdecydowali się więc wyładować towar i uciekać, zanim wpadną w ręce waszych ludzi.

— Albo może...

Niecałe trzy metry przed nimi rozsunęły się drzwi i na korytarz wyszedł Troft.

Był szybki, to prawda. Jego ręka powędrowała natychmiast do pistoletu przypiętego na pasie do tułowia i zacisnęła się na rękojeści...

Jin przeskoczyła dzielącą ich odległość, jedną ręką unieruchomiła pistolet, drugą wbiła mocno w gardło Trofta.

Upadł, nie wydając żadnego dźwięku. Jego ciało głucho uderzyło o posadzkę.

— Idziemy — odetchnęła Jin, zaglądając przez drzwi, którymi wyszedł Troft.

STACJA MONITOROWANIA LEWOBURTOWEGO NAPĘDU — przeczytała oznaczenia wypisane symbolami mowy handlowej.

— Jesteśmy na miejscu — mruknęła do Akima i nacisnęła płytkę. Drzwi rozsunęły się, ukazując pomieszczenie pełne błyskających świateł i lśniących ekranów oraz... drugiego Trofta siedzącego przed nimi na obrotowym krześle.

Zamierzał właśnie odwrócić się w kierunku drzwi, kiedy Jin zrobiła długi krok do przodu. Wątpliwe, czy zorientował się, co go trafiło.

— Wnieś tu tego drugiego — szepnęła do Akima, rozglądając się, by mieć pewność, że w pomieszczeniu nie ma już więcej nikogo.

Akim wciągnął nieprzytomnego Trofta, po czym wychylił się po raz ostatni i rozejrzał uważnie, zanim pozwolił zamknąć się suwanym drzwiom.

— Czy oni nie żyją? — zapytał.

Wzdrygnąwszy się, rzucił bezwładne ciało na podłogę.

— Żyją — zapewniła go Jin. — Ale przez jakiś czas będą wyłączeni z akcji. Lepiej to zostaw — dodała, kiedy Akim podniósł ostrożnie laser Trofta. — To niezwykle paskudna broń, a nie mam teraz czasu cię uczyć, jak się nią posługiwać. W tej chwili równie dobrze mógłbyś zrobić sobie nią krzywdę, jak trafić kogokolwiek innego.

Niechętnie upuścił laser na tułów jednego z Troftów, a Jin skupiła uwagę na tablicach rozdzielczych. Gdzieś tu musiał być... jest: WYBÓR KAMERY MONITORUJĄCEJ. Gdyby teraz znalazła kamerę obserwującą tylny luk ładunkowy, lub nawet przestrzeń na zewnątrz... jest.

— Zobaczmy — powiedziała, dotykając niepewnie przełącznika.

Centralny ekran zmienił się w obraz w kształcie rybiego oka, pochodzący gdzieś z okolic dyszy napędu prawej burty. W jednym krańcu widziała narożnik rampy wieży ładunkowej, w drugim bramę do zamieszkałej części Mangus. W

środku kilkunastu ludzi poruszało się kołowymi transporterami ładunków pomiędzy bramą a statkiem.

Akim dostrzegł to pierwszy.

— Oni nie rozładowują statku — powiedział nagle. — Transportery są puste... widzisz?

— Tak — potwierdziła Jin, żołądek podskoczył jej do gardła. — Cholera. Być może miałeś jednak rację, Mironie Akimie. Obolo Nardin najwyraźniej pakuje swoje zabawki na statek i ucieka z Mangus.

Akim zaklął pod nosem.

— Nie możemy pozwolić mu uciec — stwierdził. — Mając komputery Troftów będzie mógł usadzić się gdzieś w Wielkim Łuku i kontynuować swoją zdradziecką działalność.

— Wiem. — Jin obserwowała przez chwilę ekran, próbując zebrać myśli. — W porządku — powiedziała w końcu. — Zaczekaj tu, wracam po Daula Sammona.

— A co potem? Wszyscy są uzbrojeni, nawet gdyby udało nam się przedrzeć przez nich, nie ma możliwości, byśmy zdążyli wezwać wsparcie na czas.

— Wiem. — Podeszła do drzwi, rozsunęła je i wyjrzała. Nikogo nie dostrzegła. — Będziemy musieli zrobić coś innego. Na przykład opanować statek.

Kiedy dotarła do pompowni, Daulo czekał na nią, przemierzając nerwowymi krokami ciasną przestrzeń.

— Co się dzieje? — zapytał ostro, gdy wślizgnęła się do środka.

— Wygląda na to, że Obolo Nardin szykuje się do wyjazdu — powiedziała, mierząc go wzrokiem. — Jak się czujesz?

— Poradzę sobie. Co to znaczy: "Szykuje się do wyjazdu"?

— To, co powiedziałam. Jego ludzie ładują rzeczy na statek.

— A Troftowie mu w tym nie przeszkadzają?

— Nie. Oni mu pomagają. Ćśś!

Z korytarza dobiegły odgłosy kroków dwóch osób.

— Ale jak się stąd wydostaniemy, zanim oni odlecą?

— Nie zrobimy tego. — Na korytarzu znów zapadła cisza. Uchyliwszy odrobinę drzwi, Jin wyjrzała na zewnątrz. — W porządku, wygląda na pusty. Jeśli spotkamy Troftów, pozwól mi się z nimi uporać.



Wyślizgnęli się i ruszyli do przodu.

— Gdzie oni wszyscy są? — syknął Daulo rozglądając się w biegu.

— Wielu z nich jest pewno na rufie, pomagają ładować — mruknęła w odpowiedzi Jin. — Reszta jest zajęta w pomieszczeniach inżynierskich albo na przodzie, w centrum dowodzenia.

Tam właśnie zmierzali. Informowanie go o tym nie wydawało się dobrym pomysłem. Bez incydentów dotarli do stacji monitorowania napędu lewej burty, zabrali Akima i poszli dalej.

— Trzymajcie się po bokach — ostrzegła obu mężczyzn, kiedy zbliżyli się do końca przewężenia. — Jeśli będę musiała strzelać, to prawdopodobnie do przodu albo do tyłu. Nie chcę, żebyście znaleźli się na linii strzału.

Opuścili przewężenie i wkroczyli do leżącej za nim płaskiej iglicy centrum dowodzenia. Jin była przygotowana do natychmiastowej walki, ku jej niewielkiemu zaskoczeniu, nadal w zasięgu wzroku nie było nikogo.

— Ilu obcym będziemy musieli stawić czoło? — mruknął Akim.

— Na statku takich rozmiarów jest ich prawdopodobnie od trzydziestu do pięćdziesięciu — odpowiedziała Jin, próbując przypomnieć sobie tę odrobinę wiedzy, jaką posiadała o rozkładzie statków Troftów. Mostek powinien znajdować się w pobliżu centrum dowodzenia, tuż pod kopułą czujników. Drzwi kontaktowe rozsunęły się na boki, kiedy podeszli...

Znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu pełnym monitorów.

Jin pamiętała, że było to rozwiązanie charakterystyczne dla statków Troftów. Wycięta jakby na skrzyżowaniu dwóch głównych korytarzy okrągła przestrzeń, której ściany pokryte były monitorami i ekranami. W jego centrum znajdowały się szerokie spiralne schody prowadzące na wyższy poziom.

— Myślę, że jesteśmy na miejscu — stwierdziła Jin. — Trzymajcie się teraz za mną i...

— Stać, ludzie! — ktoś krzyknął po qasamańsku za ich plecami. Głos był jednostajny, mechaniczny.

Jin obróciła się gwałtownie, kucając u podstawy schodów i odpychając Daula i Akima na boki. Powietrze ponad jej głową przeciął błysk światła i ognia, w ułamek sekundy później nanokomputer rzucił ją w bok płaskim skokiem. Przeturlała się na prawe biodro i obróciła lewą nogę w stronę Trofta kierującego na nią lufę. Z trudem wygrała ten wyścig i korytarz zapłonął ogniem jej przeciwpancernego lasera.

W ułamku sekundy wstała i pobiegła z powrotem w stronę schodów.

— Za mną na górę — warknęła na Akima i Daula, przeskakując po pięć schodów naraz.

Ktokolwiek był na górze, nie mógł nie usłyszeć hałasu, musiała więc dotrzeć tam, zanim odetną dostęp do mostka.

Serce zamarło jej w piersiach, bowiem przez sekundę sądziła, że jest za późno. Wychodząc zza ostatniego zakrętu schodów, spojrzała w górę i zobaczyła, że ciężka pokrywa wjazdu zaczyna się zamykać.

Kolana Jin wyprostowały się raptownie, wyrzucając ją w desperackim skoku prosto w górę. Dłonie w ostatniej chwili chwyciły krawędź otworu...

Jęknęła, kiedy gumokauczkowa krawędź pokrywy opadła z hukiem na jej palce.

Jin wisiała tak przez długą chwilę, obraz falował jej przed oczami, palce rozdzierał straszliwy ból. Zamarła, kiedy zrozumiała, że jest całkowicie bezbronna. Nie mogła dosięgnąć spustów laserów palcowych, broń soniczna była bezużyteczna w przypadku metalowej pokrywy, nie mogła wycelować przeciwpancernym laserem. Próbowwała skorzystać z siły wspomagania, ale próba popchnięcia w górę kłapy wjazdu końcem dłoni wywołała tylko nową falę bólu przeszywającą palce jak wstrząs elektryczny...

Wstrząs elektryczny!

Jej umysł odzyskiwał powoli swą sprawność. Zacisnęła zęby i wystrzeliła z miotacza energii elektrycznej.

Nie umiała określić, czy wystrzelony na oślepie piorun rzeczywiście w coś trafił. Słyszała jeszcze dudnienie w uszach, kiedy nagle ciśnienie przygniatające jej ręce zaczęło słabnąć. Ponownie pchnęła do góry pokrywę, tym razem skutecznie. Serwomotory w ramionach zgrzytnęły z wysiłku i wąż się otworzył. Podciągnęła się mocno drugą ręką i wysunęła do góry przez otwór.

Czekali na nią... ci, którzy nie byli oparci o pokrywę w momencie strzału z miotacza energii... ale było jasne, że nie rozumieli, komu stawiają czoło. W chwili gdy wyskoczyła z impetem z otworu wjazdu, pomieszczenie rozbłysło krzyżującymi się promieniami laserów przecinającymi powietrze.

Było ich pięciu, nie dała im jednak szansy na ponowne wycelowanie. Jin osiągnęła szczytowy punkt trajektorii lotu, o mało nie uderzając głową w strop, po czym jej lewa noga zatoczyła ostry łuk, celnie omiatając Troftów śmiercionośnym ogniem przeciwpancernej lasera.

Kiedy potykając się, wylądowała na podłodze, było już po wszystkim.

Przez chwilę stała zgięta w pół, zacisnąwszy zęby z powodu pulsującego bólu w palcach. Laminowane kości były w zasadzie nie do złamania, ale skóra na nich nie miała takiego zabezpieczenia i zaczynała sinieć od ciężkiego stłuczenia.

— Wszystko w porządku? — dobiegł z za jej pleców niepewny, przytłumiony głos.

Odwróciła się i zobaczyła Akima ostrożnie wystawiającego głowę ponad poziom pokładu.

— Tak — mruknęła. — Wchodźcie, pospieszcie się. Musimy zabezpieczyć to miejsce.

Akim wszedł, Daulo podązał tuż za nim.

— Co ci się stało w dłonie? — zapytał ostro Daulo, podchodząc i ujmując ją za rękę.

— Próbowali zatrzaskać przed nami drzwi. Nie przejmuj się tym. Zamknijcie i zablokujcie właz, dobrze?

Ruszyli obaj, by wykonać polecenie, a ona przeszła obok szeregu dymiących jeszcze ciał Troftów, by obejrzeć tablice rozdzielcze. Z tyłu doszło ją głucho kłapanie, świadczące o tym, że kłapa została zamknięta, i po chwili obok niej stanął Akim.

— Nie słyszę sygnałów alarmowych — skomentował cicho. — Czy jest możliwe, że nie zdążyli wezwać pomocy, zanim zginęli?

Jin zmarszczyła brwi, obserwując jeden z ekranów. Pokazywał tę samą scenę, którą wraz z Akimem oglądali wcześniej ze stacji monitorowania napędu lewej burty. Nie sądziła, aby było to możliwe... ale z drugiej strony ten statek został zbudowany raczej jako mały frachtowiec niż okręt wojenny. Jeśli w korytarzach nie wbudowano alarmów laserowych, być może nie było ich też na mostku.

— Wygląda na to, że nie — zgodziła się, wskazując na ekran. — Z pewnością nie widać żadnych oznak paniki.

— Co oznacza, że mamy trochę czasu — skinął głową Akim. — To już jest coś.

— Tylko jeśli będziemy szybko działać — powiedziała ponuro Jin. — Wątpię, czy ta kłapa powstrzyma ich na długo, kiedy zorientują się, co się stało.

W jej umyśle zaczął kształtować się niewyraźny, nie do końca przemyślany plan... ale niestety nie będzie miała czasu na opracowanie wszystkich szczegółów.

— Zostańcie tu. Wrócę, jak tylko będę mogła,

— Dokąd idziesz?

Akim zmarszczył brwi, jego głos był pełen niepokoju.

— Spróbuję pokrzyżować plany Obola Nardina. Zablokujcie za mną włącz i nie otwierajcie, dopóki nie usłyszycie sygnału... zastukam trzy razy, potem dwa razy, potem cztery razy. Zrozumieliście?

Odwróciła się w kierunku włączu... i zawahała się, widząc dziwny wyraz twarzy Daula.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

Wahał się długo, zanim wydobył z siebie te słowa.

— Zastrzeliłaś ich z zimną krwią.

Zerknęła na martwych Troftów.

— W obronie własnej, Daulo Sammon — rzuciła gniewnie. — My albo oni.

Ale słowa te zabrzmiały dziwnie nieprzekonująco i mimo bólu palców poczuła ukłucie winy. Jej dziadek w podobnej sytuacji zniszczył tylko broń wrogów...

— A poza tym — warknęła nagle, odwracając się do niego plecami — ktokolwiek kieruje tą operacją, potrzebuje porządnej lekcji pogładowej. Nauczą się, że zabawa ludzkim życiem cholernie dużo kosztuje.

Podeszła do włączu i odblokowała go. Lub raczej spróbowała go odblokować. Jej palce były jak martwe i Daulo musiał podejść i zrobić to za nią.

— Czy możesz nam powiedzieć, co zamierzasz?

— Spróbuję odciąć Obolowi drogę ucieczki.

Zawahała się, nasłuchując. Jeśli ktokolwiek znajdował się w pomieszczeniu z monitorami, musiał zachowywać się bardzo cicho.

— Wrócę, kiedy tylko będę mogła.

## Rozdział 20

Pomieszczenie z monitorami było wciąż puste, ale Jin wiedziała, że nie potrwa to długo. Wyślizgnąwszy się przez drzwi kontaktowe, opuściła centrum dowodzenia i przewężeniem poszła w stronę rufy. Poruszała się długimi susami, co pozwalało jej iść wystarczająco szybko, dając jednocześnie czas na nasłuchiwanie.

Znajdowała się mniej więcej w połowie przesmyku, kiedy usłyszała zbliżające się kroki, zaryzykowała zrobienie jeszcze dwóch susów, zanim ukryła się w pomieszczeniu z boku korytarza. Stojąc tuż za progiem, przyłożyła ucho do rozsuwanych drzwi i nasłuchiwała kroków czterech Troftów, przechodzących po drugiej stronie.

Czy zorientowali się, że na mostku są intruzi? — pomyślała niepewnie.

Ale nie było to pytanie, nad którym mogła się zastanawiać. Daulo i Akim nie byłiby bezpieczniejsi gdzie indziej, a poza tym Troftowie z pewnością zechcą odzyskać swój mostek w całości, zanim posuną się do gwałtownych czynów.

Poczekala, aż kroki ucichły całkowicie, otworzyła drzwi i wyślizgnęła się na korytarz. Szczęście nadal jej dopisywało, dotarła do końca szyi nie napotkawszy nikogo. Z westchnieniem ulgi zeszła do dużej sekcji transportowo-inżynierskiej. Gdyby doszło do walki, tu przynajmniej będzie mieć swobodę ruchów. A prawdopodobnie pracowało tu wielu Troftów...

Zawahała się, bo do głowy przyszedł jej nagle pomysł. Przeszkodzenie w załadunku było dobrą myślą, ale jeśli w tym samym czasie zlikwidowałyby przeciwników...

Wróciła do podstawy przewężenia. Tak jak się spodziewała, na samym początku sekcji transportowo-inżynierskiej widoczna była krawędź śluzy. Gdzieś tu musiało być sterowanie ręczne... jest. Ciągnąc dźwignię, patrzyła, jak ciężki metalowy dysk przesuwają się w poprzek korytarza, odcinając ją od przedniej części statku. Jeśli śluza była połączona z automatycznym alarmem...

Ale nie odezwały się żadne syreny ani klaksony. Musi być związany z czujnikami dekompresji — zdecydowała, szukając sposobu na zablokowanie drzwi. Nie miały oczywiście zamka, ale nadal wyglądało na to, że nikt jej nie zauważył.

Dwusekundowa salwa z przeciwpancerneho lasera przyzwoicie zespawała je punktowo. Spawy nie wytrzymają dłużej niż pół godziny, nawet gdyby próbowali oszczędzić przy tym drzwi. Ale jeśli dopisze jej szczęście, pół godziny to wszystko, czego będzie potrzebowała.

Poszła w głąb sekcji transportowo-inżynieryjnej, skręciła z większego korytarza w mniejszy, równoległy, miała nadzieję, że mało uczęszczany. Pozostając w pogotowiu, skierowała się w stronę luku rufowego i znajdującej się tam wieży załadunkowej.

Zewsząd dochodziły ją głosy i szумы, toteż jej wzmacniacze słuchu okazały się niemal bezużyteczne, ale mimo usłyszała Troftów na długo przedtem, zanim ich zobaczyła. Rozmawiali, a przy otaczającym ich hałasie musieli to robić głośno i przez chwilę Jin zatrzymała się za rogiem i nasłuchiwała.

— [...nie pozwalać im wejść jeszcze na pokład] — mówił jeden z głosów.

— [Komandor, on nie chce ich na pokładzie, dopóki nie zostanie załadowany cały sprzęt.]

— [Strefa izolacji, ona jest gotowa] — zaoponował drugi głos. — [Ludzie; gdyby ich tam umieścić, już by nam nie przeszkadzali.]

— [Więcej sprzętu; musi jeszcze być wniesione na pokład] — powiedział pierwszy.

— [Załadunek; moglibyśmy prowadzić go efektywniej sami.]

— [Sprzęt, który ma dojechać; spora jego część jest za murem. Czy chciałbyś, żeby zobaczyli nas tam ludzie?]

Drugi Troft zaniósł się przesywającym, niemalże ultradźwiękowym śmiechem.

— [Czemu nie? Czyż ich mitologia nie zezwala na istnienie demonów?]

Pierwszemu z obcych nie było wcale do śmiechu.

— [Ryzyko; ono nie jest warte podjęcia] — powiedział ostro. — [Wróć na stanowisko. Ludzie; poinformuj ich, że wszystko, co pozostanie za murem za piętnaście minut, nie zostanie załadowane.]

Jin oblizwała wargi, nastawiając umysł na pełne obroty. Troftowie wyraźnie nie odnosili się entuzjastycznie do pomysłu wprowadzenia swych qasamańskich klientów na pokład ich statku, i o ile było to dobre dla dalekosiężnych planów, o tyle nie pomagało mającej nadejść wkrótce konfrontacji. Troft napotkany przed stacją monitorowania napędu lewej burty wyciągnął broń bez ostrzeżeń i pytań,

nie miała zamiaru tym tutaj pozwolić na to samo. Zaciśnawszy zęby, wyszła z za rogu.

Akurat w tej samej chwili dwaj Troftowie zniknęli, kierując się w stronę zamieszania panującego przy służbie.

Odetchnęła cicho z ulgą i pospieszyła za nimi. Znajdowała się zaledwie o dwa kroki od głównego korytarza, kiedy powietrze przecięło nagle wysokie wycie alarmu.

Mostek? Czy zaspawana śluza? Nie sposób się dowiedzieć, co odkryli Troftowie, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Jakkolwiek by było, jej krótki okres ochronny skończył się. Przyspieszyła kroku, wyszła z za rogu...

I zatrzymała się gwałtownie zaledwie trzy metry od centrum tego całego zamieszania.

Gumokauczukowy tunel, w którym niecałe osiem godzin wcześniej wycięła dziurę, stał się wąskim gardłem. Utknęło w nim pół tuzina ludzi, tyleż samo Troftów i kilka wyładowanych sprzętem transporterów. Powód przynajmniej częściowo był jasny. Ludzie podający sobie sprzęt z rąk do rąk u wejścia do służby przekazywali go Troftom, którzy wnosili go na statek,

Kiedy Jin się zatrzymała, wszyscy, którzy znajdowali się w tym tłumie, spojrzeli na nią jednocześnie.

— [Ty!... Stój i przedstaw się] — zawołał do niej jeden z bliżej stojących Troftów, sięgając ręką do przypasanego pistoletu. — Ty! — w sekundę później szpilka jego translatora zadudniła qasamańskim tłumaczeniem. — Stój tam gdzie...

Dalszą część jego wypowiedzi pochłonął huk wybuchu, gdy miotacz energii elektrycznej uderzył w jedną ze stojących pod ścianą skrzyń.

Ktoś krzyknął zduszonym głosem, ktoś inny zaklął gwałtownie. Potem zapadła cisza, słychać było tylko wycie alarmu w tle.

Cała szóstka Troftów była uzbrojona, podobnie jak dwóch Qasaman. Ale żaden z nich nie sięgnął po broń. Nikt się nawet nie ruszył... i kiedy Jin wpatrywała się w ich zamarte twarze, zrozumiała, dlaczego tak się stało. Zdali sobie w końcu sprawę, komu stawiali czoło.

Łatwo ich wszystkich zabić. Jeden szybki obrotowy ruch lewej nogi i przeciwpancerne laser Jin poprzecinałby ich jak ognisty nóż. I taktycznie byłoby to z pewnością mądre rozwiązanie. Zmniejszyłoby liczbę przeciwników i zwiększyło szansę na ucieczkę ze statku.

"Zastrześliłaś ich z zimną krwią" — przypomniała sobie słowa Daula.

Zacisnęła zęby... Wspomnienie przerażenia, które malowało się na jego twarzy, kiedy oglądał rezultaty jej działania, było zbyt jaskrawe, by je zignorować.

Poza tym Troftowie na mostku pierwsi zaczęli strzelać, ci ludzie nie wyciągnęli nawet broni.

Niech ich diabli.

— Qasamanie, opuście statek — warknęła. — Natychmiast.

Nikt nie próbował zostać bohaterem, nikt nie próbował dyskutować. Ci, którzy stali najdalej na rampie, pierwsi odwrócili się i zaczęli uciekać, inni poszli w ich ślady, porzucając przy tym swe transportery.

Jin zerknęła na Troftów, membrany ich ramion rozciągnięte były szeroko z zaskoczenia, przerażenia bądź gniewu. Albo wszystkiego naraz.

— [Wasze ręce; wy położycie je na głowach] — rozkazała, posługując się piskliwą mową.

Jeden z obcych rozejrzał się po pozostałych, jego błony ramienne drgnęły na sekundę, po czym ponownie zeszywniały.

— [Ale ty jesteś kobietą] — powiedział, wyraźnie oniemiały. — [Wojownik Kobra; ty nie możesz być nim jednocześnie.]

— [Jedna z wielu rzeczy, których nie wiesz o wojownikach Kobrach, uznaj to za jedną z nich] — warknęła Jin. — [Ty i twoi towarzysze; wy posłuchacie mego rozkazu.]

Powoli i niechętnie Troft uniósł ręce z daleka od broni i położył je na głowie. Po długiej chwili pozostali uczynili to samo.

Jin zrobiła krok w stronę krawędzi śluzy.

— [Wejdziecie teraz do statku] — poleciła im. — [Załadunek sprzętu; on jest zakończony.]

Pierwszy z obcych popatrzył na swych towarzyszy i zrobił troftowski odpowiednik skinięcia głową. Ostrożnie przeszli szeregiem obok Jin do głównego korytarza.

— [Co z ludźmi?] — zapytał pierwszy Troft, kiedy do nich dołączyła.

— [Wasze układy z nimi; one są zakończone.]



Jin ostrożnie wycofała się ze śluzy w stronę wieży ładunkowej, usiłując jednocześnie obserwować Troftów i patrzeć na znajdującą się za nią rampę.

— [Obietnica; nasza domena uczyniła ją im.]

— [Obietnica; ona jest złamana.]

Jin znalazła się teraz obok płyty kontrolnej śluzy i przerzuciła na nią wzrok. Jak przypuszczała, duży przycisk awaryjny okazał się łatwy do zidentyfikowania. Zebrawszy się w sobie, ustawiła stopy, nacisnęła przycisk łokciem i wyskoczyła ze śluzy na platformę wejściową.

Zewnętrzny zamek zasunął się gwałtownie tuż przed jej twarzą. Huk odbił się echem w gumokauczkowym tunelu...

Błysk ognia laserowego przeciął za nią gumokauczuk i metal.

Upadła natychmiast na brzuch i odwróciła się twarzą do rampy. Zauważyła na dole grupę Troftów, którzy poruszali się ostrożnymi susami w stronę tunelu, mieli przygotowane lasery. Namierzyła ich, a jej ręce zaczęły odruchowo układać się w pozycję do strzału...

Syknęła, kiedy ukłucie bólu przeszło uszkodzone palce, przypominając poniewczasie, że spusty laserów małych palców znajdowały się poza jej normalnym zasięgiem. Następna laserowa salwa przecięła powietrze ponad jej głową. Kręcąc się na biodrze i kolanie, Jin obróciła stopy wokół osi, kierując je w dół w stronę rampy, i strzeliła z przeciwpancernego lasera.

Lewa noga poruszała się jakby niezależnie od jej woli, nanokomputer kierował strzałami ze śmiertelną dokładnością i ogień laserów z dołu nagle ustał.

Chociaż prawdopodobnie nie na długo. Na dole znajdują się następni Troftowie, a także uzbrojeni ludzie, ale przy pewnej dozie szczęścia cała ta opozycja skupi się na prawej burcie statku, pomiędzy zespołem mieszkalnym Troftów a bramą do części Mangus, zamieszkiwanej przez ludzi. Obróciła nogi z powrotem w stronę śluzy i zaspawała ją, podobnie jak kilka minut temu śluzę wewnętrzną. Potem, zmieniając cel, wycięła laserem kawał gumokauczkowego tunelu. Przeturlała się, wstała i rzucając ostatnie krótkie spojrzenie w dół rampy wyskoczyła przez dziurę na lewe skrzydło statku. Gorąco dochodzące z dyszy napędu uderzyło ją gwałtownie, kiedy przebiegała obok. Pochylając się nisko, biegła naprzód po skrzydle. Na wprost przed nią wyłonił się budynek naprawczy. Ostatnie kilka metrów przewężenia statku otoczone było znajomym gumokauczkowym kołnierzem znajdującym się po prawej stronie, górny pokład sekcji transportowo-inżynieryjnej stanowił wspianiałą kryjówkę. Po lewej...

Duża część zewnętrznego muru zniknęła.

To zrozumiałe — stwierdziła po namyśle. Baldachim, rozciągnięty na górze, skutecznie ukrywał obecność Troftów, ale jednocześnie uniemożliwiał lądowanie statku. Zbudowanie rozsuwanych wrót w murze było najprostszym rozwiązaniem.

Z jej punktu widzenia było to korzystne. Oznaczało to, że jeżeli Daulowi, Akimowi i jej uda się wydostać ze statku, nie będą musieli wspinać się na żadne mury.

Dotarła do gumokauczkowego kołnierza, nie słysząc żadnych strzałów ani krzyków skierowanych w jej stronę. Okazało się jednak, że powstał nowy problem. Pomiędzy kołnierzem a statkiem nie było żadnej szpary, przez którą mogłaby się przedostać, i chociaż jej przeciwpancerny laser rozprawiłby się z gumokauczkiem, zrobiłby to na tyle efektywnie, by zwrócić uwagę Troftów, znajdujących się wewnątrz budynku. A jej lasery w palcach były nieczynne...

Zacisnąwszy usta, przyklęknęła, unosząc kolano i opierając na nim środkowy palec prawej ręki. Wyprostowała mały palec, wstrzymała oddech i nacisnęła kciukiem paznokiec środkowego palca.

Zawsze uważała, że aby zadziałał mechanizm spustowy, należało odpowiedni palec mieć zwinięty; jak się okazało, nie było to prawdą. Nowy sposób był niewygodny, ale skuteczny. Po kilku sekundach miała już wypaloną w gumokauczku klapę o nierównych brzegach. Obejrzała się po raz ostatni za siebie i wbiegła do budynku.

Na Aventinie widziała kiedyś warsztat naprawczy statków kosmicznych, ten zbudowany był na szczęście w podobny sposób. Centrum dowodzenia statku — typowa dla Troftów płaska iglica — wystawała na środek ogromnego suchego doku, gdzie znajdowały się ruchome schody i rampy prowadzące do luków i punktów dostępu do oprzyrządowania. Pod ścianami ustawione były rusztowania i żurawie załadunkowe, odsunięte teraz od statku przygotowującego się do startu.

Widziała także tuzin Troftów, którzy stali na rampach lub kręcili się po zatoce. Wszyscy mieli wyciągniętą broń i byli wyraźnie poruszeni.

Ale żaden z nich jeszcze nie zauważył Jin.

Pozwoliła sobie na ponury uśmiech. Byli przerażeni. Przerażeni i całkowicie niepewni tego, co robią. Ale wszyscy są uzbrojeni — ostrzegła samą siebie. — Wszyscy są uzbrojeni i jest ich tu cholernie dużo.

Myśl ta ostudziła nieco jej wywołaną adrenaliną pewnością siebie. Kucnąwszy jeszcze niżej, oblizała spierzchnięte wargi i zastanowiła się nad następnym ruchem.

Po lewej stronie w dole zobaczyła koniec przenośnych schodów, prowadzących do tylnej części centrum dowodzenia. Było mało prawdopodobne, aby tam stały, gdyby na ich górnym końcu nie znajdował się jakiś otwarty luk. Nie było także prawdopodobne, żeby pozostawiono je bez straży.

Ale jednocześnie była to najlepsza okazja, jaką miała, i musiała wykorzystać ją szybko, zanim Troftowie na zewnątrz zorientują się, dokąd poszła, i zaalarmują resztę. Gdyby udało jej się przejść jeszcze tylko kilka metrów wzdłuż przewężenia i dojść do tylnej krawędzi centrum dowodzenia, zanim któryś z obcych spojrzy w górę...

Pokonała zaledwie dwa metry, kiedy w suchym doku rozbrzmiała podekscytowana mowa Troftów.

Jin zakłęta pod nosem, wyprostowała się i pobiegła. Powietrze przed nią przeciął promień lasera omywając ją falą gorąca i światła. Odruchowo zamknęła oczy przed rażącą fioletową plamą, unoszącą się przed oczami, i włączyła wzmacniacze wzroku. Dotarła do celu, hamując z poślizgiem, obróciła się o czterdzieści pięć stopni i skoczyła.

Przeleciała ponad lewą tylną krawędzią centrum dowodzenia i wylądowała prosto na schodach, prowadzących do luku.

Przez chwilę starała się złapać równowagę, wyrzuciła ręce na boki, chwytając kciukami balustradę, i desperacko broniąc się przed upadkiem do tyłu ze schodów. Przez moment można było do niej strzelać jak do kaczki, ale po raz kolejny Troftowie znieruchomieli zaskoczeni. Obcy, stojący u szczytu schodów przed lukiem, stał po prostu jak sparaliżowany. Stał tak nadal, kiedy przeciwpancerny laser Jin niemalże przeciął go na pół.

Minęła zaledwie sekunda i lasery Troftów odezwały się ponownie, ale Jin potrzebowała właśnie tej sekundy. Odzyskawszy równowagę, pokonała pozostałe kilka schodów jednym skokiem i pobiegła susami przez korytarz. Miała nadzieję, że doprowadzi ją do mostku.

Korytarz był pusty i kiedy po dziesięciu metrach dotarła do pomieszczenia z monitorami, zrozumiała dlaczego. Prawie dwudziestu Troftów wypełniało pomieszczenie. Byli skupieni wokół spiralnych schodów i obserwowali dwóch kolegów, pracujących na samej górze laserowym palnikiem nad pokrywą włazu.

Wszyscy odwrócili się, kiedy ślizgała się po posadzce i dwadzieścia laserów wycelowało w jej kierunku...

Z hukiem, który wstrząsał jej czaszką, Jin uruchomiła broń soniczną.

Pomieszczenie zajaśniało wielokrotnymi błyskami laserów i Troftowie ustawieni w trójkąt zaczęli padać zginając się wpool, ich dłonie podrygując konwulsyjnie naciskały spusty laserów niemalże na oślep. Jin wystrzeliła jeszcze raz, wyginając tułów pod innym kątem, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Zaciśnęła mocno zęby, broniąc się przed odbitą falą z broni sonicznej i z trudem unikając trafienia z laserów, nad którymi ledwie panowali ich właściciele. Kiedy pierwsi Troftowie przestawali strzelać, reszta padała ciągle na pokład. Po chwili wszystko ucichło, ostatnia grupa uspokoiła się, Jin była już na schodach i łomotała dłonią w pokrywę, wystukując szyfr, który ustaliła z Akimem: trzy, dwa, cztery.

Skończyła i czekała. Ciągle czekała. Kiedy niektórzy z Troftów leżących poniżej zaczęli się poruszać, usłyszała dźwięk zwalnianych zatrząsków i pokrywa nagle się otworzyła.

— Jin! — sapnął Daulo, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. — Nic ci się nie...

— Wszystko w porządku — mruknęła. — Zejdź mi z drogi, dobrze? Za chwilę znowu będą strzelać.

Odsunął się pospiesznie, a Jin przeskoczyła kilka ostatnich schodów i weszła na mostek. Akim czekał z boku. Ledwo zdążyła odsunąć się od krawędzi, kiedy zatrzasnął z powrotem pokrywę.

— Wróciłaś — powiedział kucając, by zablokować zatrząski.

— A myślałeś, że nie wrócę? — odparła Jin.

Jej kolana stały się nagle miękkie, podeszła chwiejnie do krzesła i opadła na nie. Akim mierzył ją wzrokiem.

— Myśleliśmy, że poszłaś po pomoc.

— Pomoc skąd? — odparła Jin. — Czy nie ustaliliśmy, że nie uda nam się dotrzeć do twoich ludzi przed upływem kilku godzin? — Jej stopa dotknęła czegoś metalowego. Jin odchyliła się do tyłu i zauważyła rząd pięciu laserowych pistoletów leżących pod płytą. — Zakładasz kolekcję? — zapytała.

— Pomyśleliśmy, że dobrze by było je zgromadzić — powiedział Daulo. — Na wypadek gdyby... wiesz, nie byliśmy pewni, czy wrócisz.

— Dlaczego wróciłaś? — zapytał ostro Akim. — Będę szczery, nie chcę umierać z wrogiem Qasamy.

Jin wzięła głęboki oddech i z trudem wypuściła powietrze.

— Przy odrobinie szczęścia nie będziesz musiał. Czy dowódca Troftów próbował się z wami skontaktować?

— Chce, żebyśmy się poddali — wtrącił Daulo, wyraźnie starając się ukryć drżenie w głosie. — Mówi, że nie uda nam się w żaden sposób zwyciężyć, a nie chcą nas zabijać, jeśli to nie będzie konieczne.

— Wcale mu się nie dziwię — skinęła głową Jin. — Szczególnie że prawdopodobnie zniszczyłby sobie przy okazji cały mostek kapitański. — Pochyliła się, studiując znajdujące się przed nią tablice rozdzielcze.

Wzrok Akima powędrował za jej spojrzeniem.

— Co ty właściwie zamierzasz, Jasmine Moreau? — zapytał. — Chcesz odlecieć tym statkiem z Mangus?

— Nie ma szans. Nigdy w życiu nie kierowałam niczym większym niż statek powietrzny, a teraz nie jest czas na naukę. — Zawahała się, spoglądając przez ramię, kiedy na mostku rozległo się słabe trzeszczenie. Dźwięk ten dochodził zza pokrywy włazu... — Idą — powiedziała i ze ściśniętym żołądkiem wróciła z powrotem do przyrządów. Gdzieś tu musiał być...

Jest. Biorąc głęboki oddech, Jin pochyliła się do przodu i dotknęła niepewnie przełącznika.

— Co ty robisz? — zapytał ostro Akim podejrzliwym tonem.

— Pamiętasz, Mironie Akimie, jak dziwiliśmy się, że Obolo Nardin wpadł w panikę? — zapytała. Siła głosu... jest. Mikrofon?... przymocowany tam do ściany. — Zastanawialiśmy się, dlaczego on i Troftowie mieliby zrezygnować z podsłuchu, skoro wrogowie nie mogli być jeszcze w drodze — dodała, uwalniając mikrofon z uchwytu i ujmując go niezgrabnie.

— Pamiętam — burknął Akim. — Czy masz zamiar dać nam na to odpowiedź?

— Mam nadzieję.

Wzięła głęboki oddech. Jeśli się myliła... Zbliżyła mikrofon do ust i nacisnęła guzik włącznika.

— Tu Jasmine Moreau — powiedziała po angielsku. — Powtarzam, tu Jasmine Moreau. Odbiór. Tu Jasmine Moreau. Odbiór. Tu Jasmine.,,

Z głośnika umieszczonego na tablicy nagle popłynęły słowa.

— Tu kapitan Koja, dowódca "Dewdrop". Słyszemy cię, Kobra Moreau, jesteśmy gotowi lądować i cię zabrać.

## Rozdział 21

Dopiero za trzecim razem Jin udało się ponownie odezwać.

— Zrozumiano, "Dewdrop" — wyjąkała. — Ja... — zerknęła w górę i zobaczyła Akima przyglądającego się jej posepnie. — Włączcie, proszę, translator qasamańskiego.

Po drugiej stronie zapadła na chwilę cisza.

— Dlaczego?

— Mam tu ze sobą kilku Qasaman — wyjaśniła Jin, przechodząc na ich język. — Myślę, że powinni uczestniczyć w rozmowie.

— Z kim rozmawiasz? — zapytał ostro Akim.

— Z aventińskim statkiem — wyjaśniła Jin. — Przybyli, by mnie uratować. Kapitanie, czy jesteście nadal na orbicie?

— Tak.

Słowo to zostało wypowiedziane po qasamańsku, sztucznym głosem programu tłumacza.

— Gdzie jesteś... zaczekaj, dowódca grupy ratunkowej chce włączyć się do rozmowy.

— Jin? — powiedział po qasamańsku z akcentem znajomy głos...

Głos pełen ulgi.

— Jin, tu tata. Wszystko w porządku?

Jin otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

— Tata! Tak, tak, wszystko w porządku. Ty... ale...

— Co, myślałaś, że nie rzucę wszystkiego, by odzyskać swoją córkę? Boże, Jin... posłuchaj, gdzie jesteś?

— W tym zakrytym terenie na zachód od Azras — nazywają to Mangus. Poczekaj chwilę, nie możecie jeszcze lądować.

— Dlaczego nie?

— Możecie natknąć się na rakiety samonaprowadzające. Podziękujcie Troftom, to z ich statku do was mówię.

Zapadła długa cisza.

— Zastanawialiśmy się, jak udało ci się dostać na tę częstotliwość — odezwał się w końcu translator "Dewdrop". — Co, u diabła, robią tam Troftowie?

— W tej chwili próbują pozbyć się nas ze swego mostka, aby móc odlecieć w bezpieczne miejsce ze swymi qasamańskimi sprzymierzeńcami.

— Sprzymierzeńcami? Chcesz powiedzieć, że Troftowie i Qasamanie zawarli przymierze?

— Nie, nie jest tak źle. To nic oficjalnego, prywatny układ z jakimiś qasamańskimi opryszkami próbującymi zdobyć władzę.

— Co może się jeszcze udać — mruknął Akim.

Jin zerknęła na niego.

— Tak, racja. Problem, tato, jest w tym, że musimy znaleźć bezpieczne wyjście ze statku dla nas trojga i upewnić się, że właściciele Mangus nie uciekną, dopóki nie rozliczą się z nimi władcy Qasamy.

— Zaraz, chwilę, Jin — powiedział ostrożnie Justin. — Oczywiście, zabierzemy ciebie i twoich przyjaciół, ale reszta wygląda mi na spór wewnętrzny. Nie powinniśmy się w to angażować.

Jin wzięła głęboki oddech.

— Już jesteśmy zaangażowani, tato, poprzez moją obecność tutaj. Uwierz mi po prostu na słowo.

— Jin...

— Kobra Moreau, mówi Koja — przerwał translator. — Odłóżmy tę dyskusję do chwili, kiedy będziesz bezpieczna, dobrze? Powiedziałaś, że jesteś na mostku?

— Tak, i w pewnym sensie jesteśmy uwięzieni...

— Czy możesz opisać statek? Czy to okręt wojenny?

— Wątpię, sądząc po tym, jak walczy załoga. A więc tak: statek ma dużą sekcję transportowo-inżynieryjną i nachylone do przodu skrzydła nad podwójnymi obudowami napędu. Na przedzie znajduje się typowa płaska iglica centrum dowodzenia, a obie części łączy długie przewężenie. Nie spostrzegłam żadnych znaków identyfikacyjnych.



— W porządku. Zobaczę, czy mamy jakieś dane o tego typu budowie.

— Jin? — powrócił głos Justina. — Mówi tata. A więc jesteście uwięzieni na mostku?

— Tak. Troftowie próbują dostać się do nas, wypalając dziurę w pokrywie luku awaryjnego. Mogę z nimi walczyć, jeśli to konieczne, ale wolałabym przekonać dowódcę, żeby nas po prostu wypuścił.

— Warto spróbować. Czy możesz nas z nim połączyć? Jin jeszcze raz przyjrzała się tablicy.

— Zaczekaj...

— [To nie będzie konieczne] — przerwał jej głos, posługujący się piskliwą mową handlową. — [Słuchałem.]

— Spodziewałam się tego — powiedziała Jin, kłamiąc tylko trochę. — Proszę mówić po qasamańsku, komandorze... jak powiedziałam "Dewdrop", moi towarzysze, też muszą tego wysłuchać,

Na chwilę zapadła cisza.

— Dobrze — powiedział głos tłumacza Troftów. — Wysłucham, ale musicie zrozumieć, że nie mogę pozwolić, żebyście uciekli.

— Dlaczego? — zapytał Justin.

— Umowa władcy naszej domeny z Qasamaninem Obolo Nardinem zostanie zerwana, jeśli jego plan się nie powiedzie.

— Ten plan już się nie powiódł — zauważyła Jin. — Jak wprowadzisz na ten statek waszych sprzymierzeńców, skoro odcięłam dostęp do sekcji transportowej? I gdzie będą przebywać w czasie lotu?

— Głupi człowieku! Jak myślisz, ile jest innych dróg wejścia na nasz statek?

— Kilka — zgodziła się Jin. — Ale domyślam się, że nie chcesz, żeby zobaczyli te miejsca, przez które musiałbyś ich przeprowadzić. Prawda?

— Qasamanie nie dowiedzą się niczego z pobieżnego spojrzenia na nasz sprzęt.

— Być może. Ale jeśli się mylisz, Qasamanie mogliby rozwinąć się odrobinę zbyt szybko, być może na tyle szybko, by wymknąć wam się z rąk, zanim zdążycie ustanowić dostatecznie silny rząd marionetek. Czy władca waszej domeny jest skłonny podjąć takie ryzyko?

— Ryzyko to jest minimalne — upierał się Troft.

— Być może — wtrącił się translator z "Dewdrop". — Powiedzmy to inaczej. Czy władca waszej domeny byłby skłonny pozwolić, aby w ręce Qasaman wpadł gwiazdny transportowiec klasy Żuraw?

Przez długą chwilę panowała cisza i wtedy właśnie Jin zdała sobie sprawę, w jakim jest stanie. Dotarła do niej świadomość pulsującego bólu w zeszywniałych palcach obu rąk, pieczenia w lewej kostce od nadmiernego używania przeciwpancerneho lasera i jeszcze bardziej bolesnego pieczenia wzdłuż żeber — jeden z laserowych strzałów musiał przejść bliżej, niż jej się wydawało. Jej wzrok powędrował dookoła mostka i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak wiele było tu sprzętu. Czy starczyłoby jej umiejętności i sił, by zniszczyć to wszystko systematycznie, gdyby musiała? Tylko tą bronią mogli straszyć w trakcie pertraktacji.

I dowódca Troftów wyraźnie zdawał sobie z tego sprawę.

— Naszym statkiem można sterować bez korzystania z mostka — powiedział w końcu.

— Z pewnością — zgodziła się "Dewdrop". — Większość statków posiada taką zdolność. Ale nie jest to łatwe. Poza tym zagrożony jest nie tylko mostek. Tuż nad jej głową znajduje się kopuła czujników, przebicie się przez nią nie zajęłoby aż tak wiele czasu. To nawet ciekawy pomysł. — Koją przerwał tok własnych myśli. — Jeśli twój statek zbudowany jest według standardowego wzoru, powinny istnieć równoległe połączenia pomiędzy wszystkimi czujnikami, aby umożliwić kontrolę w sposób zsynchronizowany. Mocny impuls wysokiego napięcia wzdłuż kabla łączącego mógłby zlikwidować każdy czujnik nawigacyjny na statku.

— Absurd — parsknął Troft.

— Być może. Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Troft zamilkł ponownie.

— Możecie wziąć Kobrę — powiedział w końcu. — Jeśli opuści statek w tym momencie, będzie mogła oddalić się bezpiecznie. Ale Qasamanie nie mogą odejść.

— Jin? — zapytał Justin.

— Nie — powiedziała twardo. — Moi towarzysze wyjdą razem ze mną lub zniszczą statek. Ale jestem gotowa złożyć wam kontrpropozycję.

— Słucham.

— Pozwolicie "Dewdrop" bezpiecznie wylądować i pozwolicie nam trojgu stąd wyjść, a nie będzie żadnych dodatkowych uszkodzeń statku.

— I...?

— Żadnego "i". My opuścimy Qasamę, wy opuścicie Qasamę i będzie po wszystkim.

Akim parsknął i odwrócił się od niej. Widząc jego napięte ramiona Jin zmarszczyła brwi, po czym wróciła do tablicy.

— Zrozum, komandorze: plan władcy twojej domeny nie udał się i wszystko, co możesz zrobić, to zmniejszyć straty.

— Plan działa, dopóki władze Qasamy nie dowiedzą się o prawdziwym przeznaczeniu Mangus — odparł Troft.

— W takim razie twój statek jest martwy — padło stanowcze stwierdzenie z "Dewdrop". — Nie tylko mostek i czujniki, komandorze, ale cały statek. Jeśli Jin zniszczy mostek, miną godziny, zanim będziecie mogli odlecieć... wiecie o tym równie dobrze jak my. O wiele wcześniej będziemy na miejscu, nawet gdybyśmy musieli lądować poza zasięgiem waszych rakiet samonaprowadzających i iść pieszo. A mamy na pokładzie trzynaście Kobr.

Jakiś ruch przykuł uwagę Jin, spojrzała na Daula, który zamienił się miejscami z Akimem.

— Myślisz, że komandor się zgodzi? — zapytał szeptem.

— Byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił — wymamrotała w odpowiedzi Jin. — Musi wiedzieć coś na ten temat, co mógłby zrobić z nim statek pełen Kobr. Nawet sama mogłam zabić połowę jego załogi, gdybym chciała.

— Powinnaś była to zrobić — burknął za jej plecami Akim.

— Chciałabym zakończyć tę awanturę jak najmniejszym rozlewem krwi — odparła przez ramię. — Wystarczy, że wypędzimy Troftów z planety, nie musimy ich wszystkich zabić tylko po to, by postawić kropkę nad "i". Chyba że komandor będzie nalegał na tego rodzaju lekcję.

— Nie nalegam — powiedział dowódca Troftów w taki sposób, że zabrzmiało to niemalże jak westchnienie. — Dobrze, Kobro, przyjmuję twoje warunki. Po lewej stronie masz klawiaturę. Wpisz następujące słowa.

Jin obróciła się w stronę klawiatury, Troft tymczasem przeszedł na mowę handlową i wydał serię rozkazów.

— Co on mówi? — zapytał Daulo.

— Wygląda to na procedurę sprowadzenia na statek wystrzelonych już rakiet samonaprowadzających — odpowiedziała.

Nad klawiaturą zajaśniał ekran.

— Tak — potwierdziła, studiując go. — Rakiety zostały rozbrojone, są już w drodze powrotnej na statek.

— W takim razie jesteśmy gotowi zejść z orbity, Jin — padło z "Dewdrop".  
— Czy mamy wylądować w pobliżu Mangus?

— Lepiej nie, qasamańskie wojsko może śledzić wasz lot.

Jin zastanawiała się przez chwilę. Qasamanie przypuszczalnie nie podsłuchiwali rozmowy... ale słyszała ją Akim, a nie chciała, aby qasamańskie helikoptery dotarły do "Dewdrop" wcześniej niż ona. Gdyby przeszła teraz na angielski, zarówno Akim, jak i Daulo mogliby się niepokoić, że wydaje statkowi jakieś tajne polecenia.

Nie chciała, by tak myśleli. Z powodów, które nawet dla niej samej nie były jasne, bardzo ważne stało się dla niej pokazanie, że Qasama i Światy Kobr mogą zaufać sobie, przynajmniej ten jeden raz.

— Dobrze, zrobimy tak — stwierdziła w końcu. — Wyobraźcie sobie, że Qasama to Aventura, a Mangus leży tam, gdzie Capitalia. Zejdźcie nisko, tak by nie mogli was śledzić, i polećcie ostrożnie do Watermix. Zrozumieliście?

— Tak — odpowiedziała natychmiast "Dewdrop". — Jesteś gotowa wyruszyć nam na spotkanie?

Jin spojrzała na ekran przedstawiający pozycję rakiet. Jeśli prawidłowo interpretowała jego wskazania, rakiety znajdowały się o piętnaście minut od Mangus.

— Tak, jesteśmy gotowi — powiedziała do mikrofonu.

— Nie, nie jesteśmy — zaproponował Akim.

Stojący obok niej Daulo odwrócił się i wciągnął szybko powietrze. Jin także się obróciła powoli i ostrożnie na swoim siedzeniu i zobaczyła Akima stojącego po przeciwległej stronie mostka. Celował w nią z małego urządzenia.

— Co to ma znaczyć, Mironie Akimie? — zapytała cicho.

— Dokładnie to, co powiedziałem — odparł równie cicho. — Na razie nie wychodzimy. Rekwiruję ten statek dla Shahnich Qasamy... i zamierzam się upewnić, że nam nie ucieknie.

## Rozdział 22

Przez kilka sekund Jin i Akim patrzyli na siebie.

— Zastanawiałam się, dlaczego przez cały czas się ze mną zgadzałeś — powiedziała w końcu Jin. — Teraz wiem. Twoim celem jest zdobycie gwiazdowego napędu tego statku, prawda?

— Gwiazdowego napędu? — parsknął Akim. — Myślisz zbyt wąskimi kategoriami, Jasmine Moreau... albo zbyt szerokimi. — Wykonał nieokreślony ruch wolną ręką, w drugiej ścisnął broń, cały czas celując w nią. — W zasadzie nie ma na tym statku niczego, czego nie moglibyśmy wykorzystać. Napęd gwiazdny, systemy komputerowe, zespoły silnikowe... nawet osobiste przedmioty załogi dadzą nam wiele informacji o tych naszych nowych wrogach. — Skinął lekko głową w stronę laserów leżących za nią pod tablicą. — Daulo Sammon i ja podczas twojej nieobecności mieliśmy czas, by nauczyć się posługiwania tą ręczną bronią. Miałaś rację, rzeczywistość jest bardzo skuteczna. Sama w sobie byłaby warta okupu.

Jin przerzuciła wzrok na dłoń Akima.

— Broń wiele dla ciebie znaczy, prawda? Co to jest, składany miniaturowy pistolet strzałkowy?

Akim skinął głową.

— Zaprojektowany na bazie tego, którego Decker York używał przeciwko nam trzydzieści lat temu. Bardzo wiele nauczyliśmy się dzięki waszej poprzedniej inwazji. Dzięki tej dowiemy się jeszcze więcej. Teraz wstań i podejdź do luku.

— Po co? — zapytała, nie ruszając się z miejsca.

— Chcę laser, który leży za tobą. Ten statek tu zostanie, a wy będziecie tak uprzejmi i powiecie nam, jak uniemożliwić jego odlot.

Mogę go powstrzymać — pomyślała. — Moja broń soniczna...

Jest na tyle powolna, że dałaby Akimowi czas na odruchowy strzał, a jeśli trucizna, którą pokryto strzałki, była podobna do tej, której używano w oryginalnym modelu sprzed trzydziestu lat... Spokojnie, spokojnie, nie wpadaj w panikę,

dziewczyno — nakazała sobie twardo. — Nadal panujesz nad sytuacją. Jeden ruch oczu i automatyczny celownik nanokomputera namierzył pistolet trzymany przez Akima. Zaciskając pięści Jin...

Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy świeża fala bólu przeszła poranione palce. Po raz kolejny zapomniała o dłoniach.

Do zniszczenia pistoletu Akima został jej tylko przeciwpancerne laser i miotacz energii elektrycznej. Gdyby użyła pierwszego z nich, Akim straciłby rękę... drugi zabiłby go na miejscu.

Jin poczuła silny skurcz w żołądku.

Nie zabiję go — powiedziała sobie. — Nie.

— Posłuchaj mnie, Mironie Akimie...

— Powiedziałem, wstań!

— Nie! — warknęła Jin. — Dopóki mnie nie wysłuchasz.

Akim wziął głęboki oddech i Jin zauważyła, że jego palce na pistolecie zacisnęły się na chwilę.

— Nie mam zamiaru zrywać naszego rozejmu, Jasmine Moreau — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Bardzo nam pomogłaś i nie zabiję cię, dopóki nie będę musiał. Ale chcę mieć ten statek.

Jin uświadomiła sobie nagle, że wciąż trzyma mikrofon i że głośnik znajdujący się za nią zamilkł. "Dewdrop" i dowódca Troftów czekali i słuchali.

— Posłuchaj mnie, Mironie Akimie — zaczęła, usiłując opanować drżenie w głosie i wyciągnęła rękę za siebie, by odłożyć mikrofon. — Nie chcecie tego statku. Qasama nie jest na niego przygotowana.

— A wy z Aventyny jesteście na tyle wszechwiedzący, by znać nasze możliwości.

— W jaki sposób będziecie nad nim panować? — nalegała Jin. — Widziałeś, do czego Obolo Nardin wykorzystał podarowane mu komputery. Jak uda wam się zapobiec, aby ktoś inny nie zrobił czegoś podobnego?

— Shahni będą kontrolować technologię. Upewnią się, że zostanie właściwie wykorzystana.

— Wykorzystana przez kogo? Czy Shahni mają się w takim razie stać technokratyczną oligarchią, rozdzielającą nowe technologie tym, których uznają za godnych tego? — Potrząsnęła głową. — Czy nie widzisz, jak zmieniłoby to całą strukturę qasamańskiego społeczeństwa? Widziałam, w jaki sposób

załatwiacie tu rozmaite sprawy, widziałam, za pomocą jakich metod każde z waszych miast i osad utrzymuje własną, niepodważalną równowagę polityczną, niezależną od innych. Twój rodacy są z tego bardzo dumni i zresztą powinni, to jedna z najmocniejszych stron waszego społeczeństwa. Dobrze by było, gdybyś przejrzał zapisy i legendy: wasi przodkowie opuścili Dominium Ludzi przede wszystkim po to, by uciec od nadmiernie scentralizowanych rządów.

— Więc może nadszedł czas, abyśmy dorośli — powiedział uparcie Akim.  
— Wolałabyś, żebyśmy zachowali dumę i prowadzili spory, a nawet zaczęli wojnę domową?

— Wojnę domową? — parsknęła gniewnie Jin. — Boże nad nami. boisz się wojny domowej i chcesz jeszcze dodać do tego nową broń?

— Broń będzie kontrolowana przez Shahnich...

— Jak długo? Miesiące? Dni? A jak myślisz, co się stanie, kiedy jedna z osad lub któreś z miast dostanie tę broń do ręki?

Akim zacisnął zęby.

— Jestem agentem Shahnich — oświadczył. — Jestem zobowiązany słuchać ich rozkazów i działać na korzyść Qasamy jako całości. Podejmowanie decyzji politycznych nie jest moim zadaniem.

— Dlaczego nie? — zaoponowała. — Jeśli o to chodzi, już podjąłeś polityczną decyzję. Jeśli liczą się tylko wydane rozkazy, to dlaczego mnie nie zabiłeś?

— Jeżeli pozbawienie Qasamy jakiegokolwiek możliwości obrony jest wszystkim, co się dla ciebie liczy, Jasmine Moreau, to dlaczego ty nie zabiłaś mnie?

Westchnęła.

— Bo ostatecznie to nie ma znaczenia. Niezależnie od tego, co zrobisz, Qasamanie i tak nie dostaną tego statku. Jeśli Troftowie nie będą mogli odlecieć nim z tej planety, zniszczą go.

— Nawet uszkodzony będzie wart...

— Nie uszkodzony, zniszczony — warknęła Jin. — Zamienią silniki w małą bombę termonuklearną i wysadzą statek, siebie i Mangus w powietrze. W postaci kurzu dotrzesz do górnych warstw atmosfery. Słyszałeś moją rozmowę z dowódcą Troftów. Boją się nawet pozwolić ludziom Obolo Nardina zerknąć na ekrany. Myślisz, że komandor dopuści do tego, żebyś wziął jego załogę żywcem, a statek w całości?

Przez drugą chwilę jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pomieszczeniu był przytłumiony odgłos palnika laserowego, dochodzący spod pokrywy luku. Jin

nie spuszczała Akima z oczu, w pełni świadoma zamiaru celownika na jego broń... świadoma także obecności Daula, stojącego sztywno w odległości metra od nich. Chciałaby mieć możliwość zobaczenia jego twarzy, wyczucia, po której stronie się opowiada. Ale nie odważyła się oderwać wzroku od Akima.

— Nie — powiedział nagle Akim.

Jego twarz stężała, wzrok był niemal rozbiegany i Jin drgnęła w odruchu współczucia. Ale jego głos był twardy, nie słyszała w nim żadnego wahania, które mogłaby wykorzystać. — Nie, mój obowiązek jest oczywisty i muszę próbować go wypełnić. Nawet jeśli zwycięstwo wydaje się niemożliwe.

Wzięła głęboki oddech.

— Wstań, Jasmine Moreau, i podejdź do luku.

Jin powoli wstała.

— Błagam cię, zastanów się, Mironie Akimie.

— Podejdź do luku — powtórzył sztywno.

Oblizując wargi, ze wzrokiem cały czas utkwionym w Akima Jin zrobiła krok w lewo w stronę luku...

I syknęła z bólu, kiedy lewe kolano ugięło się pod nią.

Być może Akim spodziewał się podstępu; a może tylko zareagował odruchowo na nagłe poruszenie się Jin. Kiedy jej ręce starały się dosięgnąć piersi Daula, usłyszała cichy trzask miniaturowego pistoletu i szmer zatrutej strzałki przecinającej powietrze zaledwie kilka centymetrów od jej prawego ramienia. Niemalże czuła, jak jej nanokomputer ocenia sytuację, czuła, jak przygotowuje się do przejęcia kontroli nad układami wspomagającymi, aby zainicjować obronny kontratak, który spali Akima na popiół...

W ostatniej sekundzie, zanim jej wyciągnięte ręce dotknęły piersi Daula, przekręciła lewą rękę, zwijając dłoń w pięść i oparła mocno nasadę prawej dłoni o czubki palców lewej. Całą siłą obu rąk uderzyła w tors Daula.

Laser znajdujący się w czubku palca lewej ręki wypalił, buchając w prawy nadgarstek falą gorąca.

Akim skoczył gwałtownie w bok, przeklinając zajadłe, kiedy poczerńiałe szczątki miniaturowego pistoletu wirując upadły na pokład. Skoczył w kierunku Jin z palcami zagiętymi w szpony.

Jin czekała, mocno oparłszy się stopami o pokład. W chwili gdy ręce Akima zatoczyły łuk w kierunku jej ramion, wyrzuciła ręce do przodu i uderzyła go w



mostek. Uderzenie zatrzymało go na miejscu. Jin chwyciła go za ramiona, obróciła i pchnęła mocno na krzesło, na którym przed chwilą siedziała.

Przez moment siedział nieruchomo. Patrzył na nią oszołomiony, z trudem łapał oddech.

— W porządku — powiedziała, sama oddychając ciężko.

Ból w palcach ponownie osłabł do tępego pulsowania.

— Zabierajmy się stąd, zanim Troftowie zdenerwują się i wysadzą statek niezależnie od wszystkiego.

— Jin! — w głośniku odezwał się cicho translator "Dewdrop". — Co się dzieje? Czy nic ci się nie stało?

— Wszystko w porządku! — zawołała. — Wszyscy zdrowi. Komandorze, odwołaj swoich ludzi, a my otworzymy luk.

— Zrozumiano — odparł translator Troftów. — Nie stanie się wam krzywda.

Akim wstał powoli i spojrzał Jin w twarz.

— Któregoś dnia — powiedział gorzko, świdrując ją wzrokiem — odpłacimy wam za to, co nam zrobiliście.

Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

— Być może. Teraz przynajmniej masz szansę dożyć tego momentu.

Podszedł w milczeniu do luku. Jin ruszyła za nim, nie spuszczała z niego wzroku... i dlatego właśnie przeszła połowę drogi, zanim uświadomiła sobie, że Daulo za nią nie idzie.

— Chodź. Daulo Sammon! — zawołała przez ramię. — Czas na nas.

— Jeszcze nie teraz — odparł cicho.

Marszcząc brwi, zerknęła na niego... a potem popatrzyła uważniej.

Daulo stał w sporej odległości od niej, oparty o tablicę komunikacyjną. W rękę trzymał jeden ze zdobytych laserów.

— Daulo Sammon? — zapytała ostrożnie.

— Dzięki tobie twój świat jest teraz bezpieczny, nie grozi mu nic ze strony Qasaman — powiedział w napięciu. Twarz miał bladą, ale pistolet trzymał pewnie. — Przynajmniej chwilowo. Ale ty, Jasmine Moreau, nie jesteś bezpieczna. Odwet, o którym mówił Miron Akim, może rozpocząć się już teraz.

— Stój! — krzyknął Justin. — Ty, kimkolwiek jesteś. Jeśli ją skrzywdzisz, nie zejdziesz z tego statku żywy.

— Będziesz nas musiał przedtem złapać! — zawołał Daulo do mikrofonu. — A do tego czasu już się zastanowimy, co z nią zrobić.

— Niech cię diabli! Jeśli choć...

Daulo zrobił krok w bok, wycelował i strzelił długą salwą w tablicę komunikacyjną.

Głos dochodzący z "Dewdrop" nagle zamilkł...

Trzask rzuconego niedbale na pokład przez Daula lasera był niemal przytłaczający w napiętej ciszy.

— Daulo...? — zapytała Jin, zmarszczyła brwi całkowicie zaskoczona.

Daulo spojrział na nią i wziął głęboki oddech.

— Teraz możemy iść — powiedział cicho. — I powinniśmy iść szybko. Zanim, jak sama powiedziałaś, Troftowie się zdenerwują.

Akim, stojący obok Jin, zrobił krok w stronę Daula.

— Mógłbyś mi wyjaśnić — wysyczał przez zaciśnięte zęby — co, u diabła, chciałeś przez to udowodnić?

Daulo wskazał ku górze.

— Tam jest jej ojciec — stwierdził tylko.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem... a potem Akim parsknął cicho, a jego usta drgnęły w szyderczym uśmiechu.

— Sprytne. Bardzo sprytne. Pod warunkiem że zadziała.

— Myślę, że tak — skinął głową Daulo. — Są sobie bardzo bliscy, jak w dobrej qasamańskiej rodzinie.

Popatrzył na Jin.

— Chodź więc, Jasmine Moreau. Wynośmy się stąd.

Spacer korytarzem szarpał nerwy. Jin spodziewała się raczej dużej eskorty, która będzie chciała upewnić się, że faktycznie opuszczą Mangus, ale ku jej zaskoczeniu przydzielono im tylko jednego Trofta, który miał wyprowadzić ich ze statku. Opuścił ich tuż za luką lewej burty, w miejscu gdzie Jin strzelała wcześniej, by dostać się na pokład.

— Nie podoba mi się to — wymamrotał Akim, kiedy zbiegali po schodach na opustoszały teraz suchy dok. — Ludzie Obola Nardina mogą czekać na zewnątrz, by nas wystrzelać.

— Jeśli Obolo Nardin ma choć trochę rozumu, jego ludzie są już po swojej stronie muru — powiedziała Jin. Biegli właśnie w poprzek doku w stronę drzwi wyjściowych, przez które mieli zamiar wydostać się z budynku naprawczego w pobliżu przerwy w zewnętrznym murze. — Wygląda na to, że Troftom bardzo się spieszy... huk silników staje się coraz głośniejszy, a nie chciałabym pozostać po tej stronie Mangus, kiedy odpałą na dobre.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, kiedy huk przeszedł w grzmot i dołączył się do niego przeszywający, ultradźwiękowy gwizd.

— Rusza! — krzyknął Daulo poprzez hałas, machając ręką w stronę statku.

Jin zerknęła przez ramie. Mój Boże, on ma rację — pomyślała, patrząc w osłupieniu, jak centrum dowodzenia wysuwa się gładko przez schowany teraz gumokauczukowy kołnierz, w czerwonej poświacie silników grawitacyjnych statku.

— Biegiem! — krzyknęła do tamtych. — Na zewnątrz. Kryjcie się, gdzie się da.

Nie potrzebowali zachęty. Otworzyli gwałtownie drzwi budynku i przebiegli najszybciej jak mogli mały skrawek nagiej ziemi dzielący ich od muru. Nawet tu powietrze stawało się coraz cieplejsze. Jin zdawała sobie sprawę, że zostaną spaleni na węgiel, gdyby znaleźli się gdzieś w pobliżu dyszy, kiedy Troftowie włączą napęd na pełną moc.

W pełnym biegu minęli krawędź muru. Jedno spojrzenie wystarczyło, zorientowali się, że nie ma nic, za czym mogliby się ukryć.

— Tędy! — krzyknął Akim pośród hałasu, kierując się w prawo i machając ręką na Jin i Daula. — Za róg muru!

Było to najlepsze, co mogli zrobić. Z Akimem na przedzie, biegli wzdłuż muru w stronę oddalonego o sto metrów południowo-wschodniego rogu rombu, jakim był Mangus. Przy każdym kroku kolano Jin przeszywał ból, zaciskając zęby zmuszała się, by biec dalej. Lekko z boku, tuż za sobą słyszała Daula dyszącego z wysiłku... wyczuła, że się potknął...

— Daulo! — Wyhamowała z poślizgiem, chwyciła jego ramię i jęknęła z bólu, kiedy odruchowo próbowała zacisnąć palce.

— Nie! — dyszał, machając ręką do przodu. — Biegnij... nie przejmuj się mną...

Dalszą część jego protestu stłumiła fala dźwiękowa dochodząca zza muru. Jin nie wahała się, przerzuciła jedną rękę przez plecy Daula, a drugą podłożyła pod kolana, uniosła go i pobiegła dalej,

Prawie jej się udało. Akim był już za rogiem, a ona wraz z Daulem w odległości pięciu kroków od celu, kiedy krajobraz przed nią zabłysnął niesamowitym światłem, a z tyłu omyła ich fala gorąca. Daulo krzyknął w jej ramionach. Rozpraszając łzy, Jin walczyła ostatkiem sił, by utrzymać równowagę na huraganowym wietrze wiejącym za jej plecami. Dotarła do rogu i próbowała skrócić.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiły się ręce Akima, schwyciły Jin tuż nad łokciem, przeciagnęły ją i Daula za róg i przewróciły na ziemię.

Przez kilka sekund Jin nie mogła wydobyć słowa... ale i tak nikt z pozostałych nie mógłby jej usłyszeć. Ryk dochodzący ze statku Troftów był ogłuszający, o wiele głośniejszy niż się tego spodziewała, i trwał wiecznie. Wreszcie... wreszcie... zaczął słabnąć i w ciągu kilku sekund zmienił się w dochodzący z oddali świst.

Pozostawił tylko trzaskający ogień.

— Boże w niebiosach... podpalili Mangus! — parsknął nagle Akim, podskakując i zniknął za rogiem, biegł w kierunku otworu w murze.

Jin zerwała się i cofnęła o kilka kroków od ściany. Rzeczywiście, baldachim rozpostarty w górze połyskiwał, odbijając światło płomieni. Daulo, leżący przed nią na ziemi, mamrotał coś pod nosem.

— Co? — zapytała, podchodząc bliżej.

— Powiedziałem, że to głupcy. — Daulo podparł się ostrożnie na łokciu i wziął głęboki oddech. — Jeśli chcieli dokładnie zniszczyć swoją połowę Mangus, powinni byli wcześniej nastawić autodestruktor. Teraz będą się już zawsze zastanawiać, czy zostawili coś, co będziemy mogli wykorzystać.

— Dobrze — warknęła ponuro Jin. — Może ta obawa powstrzyma ich przed powrotem i spróbowaniem od nowa. Dziwne jednak, że wpadli w taką panikę. Skoro się już nas pozbyli, mieli wystarczająco dużo czasu, by porządnie po sobie posprzątać.

Daulo zachichotał.

— Nie, nie mieli. — Popatrzył na niebo mrużąc oczy. — Spójrz.

Marszcząc brwi, Jin popatrzyła w górę i poczuła ucisk w gardle.

Ponad nimi opadał szybko na ziemię ciemny kształt, otoczony czerwoną poświatą.

— "Dewdrop"? Przecież... powiedziałaś im, żeby tu nie lądowali.

— Oczywiście, że im powiedziałaś. I myślę, że twój ojciec musiał ostro spierać się z innymi członkami załogi po tym, jak ci groziłem i przerwałem z nimi połączenie.

Jin popatrzyła na Daula i nagle wszystko zrozumiała.

— To dlatego to zrobiłeś? By szybciej sprowadzić tu "Dewdrop"?

— Nie szybciej. Bardziej bezpośrednio.

— Bardziej...? A, no tak. Wyślą helikoptery, jeśli wytropią "Dewdrop". To całkiem oczywiste.

Patrzył na nią pewnie.

— Nie miałem wyboru, Jin. Nawet gdybyś była skłonna zabrać nas do Azras, i tak moglibyśmy nie zdążyć sprowadzić tu wojska, zanim Obolo Nardin pozaciera ślady i ucieknie.

— Zgoda — skinęła głową Jin. — Bardzo sprytne, jak to ujął Miron Akim. Szkoda, że sama na to nie wpadłam.

Kształt "Dewdrop" był już wyraźny. Jin położyła się na plecach, uniosła lewą nogę i trzy razy strzeliła z przeciwpancernego lasera w stronę statku.

— To powinno ich upewnić, że nic mi nie jest — wyjaśniła.

Daulo przysunął się i usiadł obok niej.

— Miałem... nadzieję, że spędzimy trochę więcej czasu razem, kiedy to wszystko się skończy — zaczął nieśmiało. — Zanim będziesz musiała odlecieć.

Jin dotknęła jego ręki czubkami palców.

— Ja też — odparła i była nieco zaskoczona, że tak bardzo w to wierzyła. — Ale chyba nie możemy pozwolić sobie na pozostanie tu dłużej. Miron Akim powiedział mi, że w pobliżu mojego wahadłowca umieszczono dwa helikoptery Sky Jo; jeśli szybko dostaną namiary, będą zaledwie o kilka minut za nami,

Daulo skinął głową i przez chwilę przyglądali się "Dewdrop" opadającej ku nim z nieba. Potem Daulo podniósł się z westchnieniem.

— Skoro mowa o Mironie Akimie, lepiej pójdę go poszukać. Upewnię się, czy nie znalazł jakiejś broni i nie czyha na wasz statek.

Jin też wstała. Sumienie nieprzyjemnie jej dokuczało.

— Posłuchaj Daulo... chcę, żebyś wiedział, że naprawdę chciałam dopełnić swojej części umowy.

Zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz? Sądzisz, że to, iż znalazłem sposób na schwytanie Obola Nardina i Mangus nie wzmocni pozycji mojej rodziny?

— Ale to wszystko zrobiłeś ty, a nie...

— Czy udałoby mi się to bez ciebie?

— Cóż... nie. chyba nie. Ale...

— Jin... — zbliżył się do niej i położył ręce na jej ramionach — umowa została dotrzymana. Naprawdę.

Ponad równiną rozciągającą się za jego plecami, w stronę Mangus zmierzał aventiński statek.

— Dobrze — westchnęła Jin. — W takim razie... myślę, że pozostało się już tylko pożegnać. Dziękuję ci za wszystko, Daulo.

Pochylił się i pocałował ją lekko.

— Żegnaj, Jin — powiedział, uśmiechając się do niej. — Mam nadzieję, że to, czego dokonałaś, pomoże twojemu stryjowi zachować władzę wśród rodaków.

Jin niemalże o tym zapomniała.

— Z pewnością — skinęła głową. — Nawet jego wrogowie nie będą w stanie zmienić twego sukcesu w porażkę.

— To dobrze. — Uśmiechnął się ponownie, tym razem nieco łobuzersko. — Być może namówi ich, by pozwolili ci jeszcze raz odwiedzić Qasamę.

Uśmiechnęła się.

— Zrobię to, jeśli tylko będę mogła, obiecuję. Jeśli nie... któregoś dnia wrócicie w kosmos. Będziesz mógł wtedy mnie odwiedzić.

Gwizd narastający stopniowo przez ostatnie kilka minut zmienił nagle ton. Jin spojrzała ponad ramieniem Daula i zobaczyła, że "Dewdrop" wylądowała.

— Muszę iść — powiedziała, oswobodzając się z uścisku i odsuwając od niego. — Żegnaj, i podziękuj ode mnie ojcu.

Zanim zdążyła przejść połowę drogi, u wejścia do statku przykucnęło w luźnym łuku pięciu mężczyzn — same Kobry, sądząc po pozycjach, ale tak naprawdę nie zwróciła na nich uwagi. Na tle mglistej poświaty wyciągów grawi-

tacyjnych lekko artretycznym krokiem, który tak dobrze znała, biegł ku niej mężczyzna.

— Tato! — krzyknęła do niego. — Wszystko w porządku, niech nikt nie strzela!

W chwilę później znalazła się w jego ramionach. A po minucie byli już na pokładzie "Dewdrop" w drodze w kosmos.

## Rozdział 23

— ...zatem w opinii niżej podpisanych członków zarządu całość qasamańskiej misji, a w szczególności działania Kobry Moreau należy uznać za sukces.

Corwin usiadł, pozwalając ostatnim wersom tej wspólnej opinii i czterem podpisom widniejącym poniżej pozostać na ekranach stojących przed syndykami jeszcze przez chwilę, a potem oczyścił je i wyciągnął z czytnika kartę magnetyczną. Gubernator generalny Chandler podniósł się ze swego fotela stojącego przy stole mówców.

— Dziękuję, gubernatorze Moreau — powiedział, spoglądając na Corwina, po czym odwrócił się. — Można by się spodziewać, że skoro żaden fakt ani żadne zeznania dotyczące misji Mangus nie podlegają dyskusji, to grono syndyków mogłoby równie dobrze uznać ją za sukces, jak i za porażkę. Jednakże, jak się wkrótce okaże, często możliwe jest interpretowanie spraw na wiele sposobów. Słyszeliście interpretację gubernatora Moreau i tych, którzy wraz z nim podpisali opinię. Udzielam teraz głosu gubernatorowi Priesly, który reprezentuje odmienny punkt widzenia.

Priesly wstał i pełen zapału, włożył kartę magnetyczną do czytnika... Corwin zebrał się w sobie. Było gorzej, niż się spodziewał.

— ...proszę pozwolić mi streścić teraz główne punkty. A więc: Kobra Moreau nie utrzymała w tajemnicy przed Qasamanami swej tożsamości jako Kobry, niwecząc w ten sposób jakiegokolwiek szansę na zaskoczenie ich podobnym fortem w przyszłości. Kobra Moreau z własnej woli spędziła bardzo dużo czasu w bliskim towarzystwie członka oficjalnego rządu Qasamy. Rozmawiała z nim długo, współpracowała z nim i, co gorsza, wielokrotnie demonstrowała w jego obecności uzbrojenie Kobry. Kobra Moreau rozmyślnie pozwoliła agentom Troftów uciec, odbierając nam w ten sposób wszelkie szansę zidentyfikowania ich i upewnienia się, że nie istnieje jakiegokolwiek przymierze pomiędzy nimi a Qasmanami. Na zakończenie, na skutek swych bezpośrednich działań, Kobra Moreau udostępniła Qasamanom ciała pozostałych członków misji, co umożliwi ich zbadanie i odbierze nam jakąkolwiek możliwość sprawienia im odpowiedniego i godnego pochówku. Zatem w opinii niżej podpisanych członków zarządu



całość qasamańskiej misji, a w szczególności działania Kobry Moreau należy uznać za porażkę.

Jin siedziała przy oknie w swoim pokoju. Zwinięta w starym, ulubionym fotelu, patrzyła na słabnące światło zachodzącego słońca, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Jin, tu tata i stryj Corwin — usłyszała cichy głos ojca. — Czy możemy wejść?

— Pewnie — odpowiedziała, nie odwracając się. — Już słyszałam, jeśli o to wam chodzi. Wiadomość dotarła do sieci kilka godzin temu.

— Przykro mi — powiedział Corwin, przysuwając sobie krzesło, stojące w końcu pokoju i opadł na nie kompletnie wyczerpany.

— Czy mogę? — zapytał ojciec, podchodząc do niej i wskazując na fotel.

Jin skinęła głową i zdjęła nogi z siedzenia, aby zrobić mu miejsce. Skrzywiła się z bólu, jej kolano zaprotestowało przeciwko tej zmianie. Lekarze powiedzieli jej, że obrażenia spowodują prawdopodobnie artretyzm w tym stawie, wcześniej niż zazwyczaj zdarza się to u Kobr. Jeszcze jedna mała ofiara dla misji Mangus. Jeszcze jedna daremna ofiara.

— Jak się czujesz? — Justin usiadł ostrożnie obok niej.

— A jak powinnam się czuć?

— Prawdopodobnie mniej więcej tak samo jak ja — westchnął.

— Prawdopodobnie.

Skinęła głową. Przez kilka chwil w pokoju panowała cisza.

— Posłuchaj, Jin — powiedział w końcu Corwin — naprawdę nie powinnaś brać sobie tego wszystkiego do serca. To ja byłem celem Priesly'ego, nie ty. Ty byłaś tylko najwygodniejszą formą dla ataku, który chciał przeprowadzić.

— Tak, byłam bardzo wygodna — stwierdziła gorzko. — Wszystko, co robiłam, wszystko, co powiedziałam, on poprzekręcał na swoją korzyść, jak tylko potrafił. A ludzie mu uwierzyli i unieśli grzecznie rączki.

Corwin i Justin wymienili spojrzenia.

— Cóż, nad tym można by dyskutować — rzekł Corwin. — Rozumiem, że przestałaś czytać cokolwiek po ostatecznym głosowaniu?

— Widziałam już, jak Priesly przeinaczył to, co się naprawdę stało — powiedziała, starając się nie poddawać do końca frustracji. — Nie musiałam oglądać, co robi z tym opinia publiczna.

— A, więc przegapiłaś bardzo smaczny kąsek — zauważył Justin.

Jin spojrzała na niego, marszcząc brwi i zobaczyła uśmiech czający się wokół jego ust.

— Wygląda na to, że około piętnastu minut po ogłoszeniu wyników głosowania, do sieci wpłynęła anonimowa transkrypcja, podobno z dyskusji przeprowadzanych w ciągu kilku ostatnich dni w wyższych szeregach obozu Jectów. Ukazuje ona kilku ludzi, wśród nich samego Priesly'ego, decydujących o tym, jak najlepiej znieksztalić to, co się wydarzyło na Qasamie, dla własnych politycznych korzyści.

Jin wpatrywała się w ojca.

— Ale kto by... wy dwaj?

— Kto, my? — zapytał Corwin, jego szeroko otwarte oczy jaśniały niewinnością. — Nie, nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Podobno zrobił to jakiś Ject, znajomy Justina, który pomyślał może, że Priesly posuwa się tym razem nieco za daleko.

Jin wzięła głęboki oddech. Przez chwilę poczuła się lepiej...

— Ale to w niczym nie pomoże, prawda?

Corwin wzruszył ramionami.

— Zależy od tego, czy rozpatrujesz dalekosiężne, czy chwilowe skutki. Tak, zrezygnowałem ze stanowiska gubernatora i jeśli o to chodzi, Priesly zwyciężył i rzeczywiście, twoja rzekoma porażka prawdopodobnie utrudni, jeśli nie uniemożliwi przyjmowanie kobiet do Kobr.

Jin parsknęła.

— Więc jakie są te wielkie dalekosiężne korzyści? To, że Qasama będzie tymczasowo bezpieczna od wtrącających się Troftów?

— Nie doceniasz faktów — delikatnie upomniał ją Justin. — Mangus rzeczywiście było wielkim zagrożeniem, tak jak przez cały czas myśleliśmy, tylko nie tak bezpośrednim. Ta cześć twej misji była całkowitym i głośnym sukcesem. Wszyscy w radzie wiedzą o tym. niezależnie od tego, czy przyznają to publicznie, czy nie.

— I osiągnęliśmy jeszcze dwie inne dalekosiężne korzyści — powiedział Corwin. — Po pierwsze, Priesly być może jeszcze sobie z tego nie zdaje sprawy, ale wyrzucając mnie z zarządu, sam sobie zaszkodził.

— Dlaczego? — zapytała Jin. — Dlatego, że wyszedł przez to na łobuza?

— Mniej więcej. Doceń siłę odruchu sympatii, Jin, szczególnie kiedy sprawa dotyczy tak szanowanego nazwiska jak nasze. — Corwin uśmiechnął się kwaśno. — W rzeczywistości przez ostatnie kilka dni szykowałem kampanię, próbując pokierować spodziewaną reakcją społeczną przeciwko Priesly'emu. Teraz, kiedy wychodzą te inne sprawy, chyba nie będę musiał się wysilać.

Jin zamknęła oczy.

— A więc Jectowie tracą władzę, a ciebie kosztuje to tylko karierę — westchnęła. — Klasyczny przykład pyrrusowego zwycięstwa.

— No, nie wiem. — Corwin wzruszył ramionami. — Zależy od tego, czy i tak nie byłem już zmęczony polityką, prawda?

Sięgnął delikatnie i ujął jej zabandażowaną dłoń.

— Czasy się zmieniają, Jin, a my musimy zmieniać się wraz z nimi. Nasza rodzina miała już swój więcej niż spory udział w politycznej władzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Być może nadszedł czas ruszać dalej.

— Ruszać dokąd?

— Zmienić się z polityka w męża stanu — powiedział Corwin. — Dlatego, że mamy teraz jedną rzecz, której nie może odebrać nam ani Priesly, ani nikt inny w Światach Kobry. — Uniósł palec i wskazał na nią. — Mamy ciebie.

Jin zamrugała powiekami.

— Mnie?

— Tak. I pierwszy w historii prawdziwie przyjazny kontakt z ludźmi Qasamy.

— Tak, zapewne — parsknęła Jin. — Ładny kontakt. Dwudziestoletnia siostrzenica wyrugowanego politycznego przywódcy i dziewiętnastoletni dziedzic małej kopalni w osadzie.

Jej ojciec zrobił tajemniczą minę i Jin spojrzała w jego stronę.

— Co w tym śmiesznego? — zapytała ostro.

— Nic takiego — mruknął Justin, wyraźnie bez przekonania usiłując zetrzeć z twarzy uśmiech rozbawienia. — Chodzi tylko o to... cóż, nigdy nie wiadomo, do czego to może prowadzić.

Wziął głęboki oddech i nagle rozbawienie zniknęło, zastąpił je uśmiech pełen dumy i miłości.

— Nie, nigdy nie wiadomo, Jasmine Moreau, moja najwspanialsza córko. Powiedz mi, czy słyszałaś już historię, to znaczy całą historię drogi twego dziad-

ka od stanowiska Kobry-strażnika w małej przygranicznej osadzie do pozycji gubernatora i męża stanu w Aventynie?

Słyszała, ale warto było posłuchać jeszcze raz.

Przegadali całą noc.

KONIEC